

Wielkie gry Bernarda Żbika

Adam Nasielski

DOM TAJEMNIC

*My, ludzie dorośli, rzadko rozumiemy duszę dziecka - lecz, jakże często dziecko rozumie
nasze czyny i ich, nawet głębokie, motywy.*

Tanner

"The child, his thinking, feeling and doing"

Spis treści

- 1 Tajemnica
- 2 Powieść Leblanca
- 3 Człowiek w żółtych getrach
- 4 Uderzenie w tył głowy
- 5 Strzał w lesie
- 6 Ręce do góry!
- 7 Plama krwi
- 8 Rewolwer, który zaginał
- 9 Stan oblężenia
- 10 Cios
- 11 Człowiek, który się zjawił
- 12 Ślady bosych stóp
- 13 Szopa w lesie
- 14 Trzeba coś uczynić
- 15 Od Kapitolu niedaleko do Skały Tarpejskiej

Tekst opracowano na podstawie wydania z 1934 r.

Rozdział I

TAJEMNICA

Było w sprawie „domu tajemnic” coś, czego nie zawaham się nazwać diabelskim i... niesamowicie groteskowym – chociaż tragizm sytuacji tkwi niekiedy w upiorności jej komizmu. W dramacie, jaki rozegrał się owej łagodnej zimy w willi „Gong” było jednak naprawdę coś strasznego. Sprawa ta właśnie z tego względu odstaje wybitnie od innych wielkich gier Bernarda Żbika. Ilekroć słynny detektyw wspominał potem o jej dziwnych, bardzo dziwnych szczegółach i okolicznościach, nie mógł się oprzeć pewnemu zimnemu dreszczowi, jaki przenikał jego ścięgna i kości chłodem przerażenia. Przecież przez cały czas trwania tej sprawy, przez cały okres pobytu w willi „Gong” – a nawet i przedtem – groziła mu śmierć na każdym niemal kroku, o każdej porze i w każdym miejscu. Już sam fakt, że detektyw, który miał zapobiec planowanej zbrodni stykał się dzień w dzień, godzinę w godzinę z osobą, która postanowiła zabić, nadaje tej sprawie specyficznego poloru, jak mówiłem: upiornej groteskowości. Przecież morderca czy morderczyni, niemal upiór ze względu na swą absolutną konspirację myślową, rozmawiał z detektywem, dyskutował z nim w pewnej mierze, widział go, obserwował i patrzył mu w oczy. Bernard Żbik badał zaś jego psyche, jak badał dusze wszystkich otaczających go osób, a jednak nie przejrzał jej do ostatniej niemal chwili, do swego wspaniałego wywodu psychokryminologicznego, który poprzedził rozwiązanie i zakończenie ponurego dramatu. Bo to był dramat.

Sprawę skomplikował ponadto fakt, że – jak to już na samym początku „wyczuł” intuicyjnie Bernard Żbik – zbrodniarka czy zbrodniarz był osobą obłąkaną, działającą niejako podświadomie, własną, piekielną logiką, niezależnie od zdrowej strony swego zagmatwanego, ponuro-makabrycznego, skomplikowanego patologicznego i chorego umysłu. Działającą pod hipnozą swego zamiaru popełnienia zbrodni.

Albowiem tylko szalenie mógł z tak lodowatym okrucieństwem, z taką szatańską perfidią opracować do ostatniego szczegółu plan zbrodni.

Wybitnym ludziom nie należy prawić komplementów, i tak dość mają okazji do potknięcia się o cytrynową skórę zarozumiałości, ale w tym wypadku można śmiało stwierdzić, że gdyby nie genialna intuicja i spostrzegawczość Bernarda Żbika, morderca czy morderczyni uszedłby karzącej ręki ziemskiej sprawiedliwości.

Poza tym sprawa „domu tajemnic” była jeszcze niezwykła i z tego względu, że inspektor Żbik powołany był, aby zapobiec przestępstwu, które dojrzywał ze stalową konsekwencją. Przed przystąpieniem jego do tajemnicy i w początkowym okresie śledztwa zbrodnia była dopiero w stadium premedytowania jej realizacji.

Te wszystkie szczegóły, wraz z niezwykle skomplikowanym podłożem psychologicznym deliktu sprawiają, że sprawa „domu tajemnic” zalicza się wśród wielkich gier Bernarda Żbika do jednej z największych i najwspanialszych, a dla niego samego do jednej z najtrudniejszych. Chciałbym tu jeszcze wspomnieć o samej nazwie „sprawy domu tajemnic”. Autorem tej nazwy był pewien dziennikarz, przyjaciel słynnego detektywa. Ja osobiście nazwałbym ją raczej

„tragedią rodziny Breda”, ale ponieważ prasa pisała wyłącznie o „domu tajemnic”, więc niech tak pozostanie.

Na koniec, ośmielę się tu na tezę, że sprawa ta nie jest typową tajemnicą kryminalną. Nie jest nią zarówno ze względu na podłoże swego powstania, ze względu na swą bazę psychologiczną, jak i z uwagi na swe pobudki. Nazwałbym ją nie sprawą kryminalną, ale raczej socjalną i psychologiczną, a to dla jej bezpośredniego kontaktu z zagadnieniami rodziny i społeczeństwa – wobec jednostki. Twierdzenie moje może się wydać śmiałym – niechaj je jednak potwierdzą fakty, które poznamy od początku...

* * *

Zapadała szybko noc.

Po onegdajszym puszystym śniegu napłynęła naraz niespodziewana fala ostrego mrozu i ścięła życie Warszawy w okowy zimna i chłodu. Niewiele pocieszała niektórych stanowcza opinia Państwowego Instytutu Meteorologicznego (zresztą – jak się wkrótce okazało – słuszna), że mróz jest przejściowy. Długi czas jeszcze minie zanim warszawianie nauczą się doceniać syzyfową pracę anonimowych mózgow z PIM-u, którym naprawdę należy się od społeczeństwa choć ziarenko zaufania i wdzięczności za ich niewdzięczną, a tak pożyteczną, pracę.

Tymczasem na ulicach stolicy harcował wichur, pobudzając do dzikich płaśw sypki, wścibski śnieg, niedopałki papierosów i zużyte bilety tramwajowe. Surowy mróz, jak gdyby chcąc pokazać, że i on żywi aspiracje artystyczne, pomalował szyby mieszkań w fantastyczne desenie, na których niemal dostrzegalny kolega-wiatr wygrywał dla akompaniamentu swą świszczącą symfonię chłodu. Ulice prawie opustoszały i wychodzili do miasta tylko ci, którzy musieli i jednocześnie nie mieli pieniędzy na samochód czy choćby na tramwaj lub autobus. Na rogach wyczekiwali pochyleni nad powieściami odcinkowymi gazet popołudniowych szoferzy taksówek i między „artykułem” o bójce na Burakowskiej a kolejnym odcinkiem jakiejś „Zwariowanej hrabiny” (koniecznie zwariowanej i koniecznie hrabiny) życzyli konkurentom, tramwajom i autobusom, generalnego strajku, krótkiego śpięcia i wszystkiego najlepszego. Jakiś przystojny, zakochany młodzian, zgrzytając zębami spoglądał na zegarek, klęcząc podświadomie „punktualność” ukochanej – ale gdy ta wreszcie nadeszła z półtoragodzinnym opóźnieniem, młodzieniec uśmiechnął się uszczęśliwiony i momentalnie zapomniał o wszystkim: o spóźnieniu, o przekleństwach i o mrozie. Po pustych ulicach uwijali się sezonowo zatrudnieni bezrobotni (niejeden z dyplomem humanistyki w kieszeni) „zaangażowani” (to jakoś lepiej brzmi) przez zakład oczyszczania miasta – ludzie, dla których mróz i śnieg są węglem, przy którym ogrzeją swe skostniałe od zimna, nędzy i pesymizmu członki i ugotują wodnistą strawę dla biednych żon i dla lekkomyślnie, na poczekaniu spłodzonych dzieci.

Jakaś przystojna „panienka” zrobiła fascynujące oko do przechodzącego starszego pana, ale nie podobała mu się, bo był goły jak święty turecki. Pomimo patriarchalnego wyglądu nie miał przecież grosza w kieszeni – ale minę miał dostojną, niczym minister na emeryturze. Biedna „panienka”... Jak zimno...

Od czasu do czasu wybiegali z bram otuleni w kołnierze przechodnie, którzy po kilkuminutowym pobycie na mrozie zrezygnowali z brawury i estetyki i kurczyli się śmiesznie, chuchając przed siebie, niby dwunożne lokomotywy, kłęby pary z reagującego w ten sposób na mróz ciała.

Przed wysokim domem na rogu Szkolnej i Świętokrzyskiej zatrzymał się naraz wspaniały, długi czarny wóz jednej z najdroższych amerykańskich marek. Okucia jego

błyszczały wyzywająco srebrem i lakierem, wywołując podświadome uczucie zazdrości w sercach nielicznych przechodniów, którzy nigdy takiego wozu posiadać nie będą. Nigdy.

Z łagodnie ogrzanego elektrycznym kaloryferem pudła wysiadł elastycznym krokiem wysoki barczysty pan w dużym czarnym pilśniowym kapeluszu. Stanowczym ruchem zatrzasnął za sobą drzwiczki, szepnął coś do szofera, mimo woli rozejrzał się wokoło, rzucił z pogardą w spojrzeniu pięćdziesięciogroszową monetę stojącemu obok żebrakowi i wszedł do bramy, otulając się szczelniej w oposowy kołnierz futra. Przez kilka minut zatrzymał się przed oszkloną szafką ze spisem lokatorów, na którym znalazł znane sobie nazwisko: Bernard Żbik, kryminolog, inspektor PP.

Spojrzał, może dziwnie, na dozorcę, który już chciał się doń zwrócić ze stereotypowym pytaniem, odwrócił się, szybko wszedł na jeden schodek, niezdecydowanie obejrzał białą tabliczkę z napisem: dzwonek na windę, machnął urywając ręką, zatrzymał się chwilę, wszedł na schody. Wchodził wolno. Przed drzwiami człowieka, którego chciał odwiedzić, znów przystanął, jakby rozmyślał. Zadzwoił nerwowo raz i nie mogąc snadź doczekać się otworzenia drzwi, jeszcze raz krótko nacisnął guzik, jakby z zastanowieniem. W tej chwili drzwi otworzyły się prędko. Wysoki pan uspokoił się natychmiast, choć może tylko zewnątrz.

Ogromny, rumiany chłopiec z niebieskimi jak woda morska, ładnymi oczami pomógł przybyszowi zdjąć futro, przyjął odeń wizytówkę i polecił mu zaczekać w przedpokoju, urządzonym na wzór poczekalni. Sam zaś zapukał do drzwi na prawo i wszedł natychmiast.

Inspektor Bernard Żbik siedział niedbale w fotelu obitym czerwoną koźlą skórą i palił długie cienkie cygareto, które wyjął był właśnie z ładnie rzeźbionej skrzynki egipskiej leżącej na biurku obok wielkiego buldoga z brązu wybałuszającego naiwnie swe martwe rzeźbione ślepie. Detektyw wpatrywał się właśnie w zagadkowe oblicze Ptaha, wyrzeźbione na wieku skrzyneczki.

Nie odwracając się (siedział zwrócony plecami do drzwi) rzucił służącemu lakonicznie, jak to było w jego zwyczajach.

— Kto?

Stefan podsunął wizytówkę tuż do swych oczu, bo pokój oświetlony był tylko w okolicy biurka, reszta tonęła w łagodnym półmroku.

— Pan profesor doktor Piotr Breda chce się widzieć z panem inspektorem i czeka w przedpokoju.

— Za dużo gadasz, Stefan, stanowczo. I zmuszasz tym samym mnie do zbytecznych słów. Zrozumiałe, że nie chce się widzieć z tobą. Wystarczyłoby, gdybyś powiedział: profesor Breda.

— Na wszelki wypadek...

— Proś.

Służący zniknął za czerwoną portierą. Bernard Żbik odwrócił się nieco wraz z fotelem i lekko ściągnął brwi na znak zdziwienia. Piotr Breda u niego. Oczywiście...

Nie dokończył myśli. Wstał na powitanie gościa i wymownym ruchem wskazał mu drugi fotel i cygara. Bez słowa uścisnęli sobie mocno ręce. Detektyw oparł się złożoną na płask dłońią o blat biurka. *Nie, wcale się nie zmienił zewnątrz, ten sam, tylko już do reszty osiwiał...*

Piotr Breda był człowiekiem ogromnego wzrostu i potężnej muskulatury ciała. Wyglądał raczej z figury na boksera lub atletę niż na profesora kryminologii, doktora praw i doktora psychiatrii. Oczywiście temu zaprzeczała jego wybitnie inteligentna twarz i bystre, mądre, wечно zamyślane oczy. Ubrany był teraz – jak zawsze – bardzo elegancko. Ciemny garnitur dwurzędowy w szare paski leżał jak ulany. Ciemny, niebieskawy drogi krawat starannie zawiązany tkwił korekt w kołnierzyku nieco wysunięty naprzód. Wąskie, energiczne wargi były lekko zarumienione od zimna, z jakim zetknęły się w bramie i na schodach. Gęsta siwa czupryna

okalała głowę lekko podaną w tył. Ten władczy człowiek urodził się może nieco za późno. Wyglądałby wspaniale w purpurowej todze rzymskiego dyktatora, w wieńcu laurowym na siwych skroniach, poprzedzany przez liktorów i fanfary.

Patrzył w milczeniu na trzymane w ręku cygare, którym poczęstował go Bernard Żbik. Przez dłuższą chwilę nie odezwał się ani słowem, tylko wciąż patrzył przed siebie z zaciśniętymi wąsko wargami jakby strzegącymi... jakiejś tajemnicy.

Jego szeroka, barczysta postać rozparta na pozór niedbale na fotelu przed biurkiem na oko nie wskazywała na żadną pozę ni maskę. Szare, przenikliwe oczy psychiatry, okolone siwymi krzaczastymi brwiami patrzyły na pozór zupełnie spokojnie i nawet z pewną dozą pogody ducha. A jednak subtelny psycholog, Bernard Żbik nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w beztrosce i niedbalstwie profesora jest jakaś sztuczność, jakieś ukryte stłumione napięcie, zmartwienie i... tajemnica.

Wizyta Piotra Bredy nie była dla Bernarda Żbika tak bardzo niespodziewaną. Znali się od dawna, jeszcze z czasów uniwersyteckich, gdy to młody asystent śledczy Żbik z urzędu śledczego marzył dopiero o wyładowaniu swej energii w walce ze zbrodnią, przeprowadzając tymczasem dochodzenia w sprawach kradzieży drobiu z kurnika podwórzowego. Już wtedy doktor Piotr Breda wykładał na uniwersytecie kryminologię. Młody student-entuzjasta i znacznie starszy odeń docent zaprzyjaźnili się bardzo, ponieważ mieli wiele cech wspólnych i kilka wybitnie kontrastowych, które są owym chemicznym warunkiem prawdziwej przyjaźni; zaprzyjaźnili się – co jest wypadkiem rzadko spotkanym – pomimo ogromnej różnicy w położeniu majątkowym, albowiem Piotr Breda pochodził z bardzo bogatej rodziny. Do ich cech wspólnych należała specjalnie wybitna małowówność obu oraz nieufność względem otoczenia – to ich zbliżyło do siebie. Potem, po ukończeniu studiów przez Żbika spotykali się już rzadziej. Piotr Breda ożenił się, osiągnął stanowisko profesora w Instytucie Kryminologicznym, a Bernard Żbik zdobył rangę inspektora służby śledczej i święcił na polu praktycznym wielkie sukcesy, jak jego przyjaciel na polu kryminologii teoretycznej. Widywali się już rzadziej, po prostu z braku czasu i tylko często pisywali do siebie; potem i korespondencja ustała. Od dwóch lat profesor mieszkał w Wilanowie, w domu-willi „Gong”, toteż jego dzisiejsza, bądź co bądź niespodziewana, wizyta i to o dość późnej porze, bo aż o dziewiątej, utwierdziła inspektora w przekonaniu, że jego stary przyjaciel „ma coś na sercu”. Jego niedbała poza i lekkie, ostentacyjne wydęcie warg przy wypuszczaniu dymu nie mogły przecież oszukać tak wytrawnego fizjonomisty jak Bernard Żbik.

Inspektor przeniósł szybko wzrok z oczu profesora na jego długie nerwowe palce, na dłonie. Piotr Breda był sam psychiatrą i psychologiem i wiedział doskonale, jakim wyraźnym zwierciadłem duszy ludzkiej są niekiedy dla znawcy oczu i dłonie człowieka. Toteż, widząc wpatrzony w swe ręce spojrzenie detektywa, nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu, może trochę tylko sztucznego.

Oglądał uważnie kant doskonale zaprasowanych spodni, gdy zapytał niby od niechcenia:

— Nie wierzy pan mej twarzy, inspektorze?

Detektyw strzepnął popiół z cygara i spojrzał przyjacielowi prosto w twarz. Pomimo szczerej przyjaźni nie „tykali” się.

— Nie, profesorze. Nie wiem jeszcze, o co chodzi. Ale wcale nie wierzę pańskiej masce. I pan sam nie chciałby, abym udawał, że daję się oszukać pozorom, jak pański uśmiech na przykład, który jest zbyt ostentacyjny, aby był prawdziwy. Pan kryje w sercu jakieś poważne zmartwienie i potrzebuje pan mojej rady, co najmniej.

Ku wielkiemu zdumieniu detektywa profesor potrząsnął w milczeniu swą wielką głową, wyjął z kieszonki metalową wykałaczkę i naraz ścisnął ją tak mocno w dwóch palcach, że aż ją

zgiął w pół. Co miał oznaczać jego upór? Przecież nie sądziłby, że genialny detektyw, którego dobrze znał, da się omamić jego pozą. Czyżby więc naprawdę inspektor miał się mylić? Nie, profesor był zdenerwowany. Zgięcie metalowej wykałaczkii...

— Nie, panie inspektorze. Nie mam żadnego zmartwienia na sercu. Wnioskuje pan to chyba z tego, że wpadłem do pana o dziewiątej i niespodziewanie, po roku niewidzenia. Rok to kawał czasu, to jednak wcale nie wskazuje na coś nienormalnego. Pan wie, że nigdy układ wskazówek na emaliowanej tarczy nie stanowił dla mnie choćby pozornej przeszkody. Czemu – gdy jest trzecia – mam być głodny, a gdy jest jedenasta – śpiący? Co zaś do naszego rocznego niewidzenia – też nie ma powodu do zdziwienia. Przecież w końcu musiałem wpaść do pana, bo pana lubię. A że stało się to po roku, to lepiej niż po trzech latach. Naprawdę, ja niczego nie ukrywam przed panem, inspektorze.

Uśmiechnął się ostrożnie.

Detektyw skinął głową z namysłem i kilkakrotnie uderzył wskazującym palcem w blat biurka. W jego inteligentnych oczach zabłysło zastanowienie. Słowa profesora brzmiały dość banalnie – a to jest jednak człowiek wybitnie inteligentny. Czemu profesor Breda kołuje, u licha! Przecież on jest najwyraźniej... przerażony. Detektyw pochylił głowę nieco wprzód i wyrzekł poważnym tonem.

— Pan po prostu kłamie, profesorze. Pan się boi, strasznie boi.

Piotr Breda zacisnął mimo woli pięść. Detektyw widział to zupełnie wyraźnie.

— Nie kłamie.

— Dobrze. Chcę panu wierzyć. Jednak pan nie wpadł ot tak, bez celu. Wybacz mi pan moją znaną szczerłość, ale nie przyszedł pan dla samego ujrzenia mojej osoby. Po co bujać..

Matowe oczy profesora zaświeciły nagle zadowoleniem. Nie obraził się, bo znał inspektora.

— To prawda. Podziwiam pana subtelność spostrzegawczość. Przyszedłem — urwał i zastanawiał się przez chwilę; ręka w której trzymał wciąż wygiętą wykałaczkę zadrżała, wykałaczka upadła na dywan, nachylił się, aby ją podnieść, ale nie podniósł — aby pana zaprosić do mego domu w Wilanowie na spędzenie urlopu. Przypadkiem dowiedziałem się, że ma pan urlop. Czy to może nieprawda?

Ostatnie zdanie wyrzekł bardzo szybko, jakby się obawiał negatywnej odpowiedzi.

— To prawda. — Detektyw obserwował go uważnie. — Mam urlop od piątku.

— Od piątku — powtórzył profesor, jak echo i milczał przez chwilę.

— Wiem. — Piotr Breda nie/zwrócił nawet uwagi na zdziwione, pytające spojrzenie przyjaciela. Odetchnął z widoczną ulgą. — Dziś jest środa. Jeżeli pan chce, może pan do mnie przyjechać w piątek, powiedzmy o dwunastej. Przysyłam po pana mój wóz. Droga jest dobra, pan wie, że szosa wilanowska jest jedną z możliwych; brałem to zresztą celowo pod uwagę przy kupnie willi. Mój dom, a właściwie willa, leży wprawdzie nieco na boku, w głębi lasu. **Ale zapewniam pana, że się pan nie będzie nudził.**

Ostatnie zdanie brzmiało wybitnie zagadkowo. Naraz zwężyły się źrenice profesora. Wyglądały jak dwie czarne główki od szpilek.

— Pan... nie miał chyba zamiaru spędzić urlop gdzieindziej.

W jego słowach wibrował już teraz wyraźny przestrach przed potwierdzeniem pytania.

Bernard Żbik spojrzał znów uważnie w oczy przyjaciela. Nie mógł z nich jednak wyczytać nic konkretnego.

Istotnie, urlop jego zaczynał się w piątek. Dziwił się nie temu, że profesor o tym wie, ale temu, że zadał sobie trud, żeby się o tym dowiedzieć. To wskazywało na jego niejako premedytowany zamiar zaproszenia inspektora do siebie. Bez wątplenia coś musiało się kryć za

tym wszystkim. Zaproszenie Żbika – wybitnego detektywa – wskazywało na jakąś tajemnicę. I to widocznie groźną tajemnicę, skoro taki wybitny kryminolog i psycholog jak Piotr Breda nie mógł jej zgłębić. Z drugiej strony – zawzięte milczenie profesora w materii okoliczności sprawy, uporczywe usiłowanie zachowania pozorów – kazało przypuszczać, że nie jest to zwykła zagadka kryminalna ale coś głębszego. Teraz jednak detektyw, nie znając absolutnie okoliczności, nie mógł wydać żadnego określonego sądu. W każdym razie był już „nastawiony” i o to, zdaje się, chodziło profesorowi.

Inspektor poczuł na sobie naraz wzrok przyjaciela, podniósł więc głowę, opuszczoną w zamyśleniu i spojrzał znów profesorowi w oczy. Tym razem jednak w spojrzeniu detektywa nie błyszczała spostrzegawczość i badawczość ale zrozumienie. Pojął, że jakieś ważne okoliczności nie pozwalają profesorowi mówić, a mimo to chciałby coś wyrazić.

Pod wpływem mądrego, łagodnego spojrzenia detektywa profesor naraz odwrócił głowę w bok, wyjął chusteczkę ruchem, który był zbyt nagłym, aby miał być normalnym i trochę za hałaśliwie przetarł nos i czoło. Bernard Żbik był pewny, że dojrzał łzę w jego prawym oku. Dojrzał ją najpierw instynktem raczej, a potem okiem.

Piotr Breda złożył starannie jedwabną chusteczkę i włożył ją do kieszeni z ową niedbałą elegancją, która go cechowała od lat najmłodszych. Było w tym człowieku coś dystyngowanego, co zawsze wywoływało u widza skojarzenie „wyższych sfer”.

Profesor przesunął językiem po wyschłych wargach.

Bernard Żbik był już prawie pewny, że jego stary przyjaciel wyraził sobą to, czego nie chciał wyrazić słowami. Zrozumieli się. A jednak nie padło między nimi ani jedno słowo.

— Przyjedzie pan w piątek?

— Tak.

Piotr Breda w milczeniu wyciągał rękę w kierunku „leżącej” na stole dłoni przyjaciela. Jednak w ostatniej chwili rozmyślił się widocznie, skarcił się za sentymentalizm i nawet gwałtownie zamknął w pięść rozwartą dłoń i oparł ją na swym kolanie.

— Dziękuję panu.

Detektyw nie odpowiedział. W mrocznym gabinecie na Szkolnej zalegało ciężkie, nieco duszne milczenie. Bernard Żbik mimo woli odłożył trzymane w ręku cygaro i przetarł dłonią czoło. Obserwował bacznie swego przyjaciela i dopiero teraz dojrzał lekkie, czarno-niebieskie podkrążenia pod jego oczyma i poprzeczną zmarszczkę zmartwienia i niepokoju na czole.

Niewypowiedziana tajemnica była ponura i tragiczna. Inspektor Żbik nie miał skłonności do przesady; był pewny, w tym wypadku nie mylił się wcale. Nie mógł jednak o nic pytać w tej chwili. Wiedział, a raczej widział, że dociekaniem i badaniem sprawiłby tylko ból profesorowi. Piotr Breda zaufał swemu przyjacielowi i pozwolił mu przez gazę milczenia zajrzeć w głąb swej duszy. Bernard Żbik nie chciał tu, teraz, zawieść tego zaufania – należało brać rzeczy takimi, jakimi są. Niewątpliwie – myślał – profesor wyjaśni mu w końcu gnębiącą go ponurą i na pewno tragiczną tajemnicę. Na razie musiał czekać. O to prosił go Piotr Breda wymową swej postaci i błagał wyrazem swego zachowania. – Będzie czekał.

Profesor sięgnął do kieszeni swej marynarki po papierośnicę. Zamiast niej wyciągnął czerwony mały zeszytek i zbladł nagle, szybko schował czerwony kajet, nie wyrzekłszy ani słowa. Zrezygnował z papierosów, wstał naraz. Przeszedł się kilka razy nerwowo po pokoju i nagle zatrzymał się przed wciąż siedzącym przyjacielem.

— Już pójde, inspektorze.

Nie czekał na odpowiedź. Podeszedł urywanym, wahającym się krokiem do leżącej na krześle obok portiery swej teki fokowej i sięgnął ręką po kapelusz, który zapomniał zostawić w przedpokoju wraz z paltem. Wyciągnął ramię, nie zauważył przy tym wiszącego obok stalowego

liniału pomiarowego i mocno uderzył weń swym lewym łokciem.

Bernard Żbik, który obserwował go dokładnie, zauważył, jak twarz przyjaciela zbladła w tej chwili nienormalnie, kredowo, a zęby zagryzły dolną wargę aż do krwi. Ogromna, atletyczna postać profesora zachwiała się i gdyby Żbik nie był go wstrzymał po dwóch szybkich krokach, Piotr Breda upadłby na pewno.

— Co panu jest, profesorze? Jest pan bliski omdlenia.

Inspektor chciał go poprowadzić ku tapczanowi i w tym celu ujął go za ręce w łokciach. W tej chwili Piotr Breda znów wydał syk bólu i opadł ciężko w ramiona przyjaciela.

— Która to ręka pana boli?

— Lewa.

To mówiąc, uspokoił się nagle, wy dostał z ramion inspektora, wyprostował się i sięgnął ręką po kapelusz.

— Co panu jest w tę rękę?

Detektyw był pewny, że to pytanie niemal przeraziło profesora. Cofnął się naraz o pół kroku w tył i wykonał wargami ruch, jakby chciał krzyknąć, ale nie wydobył słowa z ust.

— Pokaż mi pan tę rękę.

Przez chwilę tylko profesor Breda namyślał się. Potrząsnął głową.

— Głupstwo. Skaleczyłem łokieć o drut kolczasty i wywiązało się lekkie zapalenie lokalne. Bardzo bolesne, szczególnie w dotknięciu, ale nic niebezpiecznego.

W jego głosie brzmiała wyraźna nuta nieprawdy. Zdawał sobie z tego sprawę, bo spuścił oczy i zarumienił się lekko.

— Ja to zobaczę, profesorze.

Inspektor skorzystał z chwili konsternacji i szybkim ruchem podciągnął lewy rękaw profesora. Spojrzał na czerwień ranki, skinął poważnie głową i ostrożnie opuścił dłoń urażonej ręki. Zadzwoił i polecił Stefanowi podać futro profesora. Gdy służący wyszedł, pomógł profesorowi nałożyć palto i włożył mu rękę za klapę, na ten prowizoryczny temblak.

— Istotnie nic niebezpiecznego. Jednak radzę panu dobrze opatrzyć tę rankę i to szybko. Najlepszy będzie opatrunek z jodiny. Mało estetyczny wprowadzie i bolesny, ale za to najbardziej radykalny i higieniczny. Dlaczego nie był pan z tym u lekarza. Wiem, że pan sam zna się na ranach jako medyk; zawsze jednak – co praktyka, to praktyka.

Profesor pominął milczeniem słowa detektywa.

— Więc przyjedzie pan do mnie w piątek?

— Tak. Zaciekał mnie pan. I, przyznam się, bardziej przykro byłoby mi odmówić niż przystać.

— To dobrze. Mój wóz zajedzie po pana o jedenastej, na dwunastą będziecie na miejscu. Może pan nie brać ze sobą nic oprócz bielizny. Wszystko będzie u mnie przygotowane na pana przybycie. Już kazałem umeblować i przygotować pokój w lewym skrzydle, w pawilonie, który pan może jeszcze pamiętać z przypadkowej wizyty dwa lata temu.

— Pamiętam. — Detektyw skinął głową. — Wciąż jeszcze nie ma pan elektrowni?

— Już zbudowana, ale jeszcze nie jest uruchomiona.

— A pan już teraz opuszcza Warszawę, profesorze? Czy też nocuje pan w hotelu?

Profesor zawahał się lekko przed odpowiedzią. I odparł z jakąś dziwną twardością w głosie. Z jakąś wyzywającą groźbą.

— Jadę do domu.

— Jutro będzie pan w Warszawie? Ma pan wykład?

Stali już w przedpokoju. Teraz profesor odsunął wolno zatrask i stanął w chłodnej sieni, mocno otuliwszy się futrem. W prawej ręce trzymał tekę. Odpowiedź jego na ostatnie pytanie

detektywa była dziwna. Jednak inspektor jej oczekiwał.

— Będę jutro w Warszawie, o ile przeżyję dzisiejszą noc.

Chciał odejść, gdy inspektor zatrzymał go jeszcze skinieniem ręki.

— Czemu pańska teka jest taka ciężka

Profesor nawet nie zawahał się.

— Mam w niej nabity rewolwer.

— Tak też sobie pomyślałem — odparł inspektor cicho, jakby do siebie, zaś Piotr Breda odwrócił się nagle i bez słowa zszedł prędko ze schodów nie obejrzawszy się ani razu.

Bernard Żbik stał jeszcze przez chwilę w przedpokoju, oszołomiony i dopiero, gdy poczuł chłód wieczorny (profesor zapomniał zamknąć za sobą drzwi od sieni) – wolno wrócił do gabinetu. Usiadł w fotelu i mechanicznie, bez udziału świadomości, zapalił papierosa.

Wiedział, że profesor Piotr Breda nie jest pozerem ani neurastenikiem i jeżeli kłamie, to raczej mówi mniej, niż przesadza. Niebezpieczeństwo musiało być bardzo wielkie i tajemnica — groźna i ponura.

Przez krótką chwilę inspektor miał poważny zamiar jeszcze dziś w nocy udać się potajemnie do willi profesora. Wiedział, że dzisiejszej nocy Piotrowi Bredzie grozi śmierć. Jak groziła mu prawdopodobnie wczoraj i przedwczoraj. Worki pod oczyma profesora wskazywały na dłuższy proces zmartwienia i przerażenia, życia w ciągłym napięciu i trwodze. Bernard Żbik rozmyślił się jednak – nie mógł się narzucać. Skoro profesor zaprosił go na piątek, to miał w tym widocznie swoje obliczenia. Może chciał się przygotować na jego przybycie. A może też liczył, że do piątku sam zlikwiduje ponurą tajemnicę. Dopiero o wiele później Bernard Żbik miał pożałować, że nie poszedł za pierwszym impulsem, za intuicją, i nie udał się jeszcze tego wieczoru potajemnie do willi „Gong” – albowiem działy się w niej tej nocy rzeczy straszliwe.

W tej chwili jedno zagadnienie interesowało szczególnie detektywa. Mianowicie owa czerwona ranka na lewym łokciu profesora była tak umieszczona, że wskazywała wyraźnie na postrzał rewolwerowy. Profesor prawdopodobnie nie miał w tej chwili żadnych złudzeń co do faktu, że Bernard Żbik wie, iż ktoś strzelił mu w łokieć. Dlatego prawdopodobnie zdecydował się na wypowiedzenie owego zdania o *przeżyciu dzisiejszej nocy*. Bo przecież inspektor policji śledczej, i do tego Bernard Żbik, umiał odróżnić skaleczenie o drut kolczasty od rany postrzałowej z pistoletu automatycznego najpewniej.

Jednak nie o tym rozmyślał inspektor w tej chwili. Jego absorbowano inne zagadnienie związane z owym postrzeleniem. Mianowicie rana na łokciu była charakterystyczną raną zadaną zupełnie z bliska (przez przyłożenie lufy) do mięśnia i... raną zadaną najpewniej w postawie leżącej. Jako kryminolog inspektor nie miał prawie wątpliwości co do tego.

Z tego był jeden pewny wniosek: profesor musiał doskonale wiedzieć, kto do niego strzelał. Znał więc osobę... mordercy.

Na to wskazywało również jego całe zachowanie.

I morderca musiał przebywać stale w willi profesora.

Rozdział II

POWIEŚĆ LEBLANCA

Po czwartkowej odwilży spadł w piątek obfity śnieg, który pokrył ulice miasta białym, puszystym, gęstym całunem, tłumiąc jakby od razu odgłosy i hałasy wielkomiejskie. Zgodnie z przepowiednią PIM-u ociepliło się znacznie ku żalowi amatorów sanny miejskiej.

Inspektor odetchnął, gdy w czwartek nie znalazł w żadnym z pism nazwiska profesora. Piotr Breda przeżył więc nocę ze środy na czwartek i z czwartku na piątek. Nie znaczyło to jednak, że w willi „Gong” nic się nie działo w tym czasie.

Zegar na korytarzu w Centrali Służby Śledczej na Nowym Świecie wskazywał właśnie dziesiątą, gdy inspektor Bernard Żbik dokończył formalności i grzeczności związanych ze swym urlopem i zastępstwem i pożegnał się z kolegami i przyjaciółmi, a przede wszystkim z aspirantem Adamem Billewskim i ze swymi współpracownikami wywiadowcami: Różalskim, Wielgusem i Więckiem.

— Pan inspektor nas opuszcza?

Detektyw poklepał Rogalskiego po ramieniu.

— Tak, Rogalski. I to na cały miesiąc.

— E, zleci jak z bicza trzasł. A należy się już panu naczelnikowi od dawna ten urlop.

— No, i dostałem go nareszcie. Do widzenia, Rogalski. Tutaj zostawiam wam swój adres. Nigdy nie można wiedzieć...

— Ale za miesiąc zobaczymy się z panem naczelnikiem.

— Może nawet wcześniej — odparł detektyw z westchnieniem i pomyślał o nabitym rewolwerze, który Breda nosił dla obrony w swej teczce.

— Jak to?

Nie odpowiedział na ostatnie pytanie. Jeszcze raz skinął głową wywiadowcy i aspirantowi i skierował w milczeniu ku podwójnym drzwiom oddzielającym korytarz Centrali od pozostałych apartamentów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wolno schodził po szerokich schodach.

Na ulicy otulił się szczelnie futrem. Skręcił w Świętokrzyską, wstąpił do znajomego księgarza i kupił parę powieści angielskich „Crime Club’u”. Na rogu Mazowieckiej nie mógł powstrzymać uśmiechu widok jakiegoś młodzieńca taksującego pogardliwym wzrokiem drapacz chmur Prudentialu, jakby to większe pudełko od zapalek. Po piętnastu minutach dzwonił już do drzwi swego mieszkania na Szkolnej.

Nie wiedział wcale, że każdy jego krok jest śledzony od dwóch dni, to jest od chwili, gdy Piotr Breda opuścił jego mieszkanie. Inspektor zdziwiłby się, gdyby się dowiedział, że jest potajemnie obserwowany – może by nawet nie uwierzył. Gdyby jednak uwierzył — to nie zdziwiłby go fakt, że śledząca go para oczu należy do osoby, mieszkającej w willi „Gong” w Wilanowie.

W korytarzu zastał już swego służącego, Stefana, ogromnego Kaszuba o rumianej twarzy. Zajęty był tak zawzięcie pakowaniem dwóch walizek, że nawet nie zwrócił uwagi na swego pana.

— Czemu tak mocno pakujesz, Stefan? Przecież nie jedziemy do Antarktydy.

— Nie znam pani Antarktydy. Musi być gieroj-baba, skoro jadąc do niej trzeba mocno pakować. Ale i tak – na wszelki wypadek – można zapakować.

Słowa: *na wszelki wypadek* były ulubionym wyrażeniem Stefana. I co gorsza używał go najczęściej tam, gdzie było zbyteczne i po większej części śmieszne, ot tak.. na wszelki wypadek. A nuż...

Ledwie inspektor zdążył się przebrać w swój sportowy garnitur i kapelusz, gdy do pokoju wszedł bez pukania Stefan, już w palcie i w kapeluszu, z grubymi rękawiczkami wełnianymi na rękach i z tak uśmiechniętą pocziwą twarzą, jakby co najmniej przed chwilą wygrał stawkę w ostatniej klasie loterii państwowej.

— Przyszedł ten szofer od pana profesora Bredy. Na wszelki wypadek skrzyczałem go, no i słusznie, bo później zabłocił śniegiem słomiankę w przedpokoju. Ale to nic, jak powiedział kat do skazańca, gdy pod nim urwała się pętla.

Detektyw uśmiechnął się nieznacznie.

— Idziemy, Stefan.

— Na piechotę?

— Głupiś. Przecież szofer czeka, więc jest chyba i samochód.

— Nie zawsze, jak powiedział skazaniec do kata, gdy ten zapytał go, czy lubi śledzia w majonezie.

Tym razem Stefan nie miał jednak racji. Ogromny czarny packard czekał na dole niby wielki przysadzisty żółw, błyszcząc srebrem swych okuć i rtęciowymi ślepiami wielkich reflektorów szosowych osadzonych po obu stronach szarego winterfrontu. Szofer nie zgasił motoru w obawie przed mrozem lub może stratą czasu.

— Ładny wozik, nie? — panie naczelniku. Na wszelki wypadek dobrze by było, gdyby pan naczelnik miał taki gips. Zawsze to lepsze niż tyfus plamisty, jak powiedział pewien kat, umierając na dżumę. Przecież ja umiem prowadzić...

— Stefan! Nie nudź mnie teraz – i na wszelki wypadek siadaj obok szofera.

— Mogę i obok szofera, chyba!

Dopiero teraz inspektor zauważył wysmukłą postać szofera. Pomimo dużego futra z niedźwiedziej skóry człowiek ten wywierał wrażenie zgrabnego. Właśnie się odwrócił, spojrzał w twarz detektywa i cofnął się zdumiony. Zdziwienie było zresztą obustronne.

— Fuchs! Jak Boga kocham, Kazik Fuchs. Więc nawróciłeś się nareszcie na uczciwą drogę. Czy też może znów knujesz jakąś robotę. A może myślisz, że jeszcze raz uda ci się sprzedać ratusz lub most Kierbedzia jakiemuś naiwnemu kmiotkowi. Słowo daję, prawdziwa niespodzianka, jak powiedział kat, gdy poznał w skazanej na śmierć swoją teściową. Stefan! – nie zaskarżysz mnie chyba o plagiat.

Szofer milczał. Nerwowo przestępował z nogi na nogę. Widać było, że to spotkanie wcale nie było dlań miłe. Bo właśnie nikt inny, tylko Bernard Żbik wpakował go trzy lata temu za oszustwo i szantaż na dwa lata do Mokotowa. A teraz inspektor spotykał go na uczciwej posadzce jako szofera swego przyjaciela, profesora Bredy. Czy ten człowiek odgrywał jakąś rolę w „tajemnicy”. Inspektor przyrzekł sobie, że to zbada.

Teraz stał wciąż i obserwował go bacznie. Należało jednak jechać, jeżeli mieli przybyć na czas do willi.

— No! Czemuś się tak przestraszył, Kaziu. Nie masz chyba zamiaru sprzedać profesorowi najnowszego brylantu z carskiej korony lub tiary wielkiej księżny.

— Jestem teraz uczciwym człowiekiem i pan inspektor nie ma prawa mnie podejrzewać.

— Głupiś, Kaziu i tyle. Zawsze mam prawo cię podejrzewać. Ale, jeżeli jesteś naprawdę

uczciwym człowiekiem — to nie masz się czego bać. Jazda!

Odwrócił się bez słowa i zajął miejsce w wozie. Okrył nogi pledem, szczelniej otulił się kołnierzem swego futra, wetknął w usta zapalone cygaro.

Ruszyli z miejsca pełnym gazem.

Stefan wcale nie był głupi. Słyszał dokładnie całą rozmowę inspektora z szoferem i zrozumiał z niej wszystko. Teraz więc, gdy wóz ruszył – odsunął lustrzany szybę, odwrócił się nieznacznie i tylną porozumiewawczo oczyma, jakby chciał powiedzieć: „Na wszelki wypadek będę miał chłopa na oku, panie naczelniku. Bo nuż zachciałoby mu się wyrzucić nas do jakiegoś głębszego rowu. To się nie kalkuluje, jak powiedział kat do skazańca, gdy ten zaproponował mu, aby zajął jego miejsce na szubienicy i pozwolił się powiesić”.

Inspektor zrozumiał to spojrzenie i nie mógł stłumić uśmiechu. Bo tym razem ulubione wyrażenie Stefana było przypadkowo zupełnie na miejscu.

Wielki samochód wydostał się nareszcie z miasta i tuż za rogatką zadźwięczał linkami i zgrzytnął trybami, niby zwierz, wypuszczony z uwięzi. W szalonym pędzie nawinął na swe opony taśmę asfaltowej szosy. Po półgodzinnej zaś jeździe czarny packard zatrzymał się cicho przed ponurą bramą willi „Gong”, która w niedługi czas potem z związku z serią niesamowitych wydarzeń, jakie się w niej rozegrały – otrzymała nazwę „domu tajemnic”.

Suchy śnieg zaskrzypiał pod oponami zahamowanego samochodu. Gdzieś w pobliżu krzyknęło jakieś zwierzę. (A może człowiek?).

Byli na miejscu.

Gdyby Bernard Żbik mógł choć w części przeczuwać, jakie niebezpieczeństwo czyha nań na tym terenie — byłby się może cofnął w ostatniej chwili. Albowiem każdy człowiek ceni nade wszystko swe życie, zaś w wil i „Gong” czyhała na niewtajemniczonych okrutna kosa śmierci, szczerzącej bezlitośnie swe pożółkłe zęby kościotrupa.

* * *

Willi „Gong” położona była na wzgórzu na małej polanie. Obok, u długiego podnóża wzgórza, ciągnął się gęsty las sosnowy. Ten las przecinała jak nożem odnoga szosy, nieasfaltowej, tylko pokrytej prasowanym klinkierem. Cała willa otoczona była wysokim murem parkanem, co na zewnątrz – dla obcego widza – upodabniało ją do więzienia lub ponurego sanatorium dla nerwowo chorych. Takie było pierwsze wrażenie inspektora. Także Stefanowi willa nie bardzo się podobała, co utwierdziło detektywa w przekonaniu, że jego własne wrażenie nie jest wcale subiektywne i pod wpływem przedwczorajszej rozmowy z profesorem. Był jakiś fluid w atmosferze otoczenia, który pobudzał uwagę do napięcia i wywoływał mikroskopijny dreszcz przestachu przed czymś nieznanym a groźnym.

Bardzo groźnym.

Las przylegający tuż do willi był już bardzo stary, na oko ponad stuletni. Niektóre pnie były obalone lub spiłowane, ale na ogół drzewostan można było określić jako bardzo gęsty. Jak się potem dowiedział detektyw, las ten był również własnością profesora Bredy; był dozorowany dorywczo przez jednego z chłopów okolicznych. Za lasem ciągnęły się białe, bardzo malowniczo wyglądające, długie połacie pól oddzielonych miedzami, odcinające się ostro od ciemnozielonego tła iglastych drzew.

Szofer Fuchs miał przy sobie klucz od wielkiej ciężkiej bramy stalowej pomalowanej na kolor czarny, smołowy, co jak gdyby akcentowało ponury wygląd willi. Otworzył ją natychmiast i wjechał ze Stefanem. Inspektor wyszedł z wozu i teraz właśnie przeszedł przez próg wrót i

zadumany przyglądał się, jak były kryminalista i więzień zasuwał ogromne rygle. Ten człowiek miał siłę niedźwiedzia. Detektyw mimo woli dotknął kieszeni palta. Miał w niej mauzer, który specjalnie zabrał ze sobą, nawet nie przeczuwając, jak rychło i w jakich okolicznościach będzie musiał zrobić użytek ze swego precyzyjnego rewolweru.

Byli wewnątrz ogrodzenia willi.

Zadrzewienie było tu o wiele rzadsze, aczkolwiek genetycznie stanowiło dalszy ciąg owego zewnętrznego lasu. Widocznie wykarczowano więcej niż połowę drzew dla rozrzedzenia i dopuszczenia światła. Na to wskazywał także fakt, że pozostawiono tylko pnie najpiękniejsze.

Od bramy do głównego pawilonu willi prowadziła szeroka wyziwiona droga, po której przemknął teraz wolno czarny packard. Natomiast Bernard Żbik postanowił odbyć tę drogę pieszo. Jeżeli miał zbadać tajemnicę willi, to musiał dobrze znać teren.

Zaciągnął mocniej pasek futra i nasunął na oczy kapelusz. W rękę trzymał swą nieodstępną tekę z kozłej skóry i długi, cienki Alpenstock. Rozglądał się bacznie wokoło. Już przedtem zwróciło jego uwagę podobieństwo willi do fortecy lub więzienia. Obraz wewnętrzny nie osłabiał tego wrażenia. Już sam widok skomplikowanego mechanizmu ryglów i stalowej płyty bramy nastrojał raczej ponuro. Stanowczo budowniczy tej bramy nie miał zmysłu humoru i pogody. Nie był też na pewno estetą, przynajmniej w tym wypadku.

Detektyw usłyszał skrzyp kroków na śniegu i odwrócił się mimo woli gwałtownie. Za nim stała potężna, atletyczna postać profesora Bredy. Rękę miał na czarnym temblaku jedwabnym. Jego bystre oczy wpatrzone były w przyjaciela z wyrazem wdzięczności i... lekkiego niepokoju.

— Dzień dobry, inspektorze. Cieszę się, że pan przyjechał, bardzo się cieszę. Jak pan widzi, żyję jeszcze, choć niewiele brakowało, by zastał pan już mego trupa...

Widać było, że wcale nie żartował. Jego spokojna twarz była tylko doskonale ułożoną maską i jedynie swej wyćwiczonej z wiekiem umiejętności panowania nad sobą oraz silnej woli zawdzięczał chyba to, że oczy jego nie miały wyrazu obłędnego strachu. Ręka, którą podał inspektorowi była zimna, ale detektyw nie był pewny, czy jest to skutkiem chłodu panującego w powietrzu, czy też skutkiem przerażenia, które mroziło jego krew.

— Jak ręka?

— Lepiej. Już się goi.

Był widocznie roztargniony, skoro zapomniał podziękować za pytanie, a ograniczył się tylko do suchej odpowiedzi. Pomimo spokojnego tonu jego słów biła z nich tajemnica czegoś niedopowiedzianego. Ujął naraz inspektora pod ramię i poprowadził go w kierunku na prawo od głównego pawilonu.

— Jest pan po śniadaniu?

— Tak. Wcale jeszcze nie jestem głodny — domyślił się inspektor celu pytania. — Możemy więc iść na mały spacer.

Piotr Breda uśmiechnął się.

Jak widzę, nie starzeje się pan wcale, inspektorze. Wciąż lubi pan świecić swą domyślnością, jak za czasów uniwersyteckich. Pamięta pan, jak zaproponowałeś nieznamomej studentce parasol, gdy nie było deszczu, ani pan nie miał parasola!

— Ha, ha! Pan ma świetną pamięć, profesorze. Tak, to były dobre czasy.

— Och, bardzo dobre — westchnął profesor poważnie.

— Bardzo dobre, — powtórzył cicho po chwili milczenia. — Ale już **nigdy** nie wrócą. Nigdy...

Ostatnie słowo brzmiało jak krzyk żalu i rozczarowania zarazem.

— Starzeję się, inspektorze.

— O starości nie wolno myśleć, wtedy się nigdy nie starzejemy.

— To łatwo powiedzieć...

Skierowali się na prawo.

Ponieważ profesor znów zamilkł, detektyw musiał czekać. Wiedział, że Bredzie ciężko jest zdradzić się ze swoją tajemnicą, dla której go tu sprowadził.

— Piękna pogoda.

— Tak, profesorze. Pogoda jest piękna, ja nie jestem głodny, kryzys, dobrze słyhać i tak dalej — ale chciałbym nareszcie wiedzieć, poco pan mnie tu sprowadził. Nie chcę panu bynajmniej wyrzucać nadużycia gościnności, wszyscy jesteście celowi i praktyczni. Jednak, jeżeli mam panu w czymś pomóc, muszę znać **tajemnicę, która pana gnębi**. Jako kryminolog-teoretyk wie pan przecież dobrze, że nieodzownym warunkiem powodzenia pracy detektywa jest poznanie stanu faktycznego, podłoża tajemnicy...

Zamilkł naraz. Bowiem profesor odwrócił się gwałtownie, wyrwał jego rękę ze swojej i wskazał palcem w kierunku wielkiej sosny, którą właśnie mijali. Bernard Żbik patrzył zdumiony i omal nie krzyknął ze zdziwienia.

W korze drzewa tkwił duży nóż kuchenny, przytrzymując przybity do drzewa biały prostokąt papieru.

Chciał podejść bliżej, ale profesor go uprzedził. Jednym szarpnięciem wyciągnął klingę, odrzucił ją i drżącą ręką zbliżył papier do oczu. Był bowiem krótkowzroczny. Teraz zaś był tak zdenerwowany, że nie chciał tracić czasu na nałożenie okularów.

W bolesnym milczeniu (widać to było na jego twarzy) wpatrywał się tępo w białą kartkę papieru, na której wypisana była tylko liczba. Bernard Żbik widział ją dokładnie i dobrze — zwykła liczba: 813.

Co to miało oznaczać?!

Oszołomiony, już widocznie przerażony, profesor przez chwilę jeszcze wpatrywał w biały miniaturowy ekran karty i wypisane na nim cyfry. Potem, powziąwszy nagle postanowienie, podarł kartkę na cztery, które z pasją rozrzucił na śnieg i przydeptał.

Drżącą dłonią, z twarzą koloru popiołu chwycił ramię detektywa i szepnął ochryplym głosem, rozglądając się trwożliwie wokół.

— Chodźmy stąd, inspektorze. **Ja się go boję.**

— Kogo? — Bernard Żbik przytrzymał go siłą na miejscu.

Przez minutę profesor stał, dysząc lekko i zaciskając aż do bólu ramię inspektora.

Wreszcie jednak odpowiedział.

— Mego mordercy.

Inspektor nachylił się i podniósł odrzucony przez profesora nóż oraz ćwiartki papieru. Nóż ujął ostrożnie dwoma palcami za klingę, owinął w chusteczkę i schował do swej teczki. Zbada go później.

Widział zawzięty wyraz twarzy profesora i nie zadawał mu żadnych pytań. Znać było, że Breda już żałował wypowiedzianych przed chwilą słów.

Boję się mego mordercy. Jak dziwnie brzmiało to zdanie. I co ono miało oznaczać? Jeżeli profesor wiedział, kto nastaje na jego życie, to mógł przecież polecić aresztować mordercę. Dlaczego tego nie uczynił? Szantaż? — nie! Piotr Breda, o ile detektyw go znał, nie był człowiekiem, który dałby się szantażować. Bernard Żbik poznał go dobrze pod tym względem. Jakaż więc ponura, tragiczna tajemnica kryła się za tym wszystkim.

Detektyw poczuł naraz, że obejmujące jego ramię palce profesora zluźniły ucisk. Zatrzymał się nagle. Stali znów przed ową szeroką drogą, wiodącą z bramy do pawilonu:

— Inspektorze?

— Słucham.

— Niech mi pan odda ten nóż. — Wskazał palcem na tekę detektywa.

Inspektor potrząsnął stanowczo głową.

— Nie! I tak, głupio pan uczynił, zrywając tam w lesie ową kartkę. Przecież pan mi tylko utrudnia pracę.

Profesor nachylił się tuż do jego ucha.

— Ja muszę. Muszę panu utrudniać śledztwo w tym kierunku, bo to jest niemożliwe. To straszne.

Mówił szeptem, ale głos jego brzmiał, jak przeraźliwy krzyk.

— Ale dlaczego...

Piotr Breda położył mu palec na ustach. Nie dał mu dokończyć pytania, nie dał też na nie odpowiedzi.

— Dzień dobry, tatusiu. Kim jest ten pan? Wygląda, jak.. O! już wiem – jak detektyw. Jak mądry detektyw.

Słowa te wypowiedziane były młodym, chłopięcym głosem. Przed oboma mężczyznami stał młody, może siedemnastoletni chłopiec w stroju narciarskim, w takiejż czapce i z nartami mniejszego formatu na ramieniu. Spod czapki narciarskiej wymykały się niesfornie loki blond włosów. Niebieskie oczy patrzyły poważnie.

— Ach! Leszek...

— To mój młodszy syn — dodał tonem objaśnienia.

— Powiedziałbyś raczej: mądrzejszy syn – tatusiu.

— Jesteś niegrzeczny...

— Już nie będę, chociaż musisz sam przyznać, że mój brat Tadek jest głupi i złośliwy.

— Zwrócił się do inspektora. — Dzień dobry panu, jestem Leszek Breda. A pan? Pan jest detektywem, prawda?

Bernard Żbik otrząsnął się wreszcie z oszołomienia. Jak kontrastowo wyglądają ci dwaj: ponury, siwy ojciec i wiośniany chłopiec – dziecko, syn.

— Dlaczego sądzisz, że jestem detektywem i to mądrym?

Leszek uśmiechnął się filuternie.

— Bo pan ma takie bystre oczy, spostrzegawcze spojrzenie, mądre czoło i... i... poza tym – ha, ha! – widziałem pańską fotografię w Kurierze i wiem, że pan jest Bernardem Żbikiem, naszym narodowym Sherlockiem Holmesem.

Ten młody chłopiec był stanowczo inteligentny. Miał poczucie humoru i to się podobało Żbikowi bardzo. Jego niebieskie oczy stanowiły konglomerat dziecinnej pogody ducha i... powagi dorosłego człowieka. Inspektor znał się nieco na ludziach i ocenił z miejsca, że Leszek Breda jest bardzo inteligentny. Chłopiec spodobał mu się specjalnie, nie wiedzieć czemu. Poczul do niego dziwną sympatię, choć musiał stwierdzić, że ten młodzieniec jest... jakiś inny.

Ujął teraz detektywa pod ramię, a ojca wziął za drugą rękę.

— Chodźcie.

Trzymał pod pachą jakąś oprawioną książkę i właśnie zsunęła mu się na ziemię. Puścił ramię ojca i zręcznie podniósł książkę.

Detektyw był ciekaw, jakie książki czytał Leszek. Wyciągnął rękę.

— Leszku, pokaż mi co czytasz.

Chłopiec zaśmiał się oczyma i ukazał drobne, dziwnie zgrabne zęby w uśmiechu,

— Proszę bardzo, panie inspektorze. Oto książka.

Bernard Żbik pogłodził chłopca po głowie i otworzył twardą okładkę. Przeczytał napis:
MAURICE LEBLANC – 813 – POWIEŚĆ.

813! Ta sama liczba. Czyżby to był tylko zbieg okoliczności!

Nie widział w tej chwili idącego obok profesora. Patrzył tylko na chłopca. Poczł utkwione w sobie zdumione spojrzenie Leszka. Widocznie chłopiec musiał zauważyć zmianę wyrazu jego twarzy. Opanował się natychmiast. Nie! – co za absurdalna myśl. – A jednak...

— Skąd masz tę książkę, Leszku?

— Aa... Gdybym chciał być niegrzeczny – nazwałbym to pytanie głupim. Przecież pan widzi pieczęć czytelnika i numer.

Bernard Żbik zarumienił się nieznacznie. Ten mały „przyskrzywił go” jakby powiedział Stefan.

— Leszku! — Ton Piotra Bredy, który dotychczas milczał, brzmiał karcąco. — Ten pan jest naszym gościem.

— To co? Bernard Żbik, słynny detektyw, nie powinien zadawać zbyt wielu pytań. Prawda, panie inspektorze, że pan się przyznaje do gafy.

Detektyw nie mógł mu przecież wyjaśnić przyczyny tej gafy.

— Prawda. A teraz powiedz mi Leszku: czy dawno już masz tę książkę.

— Nie. Wziąłem ją z czytelnika dopiero wczoraj. Jeszcze nie zacząłem jej czytać. To podobno bardzo dobra książka. Dziś już nie piszą jak Leblanc. Źle z literaturą kryminalną. Wcale nieźle zapowiadający się autorzy przerzucają się z powieści kryminalnej na powieść zwykłą. A rezultat? – I wilk głodny i owca trup.

Inspektor musiał się zaśmiać z powagi tonu tego dziecka.

— A ty lubisz powieści kryminalne?

— Tylko. Czytam tylko powieści kryminalne. A mama mi zabrania. Pan jej objaśni, że nie ma racji. Dobrze, panie inspektorze?

— Dobrze.

Właśnie stanęli przed willą. Na spotkanie wyszła wysoka, dość przystojna blondynka w okularach. Miała pełne, zmysłowe wargi i duże piersi. Okulary nie szpeciły jej, ale zakrywały wyraz jej oczu. Skłoniła się profesorowi, jakby Żbika wcale nie zauważyła i zwróciła się do Leszka.

— Chodź! Znów się spóźniłeś. A co to? — Wyrwała mu książkę z ręki i przeczytała tytuł. — Leblanc! Znów powieść kryminalna. Zabieram ją. Ile razy mówiłam ci, że tego ci nie wolno czytać. Ta literatura rozwija zbrodnicze instynkty.

Leszek spojrzał błagalnie i porozumiewawczo na inspektora, ale ten nie zdążył mu odpowiedzieć nawet spojrzeniem, bo profesor właśnie odezwał się do brunetki w średnim wieku, która wyszła im naprzeciw.

— Pozwolisz, że ci przedstawię pana Bernarda Żbika, mego dobrego znajomego i przyjaciela z lat uniwersyteckich. — Moja żona.

Inspektor ucałował z należnym uszanowaniem podaną mu wąską dłoń. Mimo woli obejrzał się i zauważył, jak energiczna „Fraulein” prowadziła Leszka Bredę do bocznego pawilonu i słyszał jej milknący w miarę oddalenia ostry, strofujący głos.

— Wando, wskażesz panu Żbikowi jego pokoje. Ja tymczasem pójdę się przebrać do obiadu. To samo chyba pan?

Profesor oddalił się z ukłonem, zaś pani Wanda ujęła inspektora pod ramię i zaprowadziła do pawilonu na lewo, do przygotowanych dlań dwóch pokoi.

— Pan jest przyjacielem mego męża?

— Raczej jego uczniem i dobrym znajomym. Pracowaliśmy razem w seminarium kryminalistycznym nad opracowaniem psychologii zeznań świadków i podejrzanych. Czytała pani tę pracę swego męża?

— Zdaje się, że... tak. Oczywiście.

Nie rozumiał jeszcze teraz jej nagłej konsternacji.

Przystanęli właśnie przed pokojem wyznaczonym dla Bernarda Żbika.

Zauważył, że pani Wanda chce go jeszcze o coś zapytać. Stała wahając się, ale można było łatwo wyczytać tę myśl z jej twarzy.

— I ja zauważyłem, proszę pani, że profesor jest ostatnio dziwnie zdenerwowany, chciałem więc panią o to samo zapytać, co pani mnie.

Roześmiała się za swobodnie, jak ocenił w myśli.

— Umie pan czytać w myślach! Pan jest detektywem z amatorstwa. Taki krajowy Sherlock Holmes, made in Poland.

— Trochę.

— Mam przyjaciółkę, która przepada za takimi. Szkoda, że jej tu nie ma. Jest na kuracji w Karlovych Varach. Hm... Tu jest pański pokój, proszę się rozgościć.

Skinęła głową, podała mu rękę i odeszła swobodnym krokiem, jeszcze raz przypominając, że na służącą ma dzwonić dwa razy.

Został sam w pokoju.

Nie rozglądając się nawet po swym nowym pomieszczeniu, zdjął futro i kapelusz i rzucił się na tapczan stojący w kącie. Zapalił cygaro i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w sufit i rozmyślał.

Sytuacja była dziwna – to należało stwierdzić. Dlaczego profesor przedstawił go żonie jako pana Żbika, a nie jako inspektora policji śledczej? Przecież to było nieuzasadnione. Przecież Leszek wiedział kim on jest i również mało było prawdopodobne, aby Wanda Breda nie dowiedziała się, że gości pod swym dachem detektywa. Dlaczego więc – u licha! – profesor, człowiek logiczny, przedstawił go jako pana Żbika? Można to było wytłumaczyć tylko w jeden sposób: roztargnieniem profesora, którego przyczyną była jego tajemnica.

A ten dziwny, bardzo dziwny zbieg okoliczności z liczbą 813. I kto przybił ten nóż i kartkę do sosny w lesie. Było w tym coś dziecinnego, naiwnego, ale... groźnego. Kim był tajemniczy wróg profesora, dlaczego profesor go osłaniał? Szopka czy tragedia, u licha!

Detektyw nie chciałby tego przyznać przed sobą samym, ale był zdenerwowany. Nie znosił tych niesamowitych historii i tajemniczych poczynań na oko nieuzasadnionych, a jednak w tym domu coś się działo, coś się rozgrywało, rozwijało. Co?

Przerwał nagle rozmyślenia, wstał wolno i na czubkach palców nóg podszedł cicho do drzwi. Przyłożył ostrożnie ucho do ramy, przez kilka chwil nadsłuchiwał bez ruchu, wreszcie szybkim zdecydowanym i uchem ujął klamkę i szarpnął ku sobie. W następnej chwili usłyszał przytłumiony krzyk i ujrzał już tylko znikającą za zakrętem korytarza sylwetkę tego, który podsłuchiwał. To był mężczyzna, inspektor poznał to po żółtych getrach, jakie zauważył na jego nogach.

Kto to mógł być i czego ten tajemniczy osobnik szukał pod jego drzwiami? Dlaczego podsłuchiwał? Przecież Bernard Żbik był sam w pokoju, a ludzie rzadko rozmawiają sami z sobą na głos. Więc to nie był podsłuchiwaniec, a podpatrywacz. Dziwne...

Zadzwoił dwa razy i po chwili zapukała do drzwi młoda panna, rumiana, pulchna, uśmiechnięta, w białym fartuchu i czepku.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry.

Podał jej rękę. Jej twarz wzbudzała zaufanie i inspektor postanowił ją sobie pozyskać.

Przez chwilę się wahała, wreszcie ujęła nieśmiało wyciągniętą ku sobie dłoń detektywa.

— Śmiało, moja ręka nie jest z porcelany.

Nie uśmiechnęła się.

— Panienska nazywa się Kasia. — Rzekł to tak pewnym tonem, jakby był na jej chrzcinach.

— Nie, proszę pana. Kazia to właśnie moja siostra. Ja jestem Stasia.

Musiał się uśmiechnąć, czego ona w żaden sposób nie mogła zrozumieć.

— Ładne imię. Siostra tu też służy?

— Tak. U pana profesora.

— Lubi panienska szofera Fuchsa?

Pytanie było tak nagłe i niespodziewane, że ją wyraźnie oszołomiło. Zmrużyła nieznacznie oczy, jakby pod wpływem silnego światła. Widocznie bała się powiedzieć to, co chciała.

— A pan mu to powie?

— Skąd! Na pewno mu nie powiem.

— No, to ja go nie lubię.

— Dlaczego?

— Źle mu jakoś z oczu patrzy.

Nie spodziewał się w niej zmysłu psychologicznego, jednak miała go, choć na pewno w bardzo prymitywnym stopniu.

Zapukano w tej chwili do drzwi.

— Proszę.

Stefan wszedł i oglądał przez chwilę to inspektora, to pannę Stasię. Detektyw wyczuwał z jego oczu, że chce mu coś powiedzieć w jego mniemaniu ważnego. Polecił więc Stasi odejść. Usłuchała wnet. Zostali sami.

— No, Stefan! — Co masz na sercu.

Bez słowa służący wyjął z kieszeni palta długą, białą, sztywną kartę papieru i podał ją inspektorowi.

— Znalazłem to w samochodzie, którym przyjechaliśmy. Było wetknięte pod rzemień jednego z naszych kuferków.

Detektyw wziął w milczeniu karton. Omal nie krzyknął. Nie ze strachu, ale ze zdumienia. Trzymał bowiem w ręku list ostrzegawczy. Na bieli kartonu czerniły się literki, tworzące zdanie:

BERNARDZIE ŻBIKU! — NIE WTRĄCAJ SIĘ W NIE SWOJE SPRAWY, BO ZGINIESZ.

Napisane to było dużymi literami.

Inspektor wyjął z teki cztery ćwiartki kartonu i porównał wielkość. Identyczne. Więc pisała je jedna osoba. Kartkę przybitą do drzewa nożem kuchennym z wypisaną liczbą, zakończoną na trzynaście i ten karton z idiotycznym ostrzeżeniem. Co to miało oznaczać? Prawdziwi zbrodniarze, przestępcy zawodowi nie chwytają się takich głupich, bezcelowych metod. W tych dwóch faktach – w nożu i w tym ostrzeżeniu – było coś. . potwornie dziecinnego, coś patologicznego, zwyrodniałego, co wskazywało na niedorozwój umysłowy sprawcy. Sprawcą jednak nie musiało być dziecko – także u dorosłych wiekiem ludzi zdarzają się niedorozwinięci, zbrodniarze, psychopaci – zbrodniarze. Jednak detektyw nie mógł się oprzeć wrażeniu, że autorem tych ostrzeżeń było dziecko.

A Leszek Breda czytał 813 i lubi tylko powieści kryminalne! Ech, absurd!

— Absurd! — szepnął do siebie Żbik przez zęby.

Przez chwilę stał w milczeniu. Wreszcie otrząsnął się, poleciał Stefanowi przynieść

ubranie z kufków i przebrał się w swój ulubiony szary garnitur. Stefan był już na tyle „wychowany” przez swego pana, że nie pytał nawet, co inspektor myśli o ostrzeżeniu na kartonie.

— Przez cały czas do znalezienia tej kartki nie opuszczałeś samochodu?

— Tylko na chwilę zsiadłem przed garażem, aby szoferowi lżej było wholować samochód do szopy.

— Kufry zostały wtedy w samochodzie?

— Tak.

— Zobaczmy — szepnął Żbik cicho.

— Co pan inspektor powiedział?

— Nic, Stefanie.

— Lepšie nic, niż rydz – jak powiedział pewien skazaniec, gdy mu zaproponowano, aby zjadł porcję zatrutych grzybów w śmietanie.

Bernard Żbik zaśmiał się głośno. Właśnie kończył wiązanie krawatu na miękkim kołnierzyku, gdy zapukała panna Stasia i oznajmiła, że obiad jest już podany i państwo czekają tylko na pana Żbika. Pan Stefan będzie jadł ze służbą w kredensie.

Stefan uśmiechnął się miło i podszedł do Stasi.

— Dobra jest. Pan inspektor już sam trafi, to jego specjalność. A panna mnie zaprowadzi. Na wszelki wypadek wezmę pannę pod rękę – jak powiedział kat do skazanej, prowadząc ją do szopy szubienicznej. Ot, tak. Bo...

Przeraźliwy, mrozący szpik w kościach, głuchy krzyk rozległ się w tej chwili gdzieś w oddali, w lesie i nie pozwolił Stefanowi dokończyć.

Bernard Żbik ujrzał naraz nienormalnie bladą twarz Stasi, jak dziesięcioma palcami swych rąk wpiła się w łokieć Stefana, który naraz stracił cały swój tupet i werwę do „katowskich dowcipów”. Nawet inspektor, przyzwyczajony do rzeczy straszliwych, drgnął odruchowo, gdy krótki krzyk przebrzmiał i znów zapanowała martwa cisza.

— Co to było?

Pytanie to zadał służącej. Stasia milczała, znów wracały jej rumieńce na twarz. Puściła rękę Stefana i swymi prymitywnie inteligentnymi oczami spojrzała w twarz inspektora.

— Co to było, panno Stasiu? Zdaje się, że pani mogłaby mi coś o tym powiedzieć.

Po pytaniu, powtórzonym przez detektywa w oczach dziewczyny zamigotał tak głęboki przestach, że poczuł prawie litość nad nią.

— Nie wiem, proszę pana. Naprawdę nie wiem. Tyle tylko powiem, że to nie pierwszy raz. Nie wiemy, skąd ten krzyk dochodzi. Raz rozlega się w jednej stronie lasu, innym razem na drugim krańcu. Myśmy się tu już trochę przyzwyczaili do tych krzyków. Nawet raz komendant posterunku przeprowadził prawdziwe dochodzenie.

Inspektor już przedtem zauważył, że Stasia mówi po polsku prawidłowo i gramatycznie.

— Stasia skończyła szkołę powszechną?

— Więcej, proszę pana. Skończyłam sześć klas gimnazjum.

— A teraz na służbie?

— Konieczność życiowa, proszę pana. Przecież z głodu nie zemrę. Praca nie hańbi.

Zadał jej jeszcze kilka pytań w kwestii tajemniczych krzyków, ale nic z niej nie wy dostał. Albo naprawdę nic nie wiedziała, albo bała się powiedzieć.

Stefan odzyskał tymczasem swój dobry humor. Nie umiał się martwić.

— Fest. Niech panna pozwoli, że ją obejmę. Mężczyzna jestem jak ten dąb i byle krzyku się nie złęknę. Idziemy! Na wszelki wypadek — jak brzmi nazwisko panny Stasi, jak powiedział kat do...

Oddalili się i Bernard Żbik nie usłyszał już, co powiedział kat. Stał zamyślony, poważny, zadumany nad tajemnicą willi „Gong”.

Rozdział III

CZŁOWIEK W ŻÓŁTYCH GETRACH

Dwa pokoje, wyznaczone jako mieszkanie dla inspektora Żbika i dla Stefana znajdowały się w lewym pawilonie willi. Willa „Gong” była bowiem zbudowana na kształt podkowy o nieco kanciastym łuku. Z lotu ptaka przypominałaby literę *U*, której amputowano ramiona, tak, że został tylko nieco wklęsły łuk i dwa pawilony boczne. W prawym pawilonie mieściły się pokoje chłopców i sypialnia profesora, która odegrała tak niesamowitą rolę w tragedii, jaka rozegrała się w willi „Gong”.

Wierzchołek podkowy-łuku zajmowały pokoje jadalne, sala przyjęć, biblioteka i pracownia profesora Bredy. Willa była jednopiętrowa, górne piętro było jednak niezamieszkałe z wyjątkiem dwóch pokoi, zajmowanych przez parę małżeńską, gości pani profesorowej.

Cała willa, a właściwie miniaturowy pałacyk, urządzona była możliwie nowoczesnie, z jednym wyjątkiem: nie miała oświetlenia elektrycznego. Nie było to oczywiście skutkiem niezamożności profesora, ale skutkiem wielkich trudności technicznych, spiętrzonych przeszkód prawno-publicznych, związanych z uruchomieniem elektrowni. Ta była już bowiem zbudowana i urządzenie elektryczne było całkowicie zainstalowane. W każdym pokoju był kontakt i nawet żyrandol z nowymi żarówkami. Brakowało tylko jednej rzeczy: prądu.

Kilka szczegółów architektonicznych willi wskazywało, że pałacyk zbudowany został prawdopodobnie bardzo dawno, w epoce króla Augusta Poniatowskiego lub nieco później. Różni późniejsi właściciele wprowadzali zmiany według swego widzimisię, tak że gmach stanowił konglomerat różnych stylów i epok; klasyczny gobelin francuski w beczennej ramie sąsiadował poufale z obrazkiem podhalańskim Stryjeńskiej, lub groteską-karykaturą Heath-Robinsona...

Gdy Stefan znikł ze Stasią za drzwiami przedpokoju, inspektor nie udał się jeszcze do sali jadalnej. Wiedział, że zwykle prosi się na kilka minut przed czasem, a przez te kilka minut on mógł rozejrzeć się w najbliższym terenie i zastanowić się nad sytuacją.

Wyjął z kieszeni swój nieodstępny notes w safianowej oprawie i odkręcił wieczne pióro. Postanowił zapisać sobie dla późniejszego ułatwienia dedukcji dotychczas zaobserwowane fenomeny-anomalia w willi. Prospekt, jaki sobie zrobił Bernard Żbik tego popołudnia, nie był wcale wesoły. Był ponury i groźny — przepowiadał, ostrzegał przed dramatem, który się wkrótce rozegrał. Genialna intuicja wielkiego detektywa i jego nadnormalna, imponująca spostrzegawczość pozwoliły mu już teraz, po dwóch godzinach, ujrzeć wiele strasznych zapowiedzi dramatu.

W willi — notował stenograficznie — przebywa człowiek, który godzi na życie mieszkańców lub co najmniej na życie profesora Bredy. Profesor musi wiedzieć, kim jest morderca in spe, albowiem zetknął się już z nim w bezpośrednim zwarciu, na co wskazywała rana postrzałowa na jego łokciu. Zarówno ten fakt jak i duże prawdopodobieństwo, że nie chodziło tu o zyski materialne (profesor miał duże dochody, ale nie posiadał kapitału), wskazywały na drugą hipotezę: że morderca in spe jest człowiekiem anormalnym lub mścicielem jakiejś krzywdy.

Morderca in spe jest prawdopodobnie w stosunku pokrewieństwa z profesorem Bredą.

Dlatego profesor go ukrywa. Piotr Breda pomimo swej niemal pewności, chciałby uwierzyć, że się myli, i dlatego sprowadził detektywa do willi.

Sprawa musi mieć skomplikowane podłoże psychologiczne.

Dowody rzeczowe: 1) Rana postrzałowa na łokciu profesora. 2) Nóż kuchenny i przybita nim do sosny w lesie kartka. Na kartce liczba „813” (uwaga: przypadkowo Leszek Breda, młodszy syn profesora ma właśnie z czytelnicy powieść Leblanca „813”. Pytanie: dlaczego profesor zerwał tę kartkę). 3) Ostrzeżenie pod adresem, detektywa wypisane czarnym atramentem na kartonie, który Stefan znalazł pod pokrowcem walizki w samochodzie, w jakim tu przyjechali.

Bernard Żbik zanotował w swym bloku uwagę końcową:

Punkty drugi i trzeci wskazują na dziecinność postępowania sprawcy. Przestępcy zawodowi nie są zwolennikami efektów literackich w tym rodzaju. Dlatego punkty te wskazują na wniosek, że osoba premedytująca zbrodnię, jest człowiekiem o umyśle patologicznym, spaczonym, który się jednak może doskonale maskuje pozorami inteligencji i wykształcenia, lub wychowania.

Na tym inspektor skończył. Nie wspomniał o krzykach, ani też o człowieku, który podsłuchiwał pod jego drzwiami, ponieważ – pomimo żółtych getrów – wciąż chciałby wierzyć, że to było złudzenie lub drobiazg nie mający ze sprawą nic wspólnego. Bo fakty te jako takie nie dawały się wprost uzasadnić. Pomimo to dodał notatkę końcową w formie kondycjonalnej: *Może zbrodniarz nosi żółte getry.*

Zamknął notes, włożył go do kieszeni swej marynarki i skierował się ku jadalni przez korytarz, łączący lewy pawilon ze środkowym. W ostatniej chwili zawrócił, wyjął z kieszeni palta swój rewolwer i przełożył go do kieszeni szarej marynarki, którą teraz nosił. W tym stanie rzeczy, jaki widział dotychczas, należało się spodziewać nawet najgorszego. Sprawdził dokładnie magazynek i włożył broń do kieszeni, którą zakrył klapą. Wiedział jednak, że w odpowiedniej sytuacji dobędzie jej błyskawicznie. Miał w tym dużą wprawę.

Korytarz, na który wyszedł, przypominał swym wyglądem jakiś refektarz klasztorny. Wąskie, głębokie okna z niszami podobnymi do strzelnic fortec średniowiecznych i „ślepe” żarówki w pająku nowoczesnego żyrandola sprawdzonego fotometrem dziwnie kontrastowały ze sobą. Na jednej ze ścian wisiał jakiś stary sztych i dwa pejzaże, zupełnie źle umieszczone optycznie.

Mimo woli inspektor rozglądał się w nadziei, że znajdzie coś, co niespodziewanie naprowadzi go na ślad tajemniczego zbrodniarza, który był na pewno jednym z domowników. Nie znalazł nic w tej chwili. Będąc z natury celowym myślicielem i psychologiem nie chciał nikogo brać w podejrzenie, póki nie znał wszystkich osób przebywających w tej chwili w willi.

Minął cicho długi, pusty korytarz, który na jednym odcinku był niemal zupełnie ciemny pomimo dnia, natrafił wysuniętą w mroku ręką na gałkę klamki i pchnął drzwi. Stał w przedpokoju, wiodącym do jadalni. Z prawej strony doszły go jakieś głosy. Rozróżnił głos profesora i Leszka. Mimo woli słuchał, żaden szczegół w tej sprawie nie mógł być zbyt cenny. Zbrodniarzem in spe był domownik, a więc: mężczyzna, kobieta lub nawet dziecko, choć to było wątpliwe. Teoretycznie jednak należało i to wziąć pod uwagę.

Ponieważ podlega w przedpokoju wyłożona była zakopiańska makata, więc mógł bez sprawienia szmeru podejść do drzwi na prawo, aby móc dokładnie usłyszeć, o czym mówi matka z inteligentnym synem.

Bernard Żbik po prostu przyłożył ucho do dziurki od klucza. Drzwi na wprost, wiodące do stołowego były dębowe i masywne, nie przepuszczały odgłosów. Gdyby je tak ktoś otworzył i zastał gościa, podsłuchującego pod drzwiami, za którymi rozmawiała żona gospodarza domu.. sytuacja nie byłaby rozkoszna, ale Bernard Żbik wiedział, że nie zarumieniłby się nawet. Etyka i

obyczajowość detektywa kryminalnego muszą niekiedy stać ponad kryteriami szablonowymi w społeczeństwie. W walce ze zbrodnią i przestępczością nie zawsze można wszystko brać przez rękawiczkę. Toteż inspektor podsłuchiwał teraz bez żadnych wyrzutów sumienia.

— ...a ty mnie nie chcesz rozumieć. Nie chcę więcej przebywać w towarzystwie guwernantki. Jestem od niej mądrzejszy i inteligentniejszy, a wy wciąż traktujecie mnie jak dziecko – bo jestem taki młody. Czy to moja wina, że rozwinąłem się tak prędko fizycznie i umysłowo. A ona jest taka głupia ze swą sztuczną powagą, fałszywą troskliwością o mnie i nadętą napuszonnością. Czasami mam ochotę ją udusić, gdy się rozgada.

— Co też wygadujesz, Leszku. Panna Maria jest twoją wychowawczynią i ma tylko twoje dobro na myśli. To ja jej kazałam, aby ci zabrała te powieści kryminalne. To ci wypaczy umysł. Czemu nie czytasz tych książek, które ci poleca panna Maria. Przecież ona ma więcej doświadczenia od ciebie.

— Powinna mieć, ale nie ma. Jest zwykłą, przeciętną kobietą, która bierze pieniądze za to, że udaje moją wychowawczynię. Ja mam tego dość, mam. To są bajki, a ja powtarzam, że to mnie tylko rozśmiesza, zaś książki, które sobie sam wybieram, a między nimi i powieści kryminalne, tak mi się podobają. Wprost zapominam o świecie, gdy czytam Conan Doyle'a lub Maya.

— Nie będę ci tego objaśniała. Zabraniam i basta. Rozumiesz! Panna Maria sama wie, co masz czytać.

— Bo jej za to płacisz, co? Nic właśnie nie wie. A ty, mam, nie jesteś wcale bardziej inteligentna od niej, pomimo że jesteś żoną profesora uniwersytetu. A na pewno jesteś mniej wykształcona. Tata zawsze ci przecież wypomina, że jesteś lalką i że on żałuje, że się z tobą ożenił. Skusił go tylko twój posąg i perspektywa łatwiejszego bytowania.

— Leszku! — Krzyk dyszał histerią.

Detektyw słuchał z zapartym oddechem. Dały się słyszeć kroki...

— Jeżeli mnie uderzysz, to ci oddam. Nic takiego nie powiedziałem, aby mi się należała kara. Biją tylko ludzie ordynarni! Za prawdę nie biją... Ach!

— Ach!... Ty...

Detektyw usłyszał dwa okrzyki. Leszek spełnił zapowiedź. Oddał matce uderzenie. W tej chwili ktoś pchnął drzwi od jadalni. Stał w nich profesor. Inspektor nie zdążył odskoczyć od drzwi, przy których podsłuchiwał. Nie był pewny, czy profesor zdążył zauważyć, czy nie.

To jednak nie odgrywało w tej chwili roli.

Piotr Breda podszedł do bocznych drzwi i zniknął za nimi. Na detektywa nawet nie spojrział. Po chwili wyszedł, trzymając Leszka za rękę; chłopiec był czerwony na twarzy i miał potargane włosy, dyszał dostrzegalnie. Za profesorem wyszła po chwili żona poprawiając niby lok, a w rzeczywistości ukrywając czerwone ucho za zasłoną dłoni. I ona zdawała się nie widzieć postaci detektywa. Mąż, żona i syn zachowywali się tak, jakby nic się nie rozegrało przed minutą.

Zasiedli do stołu w milczeniu.

Profesor, doskonale panując nad sobą, spokojnie przedstawił Żbika trzem osobom, których ten dotychczas nie widział.

— Mój starszy syn, Tadek. Pan inspektor Bernard Żbik.

Wskazany był młodzieńcem najwyżej dwudziestoletnim. Twarz jego miała wygląd zdrowy i dość inteligentny. Inspektor podał mu rękę i dopiero teraz zauważył – ...prawa ręka Tadka Bredy była bezwładna, uschnięta. Bernard Żbik zorientował się błyskawicznie i w milczeniu uściskał jego lewą dłoń – poczuł w uścisku, że jest spocona. Było to może nieprzyjemne.

Dłużej nie mógł go jednak obserwować w tej chwili, albowiem profesor wymienił: — Kuzynka mojej żony, pani Dillon. — Jej mąż, pan adwokat Dillon z Chicago.

Kuzynka, kuzyn, więc również krewni — przemknęło przez mózg detektywa, gdy ucałował piękną dłoń pani Dillon i uściśnął wielką prawicę jej męża. Mistress Dillon rzuciła nań ciekawe spojrzenie swych zamglonych oczu.

Widocznie – mimo że nastrój był dość naprężony i przykry – profesor i jego żona nie starali się wyjaśnić sytuacji. Pani Wanda usiadła umyślnie tak, aby zaczerwienione ucho było w cieniu. Siedziała na rogu stołu, a po jej prawej stronie siedzieli państwo Dillon. Profesor z Leszkiem zajmował miejsce u czoła stołu, zaś Bernard Żbik i Tadek Breda siedzieli obok, vis-à-vis profesorowej i kuzynostwa.

Leszek Breda wziął wykałaczkę ze szklaneczki, przytknął ją do zęba i spokojnie położył przed sobą na obrusie. Przez kilka chwil wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Po chwili jednak oczy jego znów się ożywiły – ale milczał.

Ktoś podsłuchujący za drzwiami, przysięgłby, że w tej szerokiej, niskiej jadalni nie ma żywej duszy. Takie panowało głucho milczenie. Ponurość nastroju potęgowały jeszcze dwa duże pająki ze świecami, jakie właśnie zapaliła służąca, w której rysach Żbik poznał Kazię, siostrę Stasi. Podobieństwo było istotnie zdumiewające – dopiero teraz inspektor uświadomił sobie znaczenie zdania Stasi: *Kazia to właśnie moja siostra*.

Krzesło obok Żbika było puste. Domyślił się, że to miejsce guwernantki, panny Marii, o której Leszek miał tak nikłą opinię.

Mrok zapadał szybko, a czarne, zachmurzone niebo nie rozpogadzało nastroju. Płomienie grubych świec woskowych chwiały się i kopały ciemno, rzucając ruchome cienie na ściany i wyolbrzymiając je z powodu swej pozycji na stole. Oświetlały jednak stół zupełnie jasno. Jaskrawo żółte (choć nie od starości) firanki falowały lekko widocznie skutkiem nieszczelnego zamknięcia okien. Pod wpływem jednak nastroju inspektor był skłonny uwierzyć, że ktoś ukrywa się za tymi nieprzezroczystymi żółtymi zasłonami. Może morderca!?! Brr... — pomyślał — jakim dobrodziejstwem jest żarówka elektryczna. Tylko siłą woli powstrzymał się detektyw od zajrzenia za zasłony okna. Ciągnęło go tam coś, aby sprawdzić swe dziwne podejrzenie.

Nadeszła panna Stasia. Obie z Kazia usługiwały do stołu. Chodziły w miękkich pantoflach filcowych i poruszały się cicho niby duchy. Może i im udzielił się nastrój atmosfery.

Piotr Breda jadł w milczeniu i tylko od czasu do czasu gładził delikatnie loki na głowie syna, Leszka. Byłyż to ruchy pieszczoty, czy też... obawy, litości?

Obaj bracia byli zdumiewająco niepodobni. O ile Leszek, pomimo swoich głęboko inteligentnych oczu wyglądał zupełnie jeszcze dziecinnie, o tyle Tadek Breda patrzył przed siebie poważnie i z zastanowieniem, acz pogodnie i łagodnie. Inspektor dałby wiele, aby poznać historię jego kalectwa, historię uschnięcia i bezwładu jego prawej ręki — mimo woli przyszła mu na myśl teza Birnbauma w jego *Kriminal-Psychopathologie* o zbrodniczej inklinacji nieuleczalnych kalek.

Adwokat Dillon musiał być sybarytą. Całą uwagę poświęcał jedzeniu. Od czasu do czasu uśmiechał się do pięknej profesorowej, a ta odpowiadała mu kokietyjnym rozwarciem warg. Jej zdenerwowanie po scysji z Leszkiem widocznie mijało. Detektyw wnioskował z tego, że awantura ta nie była pierwszą, albowiem nawet do awantur domowych można się przyzwyczaić.

Bernard Żbik obserwował w milczeniu te sześć osób. Nie mógł więc nie zauważyć, że młoda pani mecenasowa starała się uczynić wszystko, aby rozpogodzić oblicze profesora.

Pani Dillon była klasyczną pięknoscią. Jej pięknie toczona ramiona zasługiwały na uwiecznienie przez jakiegoś artystę-rzeźbiarza w białym marmurze z Carrary. Oczy miała niebieskawe o tym szarym mgiełkowym odcieniu, który nadaje pięknym kobietom jakiegoś

specyficznego, aksamitnego wdzięku. Miała piękne białe ramiona. Naprawdę piękne.

Jej mąż natomiast miał dziwną twarz. Inspektor nie chciałby być przesadnym w myślach, ale ta twarz nie podobała mu się od pierwszego wejrzenia. Było w niej coś wyrachowanie okrutnego. Duże, żółtawe zęby odsłaniały się podczas żucia. Wyglądały, jak zęby drapieżnego zwierzęcia. Może było to pozą, a może objawem naturalnym — mister Dillon poświęcał całą swoją uwagę jedzeniu. Tylko raz, gdy piękna jego żona wyraźnie uśmiechnęła się do profesora, mąż rzucił na nią z boku takie spojrzenie, że aż detektywa dreszcz przeszedł. To musiał być człowiek bez uczuć. Inspektor chciał dodać w myśli: — predysponowany morderca. Jednak na razie wolał wstrzymać się z opinią.

Ktoś stanął naraz obok jego krzesła. Ów ktoś pojawił się cicho i niedostrzegalnie, niby wąż. Detektyw nie obejrzał się — po oczach siedzącego obok Leszka poznał, że to guwernantka. Teraz dopiero mógł się jej przyjrzeć dokładnie. I ona była ładna. Co jak co, ale w tej ponurej willi spotkał już trzy ładne kobiety: profesorową, adwokatową i guwernantkę. Dziwna szczególnie była uroda tej ostatniej: czarne, oprawne w szylkret amerykańskie okulary wcale jej nie szpeciły, nawet dodawały jej uroku. Ubrana była w skromną ale doskonale skrojoną spódnicę i sweter uwydatniający jej duże i ładne piersi. Wyglądały jak wyzwanie. W sweter wpięta była długa szpilka z zieloną główką wyobrażająca węża-kobrę, podtrzymująca szarą kokardę. Detektyw widział takie upiększenie po raz pierwszy — spodobało mu się. Zwrócił też uwagę na wargi guwernantki, nieładne, nieco grubawe i splaszczone, wybitnie zmysłowe, jakby przed chwilą zmiażdżone w żarłocznym, namiętym pocałunku.

Bez słowa zajęła miejsce na wolnym krześle, między detektywem a Tadkiem.

Inspektor zauważył, że matowe rysy młodego Tadka Bredy ożywiły się natychmiast z chwilą pojawienia się panny Marii. Nie dziwiło to Żbika. Tadek nie miał jeszcze na pewno lat dwudziestu dwóch, a więcej niż osiemnaście. Był więc w tym niebezpiecznym, przełomowym wieku, w którym młodzi chłopcy płoną wobec kobiet, czytają różne „naukowe powieści” o życiu płciowym i na balet chodzą li tylko dlatego, aby oglądać nagie uda. Wzrok Tadka Bredy wprost przylegał do jędrnych, pełnych kształtów Marii, ale ona zdawała się nie zwracać na to uwagi, choć niewątpliwie to widziała. Nie ma kobiety, która by obojętnie znosiła spojrzenia mężczyzny. Jadła.

To milczenie przy stole zaczynało jednak ciążyć. Przerwane zostało w sposób zupełnie niespodziewany przez Leszka.

— Mamo, nie gniewasz się już na mnie? Prawda?

Wanda Breda spojrzała na syna ze złością, która wydała się inspektorowi wysoce niesympatyczna. Jej oczy i rysy zdradzały wszystko, tylko nie uczucia macierzyńskie. Nie odpowiedziała. Niemal ostentacyjnie odwróciła się od syna, który patrzył w jej twarz z zażenowaniem, czekając na odpowiedź. To niezrozumienie psychologii dziecka przez rodzoną matkę nie podobało się inspektorowi. Nie mógł się jednak wtrącać otwarcie do nie swoich spraw; mógł tylko obserwować. Zaczynał rozumieć, że profesor zapraszając go, to właśnie jego zadanie miał namyśli: obserwację.. mającą zapobiec tragedii. Ale jakiej tragedii?

Detektyw siedział w milczeniu przy stole. Dojrzał wyraźnie jakiś zły błysk w oczach Leszka po „odpowiedzi” matki. Może chłopiec z trudem tylko powstrzymywał łzy, a może tylko... tłumił wybuch. Przecież on przed półgodziną uderzył swą matkę.

Tadek Breda zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się rozgrywało przy stole. Był całkowicie pochłonięty przystojną, dojrzałą kobietą, która obok niego siedziała. Bernard Żbik zauważył dokładnie, jak młody człowiek pod pozorem sięgnięcia po sól przysunął krzesło bliżej i cofając rękę, otarł się nieznacznie o nagie, białe ramię guwernantki. Potem odstawił solniczkę, którą był wziął, nie czyniąc z niej użytku. Sól była bowiem tylko pretekstem — celem było białe

ramię kobiece.

Mister Dillon skończył wreszcie zupełnie z jedzeniem. Wytarł hałaśliwie nieco usta serwetką i przesunął krzesło, na którym siedział, jakby chcąc dać znak, że czas wstać. Pod tym względem inspektor był z nim jednej myśli. Przecież nic się nie stało podczas tego obiadu. A jednak.. było coś w atmosferze. Owo coś wisiało w powietrzu, niby niewidoczna maszyna piekielna nastawiona na określoną godzinę – aby wybuchnąć. Porównanie tajemnicy profesora Bredy z maszyną piekielną nie wydało się inspektorowi literackim.

Naprawdę, atmosfera przepojona była potencjalnym niebezpieczeństwem.

— Ha, ha!

— Dlaczego się śmiejesz, Leszku!

— Przypomniało mi się coś śmiesznego. Ha, ha!

— Ha! — Adwokat Dillon zaśmiał się również. To on zapytał Leszka o powód śmiechu.

— Jak smakował panu obiad?

Detektyw niemal drgnął. Głos profesorowej brzmiał konwencjonalnie, wodniście, bezesencjonalnie. Uśmiechnął się w odpowiedzi zdawkowo, automatycznie.

— Zupełnie nieźle.

— Pan jest prawdziwym detektywem?

— Tak.

— Hm...

Więcej nie pytała. Jak na żonę profesora wykazywała mało inteligencji towarzyskiej. (... *A na pewno jesteś mniej wykształcona. Tato, zawsze ci przecież wypomina, że jesteś lalką i że on żałuje, że się z tobą ożenił. Skusił go tylko twój posąg i perspektywa łatwiejszego bytowania.*) A może była tylko przygnębiona i zdenerwowana..

— Ja pana lubię, panie Bernardzie.

Leszek uśmiechnął się po tych słowach i podał rękę detektywowi. Matka rzuciła mu zły, zawzięty, nieinteligentny błysk oczu, zupełnie jakby go nienawidziła w tej chwili.

— Panno Mario, proszę odprowadzić Leszka do jego pokoju. Zdaje się, nie odrobił jeszcze lekcji historii. Miał się nauczyć o tym... Władysławie Szóstym.

— Mamo, jakaś ty nieinteligentna. Władysław Czwarty to nie Władysław Szósty. Nie było króla polskiego tej nazwy. Jeżeli już nie wiesz, to przynajmniej nie zabieraj głosu. Ignorant, gdy milczy, zyskuje już połowę wiedzy, której nie zna.

Matka nie odpowiedziała. Zaciśnęła tylko szczęki i spojrzała na syna z wyraźną nienawiścią.

— Panno Mario, słyszała pani?

— Tak, proszę pani.

Głos wychowawczyni brzmiał twardo i metalicznie. Musiało ją boleć, że musi się słuchać tej pseudodamy – ona, która skończyła pedagogikę na uniwersytecie. Tak przynajmniej ocenił Żbik treść jej krótkiego *Tak proszę pani*.

— Leszku, chodź.

Wstała, ujęła chłopca za ramię i niemal szarpnęła.

Chłopiec wydał lekki okrzyk bólu.

— Niech pani tak nie ściska. To boli! Proszę zobaczyć. Tak zawsze. — Wskazał detektywowi pręgę od palców guwernantki na przegubie. — Pani jest sadystką, panno Mario. Proszę mnie nie pchać, Sam pójdę. Do widzenia, panie inspektorze.

Wstał, odwrócił się od guwernantki, która wciąż nad nim stała, spojrzał jej prosto w twarz i zaśmiał się naraz.

— Jakie to ładne!

Szybkim ruchem wyrwał jej szpilkę z kokardki na piersiach. Bez słowa podniosła opadłą kokardę. Leszek wciąż trzymał szpilkę, oglądając ją z zainteresowaniem. Naraz zwrócił się do detektywa z dziwną uwagą.

— Wie pan, panie inspektorze. Tą szpilką można by łatwo zabić człowieka. Kobieta o skłonnościach sadystycznych, jak panna Maria, nie powinna mieć przy sobie takiej szpilki.

Guwernantka zachowała się tak, jakby nie słyszała słów chłopca. Milcząc wyciągnęła rękę po szpilkę, którą Leszek wciąż trzymał. Nastąpił szybki jak myśl ruch jego ręki, lekki okrzyk i na kciuku prawej ręki guwernantki wystąpiła ciemnoczerwona kropla krwi. Ukłął ją.

— A teraz, ma pani z powrotem swą szpilkę.

Już nic więcej nie powiedział, odwrócił się, a za nim poszła w milczeniu wychowawczyni, wysysając wargami krew z ranki na palcu.

Adwokat Dillon miał minę obojętną, jakby go nic nie obchodziło na tym nędznym świecie poza nim samym i kursem dolara. Tadek Breda patrzył w bok, unikając spojrzenia detektywa. Było mu przykro. Tylko cera profesora stała się naraz ziemista i blada, jakby z niej cała krew uciekła. Dopiero teraz inspektor uprzytomnił sobie, że przez cały czas obiadu profesor nie odezwał się ani słowem. To było dziwne.

Jedna pani Dillon patrzyła na Piotra Bredę z żywym współczuciem.

Przykre milczenie przerwał zgrzytliwy, sztuczny chichot profesorowej.

— Przepraszam państwa za ten incydent.

Słowa jej brzmiały tak, jakby były wyuczoną lekcją. Jak gdyby ją nauczono, że na odezwanie: smacznego – odpowiada się: dziękuję; na życzenie pomyślności: – nawzajem; na przykry incydent przy stole: – przepraszam państwa za ten incydent. I nic więcej, żadnego wyrazu oczu lub twarzy. Tylko słowa. Może ta pusta istota była tragedią profesora Bredy, jego tajemnicą. W takim razie skąd owa rana na jego rękę..

Mister Dillon zrozumiał widocznie, że szurganie krzesłem nie zda się na nic. Więc wstał.

— Pójdę się trochę przespacerować. Ciepło jest. Pojdzie pani ze mną, pani Wando? Pan profesor pozwoli? I ty też, my dear — zwrócił się do żony.

Piotr Breda skinął głową, jakby tępo.

Dillon ujął z galanterią nieco zbyt krzyczącą ramię profesorowej. Wyszli. Pani Dillon została na swoim miejscu przy stole.

— Czemu pan taki oszołomiony, inspektorze? Czy coś się stało?

Profesor aż nachylił się nad wciąż nieruchomo siedzącym detektywem, który jakby naraz usnął. Bernard Żbik uniósł ciężko powieki. Był naprawdę oszołomiony. Nie powiedział jednak profesorowi dlaczego. Nie mógł mu przecież powiedzieć, że przyczyną jego oszołomienia był fakt, że **mister Dillon nosił żółte getry!** Mister Dillon z Chicago. Z miasta zbrodni. – Inspektor nie mógł odegnać tej dziwacznej asocjacji.

Spojrzał na nachylonego nad nim profesora. Ujrzał jak naraz gałki oczne Piotra Bredy wystąpiły z orbit, a kościste palce uchwyciły ramię inspektora.

Albowiem w tej chwili znów zabrzmiał na dworze w ciemności ów złowrogi, choć łagodny, przejmujący dreszczem, choć cichy, dawny krzyk. Jakby daleki i bliski jednocześnie.

Ręka profesora trzymała wyciągnięty z kieszeni duży rewolwer. Czarny wzier lufy mimo woli skierowany był prosto w czoło detektywa.

Krzyk przebrzmiał nagle. Znów zaległa cisza.

Bernard Żbik delikatnie ujął rękę profesora i chciał wyjąć z niej wciąż trzymany rewolwer. Ale Breda potrząsnął swą siwą głową i sam schował broń na powrót do swej kieszeni.

— Słyszał pan, profesorze. Co to było?

Wargi Piotra Bredy rozchyliły się, uwidaczniając mocno zaciśnięte regularne zęby, przez

których szpary wydostało się tylko jedno słowo.

— Oszaleję.

Inspektor milczał. Musiał milczeć. Patrzył tylko na stojący przed nim cień człowieka. To nie był w tej chwili ów dawny Piotr Breda. Tu stał człowiek na wpół oszalały z przerażenia. I inspektor czuł w tej chwili jakieś dziwne drżenie w stawach. Był to strach, śmiertelna trwoga, jakiej nigdy dotychczas nie odczuwał w swym obfitym w niebezpieczeństwa życiu oficera służby śledczej. Czym uzasadniona?...

Trwoga...

Coś straszliwego wisiało w atmosferze, czaiło się gdzieś w kącie, gotowe, drapieżne, straszne. Owo nieznane niebezpieczeństwo – może kataklizm. Coś się stanie. Na pewno. Kiedy? Skąd? Dlaczego?

Bernard Żbik wstał, sięgnął ręką do stojącej w pobliżu karafki i nalał sobie dużą szklanke wody. Zimny napój przywrócił mu natychmiast przytomność umysłu. Teraz nie wolno było poddawać się psychozie przerażenia grasującej w tym domu tajemnic. Zbrodniarz musi być osobą żywą z krwi i kości, i tkanek. Trzeba działać. Należy, póki czas, sparaliżować jego zamiary mordercze. Trzeba go zdemaskować.

Palce inspektora odruchowo uderzały o biały obrus, pokrywający stół. Nie widział w tej chwili nikogo wokoło siebie. Widział tylko człowieka, który znał tajemnicę zbrodniarza – widział profesora Bredę.

— Kim on jest.

Trzy słowa wypowiedziane przez detektywa jakby znokautowały profesora. Rozumiał doskonale treść pytania. Nerwowo uderzył nogą o podłogę.

— Nie powiem panu.

— To jest *on* – czy *ona*?

Ramiona profesora zwęziły się naraz, jakby zapadły w sobie. Nachylił się tuż do ucha detektywa i szepnął, lecz szept ten brzmiał jak krzyk obłądnego strachu.

— Milcz! Ja nic nie powiem. Nic.

Potem nagle znieruchomiał. Otarł ręką wilgotne czoło i opanował się nieludzkim chyba wysiłkiem. Już był znów zupełnie spokojny. Nawet się uśmiechnął.

Ale stał wciąż na tym samym miejscu.

Rozdział IV

UDERZENIE W TYŁ GŁOWY

Adwokat Dillon nosił żółte getry. Człowiek, który podsłuchiwał pod drzwiami pokoju Bernarda Żbika nosił żółte getry. Wniosek jasny. Więc to nie było złudzenie optyczne. Ale czego, czego – na Boga – mógł chcieć gość profesora, i do tego adwokat, pod drzwiami inspektora? Przecież ani podsłuchiwać, ani podglądać nie chciał chyba. Więc może on tam coś zostawił? Może!... Nie – ta myśl była zbyt śmiała. A jednak... Czy w tym domu nie dzieją się rzeczy niezwykle. Co...

Profesor Breda stał już znów spokojny nad krzesłem swego przyjaciela i obserwował go w milczeniu. Detektyw widział, iż profesor chce czytać w jego myślach: czy on już coś wie?

Tadek Breda wstał, przeprosił ojca i Żbika, uklonił się ładnie pani Dillon i wyszedł trochę za szybkim krokiem, jakby się śpieszył. Jego uschnięta prawa dłoń kiwała się bezwładnie, gdy chodził twardym, krokiem. Wobec całej sceny, jaka się rozegrała przed chwilą zachował się chłodno i obojętnie, jak nieobecny. Inspektor gonił za nim wzrokiem, póki kaleka nie zniknął za drzwiami. Znów przyrzekł sobie, że musi poznać historię jego kalectwa.

Pani Dillon również wstała. Podeszła do profesora. Bardzo blisko. Czy nie wymienili porozumiewawczego spojrzenia. Inspektor nie był tego pewny. Teraz natomiast dojrzał senność i zmęczenie w oczach adwokatowej. Wyciągnęła zgrabne ramię w kierunku profesora. Głowa jej była wyprostowana jak głowa królowej-regentki.

W całej jej postaci można było wyczytać, iż kobieta ta zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że jest piękna, bardzo piękna. W jej pięknie tkwił jakiś majestat — pomyślał inspektor.

— Zdaje się, że mam trochę gorączki, profesorze. Przecież pan jest lekarzem. Niech pan zbada mój puls.

Piotr Breda ujął jej rękę w swą dłoń, a detektyw widział jak ta dłoń drży lekko. Miał też wrażenie, że profesor wcale nie zwracał uwagi na jej puls, aczkolwiek pro forma trzymał w ręku zegarek. Inspektor mógł jednak przysiąc na to, że jego stary przyjaciel nie widział w tej chwili wskazówki sekundowej, choć na nią patrzył.

— Gorączki nie ma. Najwyżej 37 stopni. Ale radzę pani trochę wypocząć w łóżku. Zaprowadzę panią do jej pokoju. Pan tu poczeka, inspektorze.

— Dobrze.

Wyszli oboje. Detektyw zdziwił się — pani Dillon zapomniała się pożegnać lub przeprosić.

Minęło aż piętnaście minut nim profesor wrócił, przez ten czas inspektor zanotował sobie kilka uwag w nieodstępnym notesie, aby potem móc przemyśleć cały materiał. Widział już coś niecoś, ale szczerze wolał przyznać, że jeszcze nie orientuje się w sytuacji. W każdym razie – w tej willi coś się działo, coś dojrzewało.

Czy dojrzewał plan zbrodni?

W tej chwili wrócił profesor. Usiadł przy stole naprzeciw detektywa i przez dłuższą chwilę milczał. Spozstrzegawczy inspektor zauważył oczywiście drobną czerwonawą plamkę na

górnjej wardze profesora. Plamkę od szminki. Piotr Breda całował się z piękną żoną adwokata. A tymczasem jej mąż flirtuje z pustą ale piękną żoną profesora. Wet za wet czy... rewanż przypadku — pomyślał Żbik z właściwym mu zmysłem humoru, chociaż daleki był w tej chwili od śmiechu. Bardzo daleki...

Żółte getry adwokata nie dawały mu spokoju. Psiakrew! Ale to się w żaden żywy sposób nie daje uzasadnić. Po co, do licha!... Po co?...

Wreszcie Piotr Breda otrząsnął się z ciężkiego zadumania. Jego przez kilka chwil rozmarzona twarz (może optyczne, czuciowo-ruchowe wspomnienie pocałunku) spoważniała naraz, a szare oczy pod gęstymi brwiami posmutniały nagle.

Nie mówiąc ani słowa, wyjął z kieszeni marynarki białą, zwykłą kopertę. Przez chwilę oglądał ją, przy czym wyraźnie zagryzł dolną wargę i to dość mocno. Z wargi uciekła wszystka krew.

Profesor zawahał się, ale tylko przez chwilę.

— Otrzymałem dziś ten list poranną pocztą. Stempel miejsca nadania Warszawa I, między piętnastą a szesnastą dnia wczorajszego. Czytaj pan...

Bernard Żbik nasamprzód obejrzał kopertę. Przytknął ją naraz do nosa. Poczłł bowiem znany mu dobrze zapach. Proszek lycopodium.

— Badał pan tę kopertę daktyloskopijnie, profesorze?

Profesor nie zdziwił się jego domyślności, znał go pod tym względem zbyt dobrze.

— Badałem.

— Znalazł pan coś? Jakies odciski palców?

— Nic — odparł Breda lakonicznie.

Inspektor obserwował tylko jego oczy.

— Tym razem pan znów kłamie, profesorze. Pan znalazł odciski palców. **Odciski palców, których właściciela pan zna.**

Piotr Breda milczał, chociaż wiedział, że w tym wypadku dla Bernarda Żbika znaczy to qui tacet consentire videtur.

Detektyw otworzył list i wyjął arkusik papieru. Było na nim wypisane tylko jedno słowo: *Zginiesz.*

Co to miało oznaczać. Jak złowrogo brzmiał ten jeden wyraz.

Zginiesz.

Obejrzał adres na kopercie: *Wielmożny Pan Prof. Breda, Wilanów, willa „Gong”.*

Charakter pisma okrągły. Tak piszą dzieci i kobiety, i osoby, które mało piszą — jednym zdaniem: ludzie, których pismo nie nabrało jeszcze charakteru. Materiał najbardziej trudny dla grafologa — bo mało ma stałych cech charakterystycznych, tak zwany charakter pisma bez charakteru.

Zginiesz.

— Co pan powie o tym, inspektorze?

Detektyw potrząsnął głową.

— Ja? Nic. Pan mnie tu wezwał, bądźmy szczerzy, bo potrzebuje pan mojej pomocy.

Ponieważ zamierzałem cały urlop spędzić w Warszawie, chętnie zgodziłem się na mały wypad do pana. Zawszeć to lepiej niż w mieście. Teraz, gdy przybyłem i chcę działać, utrudnia mi pan akcję, nie ujawniając stanu faktycznego. A tu w domu rozgrywa się coś bardzo niebezpiecznego. Bardzo.

— Co pan chce wiedzieć?

Bernard Żbik sięgnął po papierosa i poczęstował profesora. Wyliczał na palcach.

— Chcę wiedzieć bardzo dużo. Po pierwsze: kto strzelił panu w łokieć? Przecież pan nie sądzi, że uwierzyłem w tę bajkę o skaleczeniu o drut kolczasty. Zbyt dobrze znam się na tym wszystkim. Rana najwyraźniej wskazuje na postrzał i to z bezpośredniej bliskości. Sądzi pan, że nie widziałem osmalenia i wlotu? Po drugie: Czyje odciski palców znalazł pan na tej kopercie? Po trzecie: Dlaczego pan osłania człowieka, który godzi na pańskie życie? O ile zdołałem zauważyć, tym, który godzi na pańskie życie, jest ktoś z domowników. Dlaczego pan go po prostu nie każe aresztować, lub przynajmniej dlaczego pan nie wnosi oskarżenia? Co się kryje za tą ponurą tajemnicą? Czyje krzyki słyszałem już trzykrotnie w lesie? Na każde z tych pytań mógłbym zdaje się otrzymać odpowiedź od pana, profesorze... Ale pan milczy zawzięcie.

— I będę milczał. Muszę milczeć.

Ton odpowiedzi wykluczał wszelką ewentualność perswazji. Widocznie profesor musiał naprawdę milczeć. Prawdopodobnie ujawnienie tajemnicy byłoby dlań straszliwsze w skutkach od jej zatajenia. Tak przynajmniej musiał to uzasadniać Bernard Żbik. Skazany był więc w tej niesamowicie dziwnej sprawie na własne siły.

Ujrzał łzę w oczach profesora. Spływała po jego pergaminowym policzku. Ale on jej nie ścierał. Zapadł się nagle w siebie jak poprzednio. Potężne bary (był naprawdę bardzo atletycznie zbudowany) jakby zwiotczały, skurczyły się niby wyciśnięte. Ten człowiek cierpiał w tej chwili. Dlaczego krył zbrodniarza?

— No... dobrze. Czego pan w takim razie chce ode mnie. W czym mogę panu pomóc.

— Chcę, żeby mnie pan bronił przed samym sobą.

Po tym niesamowicie dziwnym zdaniu Piotr Breda naraz wstał i szybko zniknął za kotarą osłaniającą drzwi wiodące na korytarz prowadzący w głąb domu. Słysząc było przez chwilę jego oddalające się, przytłumione kroki. Potem wszystko umilkło.

Było cicho.

Bernard Żbik został sam jeden w tym pustym, niskim pokoju oświetlonym ponuro dziesięcioma świecami z dwóch pajaków.

Co miały oznaczać zagadkowe słowa profesora: *chcę żeby mnie pan bronił przed samym sobą*? Byłabyż to myśl samobójcza. Rezygnacja z obrony przed nieznanym mordercą? Nie – tę ewentualność wykluczył po namyśle. Więc...

Nad stołem zwisał duży sznur z chwastem. Dzwonek. Inspektor pociągnął i po chwili zjawiła się w pokoju Kazia.

Stała w drzwiach i ujrawszy detektywa samego aż cofnęła się – z przestraszeniem?

Jej drobne, choć nieco grube palce płąsały nerwowo na koronce białego fartucha.

Mrugnęła kilka razy powiekami, jakby zbudzona ze snu.

— Pani się przelęknęła, panno Kaziu?

— Pan mnie zna? (Dlaczego ominęła pytanie?)

— Pani siostra opowiadała mi o pani. Jesteście bliźniaczkami.

— Tak.

— Dlaczego pani się przelęknęła?

Zahaczyła paznokciem o koronkę i rozdarła jedną kratkę na fartuchu. Dotknęła wysuniętym językiem dolnej wargi, zamknęła gwałtownie usta i ugryzła się w język.

— Myślałam, że tu nikogo niema.

Detektyw się roześmiał.

— Gdyby tu nikogo nie było – kto mógłby zadzwonić?

Pozorna logiczność pytania oszołomiła ją. Myślała znacznie wolniej od niego i dlatego nie od razu zrozumiała.

— Ale, nie! Właśnie tego się bałam. W zeszłym tygodniu też usłyszałam dzwonek. Pan

profesor był wtedy w Warszawie, a państwo wszyscy na wycieczce. Dziwiłam się – kto mógł dzwonić. I gdy tu przyszedłam nie było nikogo. Myślałam, że umrę z przerażenia. Omal nie zemdlałam.

Jej opowiadanie, wypowiedziane swoistym, chaotycznym stylem brzmiało na pozór absurdalnie i bez logiki, ale domyślny inspektor zrozumiał ją.

— Pani więc sądziła, że teraz nikogo tu nie będzie?

Zawahała się niedostrzegalnie. Musiała coś ukrywać. Naiwne oczy latały niespokojnie po całym pokoju, omijając detektywa.

— Tak.

— Więc tak należało powiedzieć od razu, a nie odwrotnie. Musi pani mieć do mnie zaufanie, panno Kaziu.

— Pan jest detektywem?

— Aha.

— To dobrze.

— Dlaczego dobrze?

— Bo tu się coś dzieje w domu. Pan profesor już od dwóch tygodni jest przerażony. Czasami to nie wie, co się do niego mówi. A panicz Tadek stale nosi przy sobie nabity rewolwer. Umie doskonale strzelać lewą ręką. Tylko panicz Leszek śmieje się jak zawsze.

Więc Tadek Breda był stale uzbrojony. Ten szczegół mógł mieć znaczenie.

— Pani profesorowa też jest uzbrojona?

Wydęła wargi w pogardzie.

— Taka tam ona profesorowa, jak ja królowa piękności, bo...

Urwała w połowie zdania. Jako dobry psycholog detektyw od razu zmienił temat.

— Jak dawno gości tu pan adwokat Dillon z żoną?

— Od dwóch tygodni.

— I od dwóch tygodni pan profesor jest przerażony. Tak wspomniała pani przedtem. Co pani sądzi o panu Dillon?

— Sądzę? — Nie zorientowała się w pierwszej chwili. — E, ten to myśli tylko o żarciu, za przeproszeniem pana. I...

Przerwała naraz. Wykonała jakiś nieskoordynowany ruch ręką i wystąpiła jedną nogą, jakby chciała zawrócić i uciekać.

— Słyszysz pan? Znów...

Zęby dzwoniły jej z przerażenia.

— Cicho, panno Kaziu — odszepnął inspektor jak mógł najciszej.

— **Cicho!**

Słyszał teraz wyraźnie cichy szmer, dochodzący zza korytarza, jakby z głębi. Na czubkach palców zbliżył się do drzwi. Szarpnął je na roścież. Strzelił w ciemności snopem światła swej latarki.

Ale w korytarzu nie było nikogo.

I ów dziwny szmer naraz ustał. Znów było bardzo cicho. Zawrócił od drzwi, zamknął je i podszedł do Kazi. Siedziała na krześle obok ściany jedną ręką oparta o rurę przewodów hydraulicznych przebiegającą właśnie w tym miejscu.

Leżała nieruchoma. Martwa.

— Panno Kaziu!

Krzyczał. I potrząsnął nią mocno. Boże. Boże! Co się działo w tym domu!

Nie! Nie była jeszcze martwa. Nagle otworzyła szeroko oczy, uśmiechnęła się przez łzy. Bernard Żbik wyczałowałby ją w tej chwili za to, że żyła.

— Zemdląła pani?

Potrząsnęła głową z nagłą powagą.

— Nie. Na pewno nie zemdląłam.

Przez chwilę sądził, że nagle zwariowała. Ale łudził się.

— Nie zemdląłam. **Tylko ktoś uderzył mnie w głowę, w chwili, gdy pan stał tam w korytarzu.**

Inspektor po raz pierwszy poczuł dreszcz przestachu pod naskórkiem.

Ktoś uderzył ją w głowę!

— Jak to?! Przecież tu w pokoju nie ma nikogo.

Nie dokończył. Jednym skokiem znalazł się obok żółtej firanki. Odchylił ją. Okno było zamknięte. Nie było nikogo ukrytego.

Omam nie roześmiał się histerycznie. Opanował się siłą woli. Słyszał kiedyś od znajomego lekarza, że psychiatrzy kończą często obłąkaniem, ponieważ wpływa na nich tryb życia w domach wariatów. Wtedy oponował zawzięcie przeciw tej tezie – teraz skłonny był w nią uwierzyć.

— Na pewno mnie ktoś uderzył — powtórzyła Kazia z przekonaniem.

Znów błysnęła mu myśl, że dziewczyna naraz dostała ataku obłądzenia? Paranoja?

Atawizm?...

— Gdzie panią uderzył? Może pani wskaże to miejsce.

Poruszała się z trudem. Pomógł jej wstać i podprowadził ją do szerokiego fotela stojącego przy stole. Opadła weń z głuchym jękiem.

— Gdzie panią uderzono? — powtórzył.

— Tu.

Wskazała na tył czaszki. Inspektor oświetlił to miejsce latarką. Nie było żadnego śladu. Nacisnął lekko wskazującym palcem.

— Boli?

— Nie. Wcale.

— Na pewno twierdzi pani, że ktoś panią uderzył w tył głowy.

— Tak.

— Proszę mi dokładnie wszystko opowiedzieć.

Wyprostowała się już zupełnie. Drżała jednak jak w ataku malajskiej febry.

— Gdy pan inspektor usłyszał ten szmer, powiedział pan, abym zachowała się cicho i doszedł do drzwi, a potem wypadł na korytarz. Wtedy i ja chciałam pójść za panem i gdy znalazłam się obok tego krzesła, ktoś — otarła dłonią wilgotne czoło — ktoś uderzył mnie w tył głowy i upadłam na to krzesło.

Podszedł do wskazanego krzesła, stojącego pod ścianą o dwa metry przed nimi. Było takie jak inne. Wysokie, masywne, plecione, z mosiężnymi ozdobami na szczycie oparcia. Podniósł je — było ciężkie, ale tego się spodziewał.

Może Kazia tylko zemdląła i myślała, że ją uderzono. Takie wypadki są możliwe — człowiek w chwili omdlenia traci przytomność...

— Dlaczego pani przedtem powiedziała: Słyszysz pan? Znów. — Co miało oznaczać słowo: znów.

Widział jak wzdrygnęła się po ostatnim pytaniu. Oparła się obiema dłońmi o stół, jakby miała upaść. Przemogła się jednak. Uniosła prawą dłoń i położyła palec wskazujący na dolnej wardze.

- Bo ja już słyszałam ten dziwny szmer kilka razy.
— I zawsze w tym pokoju od strony korytarza?
— Nie. Słyszałam go również w kuchni i w sypialni pana Tadka, gdy ścieliłam mu łóżko.
— A pan Tadek był wtedy w pokoju.
— Kiedy?
— Gdy pani ścieliła mu łóżko.
— Był.
— I on słyszał ten szmer?
— Nie pytałam go.

Zarumieniła się naraz aż po białka oczu. Zauważył to, ale nie pytał o przyczynę. Nigdy nie pytał, gdy wiedział.

- Gdzie mieści się pokój pana Tadka?
— W prawym pawilonie. Obok sypialni pana profesora.
— W którym pokoju śpią państwo Dillon?
— Na piętrze.
— Słyszała pani te szmery również na piętrze kiedykolwiek?
— Nie pamiętam. Zdaje się, że nie.
— Dobrze już, panno Kaziu. Powie mi pani jeszcze jedno: Z ilu osób składa się służba domu?
— Jest nas troje. Ja z siostrą i szofer, pan Kazimierz.
— Świetnie. Dziękuję pani bardzo, panno Kaziu. Niech pani nikomu nie wspomina ani o naszej rozmowie, ani o tym uderzeniu. Zemdląła pani i zdawało się pani, że panią ktoś uderzył. Dziękuję.

Wzruszyła ramionami. Czekwała.

- Na co pani czeka?

Zbliżył się tuż do niej i ujrzał jej rozszerzone ze strachu gałki oczne.

- Tam...

- Gdzie?

- Tam w korytarzu jest... ciemno.

Zrozumiał ją natychmiast.

— Dam pani jedną z moich latarek elektrycznych, choć to właściwie zbyteczne. Latarkę zwróci mi pani potem.

Wzięła baterijkę lekko drżącymi palcami i wyszła. Od stołu do drzwi wiodących na korytarz były tylko trzy kroki, a jednak obejrzała się po tej „drodze” aż czterokrotnie. Widać było, że się boi.

I Bernard Żbik się bał. Bo w tym domu grasował zbrodniarz. Tym straszniejszy, że nieuchwytny. Zbrodniarz, który jeszcze nie popełnił swej zbrodni, ale dążył do niej konsekwentnie i pewnie. Profesor może wiedział kim jest ów zbrodniarz. A może tylko podejrzenie straszliwe w swej prostocie i sprowadził detektywa po to tylko, aby to podejrzenie obalić.

Inspektor zapalił papierosa i wyjął swój notes. Znał już cały skład personalny willi: 1) Profesor Breda. 2) Jego żona, Wanda. 3) Tadek starszy syn. 4) Leszek, młodszy syn. 5) Adwokat Dillon. 6) Jego żona. 7) Guwernantka-wychowawczyni, panna Maria. 8) Fuchs, były więzień, obecnie szofer profesora. 9) i 10) Stasia i Kazia, służące.

Rozważając czysto teoretycznie jedna z tych osób była mordercą in spe – zamierzała zabić drugą, profesora Bredę. Jedna z tych osób posłała ostrzeżenie i groźby do niego i do profesora. **Jedna z tych osób zamierza popełnić zbrodnię**, prawdopodobnie morderstwo!

Zginiesz. Brr! Co za wstrętna atmosfera.

Stosunek tych osób do siebie przedstawiał się na razie jak następuje: Profesor (1) nawiązał romans z piękną adwokatową (6), zaś profesorowa (2) flirtowała z panem Dillon (5), możliwe zaś, że flirt zaszedł już najdalej. Leszek Breda (4) czyta powieści kryminalne, pogardza swoim bratem kaleką (3) i jest znienawidzony przez swą matkę (2) z powodu swej inteligencji nadmiernie rozwiniętej. Tadek Breda (3) podkochuje się w guwernantce (7) swego brata. Było w tej sytuacji coś upiornie groteskowego, co przypominało stare operetki francuskie. Ta willa, pozbawiona światła elektrycznego, ciemnawa, ponura, okryta patyną ubiegłego stulecia, ten wybitny psychokryminolog i podróżnik mający swą tajemniczą tajemnicę, te dziwne szmery, te stosunki i stosuneczki – wszystko to dałoby się świetnie umieścić w ramach jakiejś Wallace'owskiej operetki kryminalnej. Ale to jednak nie była operetka. Coś groźnego wisiało w powietrzu. I oby to się źle nie skończyło...

Bernard Żbik znieruchomiał naraz, jak zahipnotyzowany. Jego długa, ładna dłoń zatrzymała się niby sparaliżowana, gdy chciał wytrząsnąć popiół do płaskiej mosiężnej popielniczki.

Za drzwiami od strony korytarza słyszał cichy, lecz wyraźny szmer skradającego się człowieka.

Detektyw podszedł jak najbliżej do drzwi, ujął klamkę i szarpnął potężnie.

Wysunął głowę na korytarz i w tej chwili uczuł pchnięcie czymś twardym w swą skroń. Uchylił się błyskawicznie – ale ta sekunda wystarczyła tamtemu do ucieczki. Już zniknął.

Bernard Żbik się podniósł. Korytarz był znów ciemny i pusty.

Rozdział V

STRZAŁ W LESIE

Zaświecił latarkę.

Korytarz był pusty.

Inspektor nachylił się i podniósł mały błyszczący przedmiot, leżący u progu drzwi. Przedmiot, ten wypadł na pewno tajemniczemu napastnikowi podczas gwałtownej ucieczki. Przyjrzał mu się dokładnie.

Był to mały brelok damski z literami SD wygrawerowanymi na złotej płytce w kształcie serca.

Brelok damski! Więc to była kobieta.

— SD, SD — syknął detektyw przez zęby i przyrzekł sobie, że przy najbliższej sposobności upewni się, jakie nosi imię piękna mecenasowa Dillon, kobieta z Chicago.

Postanowił nic nie mówić nikomu o swoich spostrzeżeniach. Miał wrażenie, że w tym domu naprawdę ściany mają uszy. Mimo woli przyszła mu na myśl sprawa *Człowieka z Kimberley*. I tu, jak tam czuł w powietrzu jakąś nieznaną, tajemniczą osobę. Czuł oprócz tych dziesięciu tego **jedenastego**, nieucieleśnionego, istniejącego raczej w objawach niż w rzeczywistości. Nieuchwytnego.

Wstał. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Postanowił się trochę przewietrzyć. Dziwnie go tu traktowano choć... dziwna też była atmosfera w tym domu. Nie odnoszono się doń wcale jak do gościa. Pani domu idzie sobie na spacer, a pan domu po prostu ucieka po wypowiedzeniu zagadkowego zdania. Ale należało też mieć na uwadze nienormalność sytuacji. Może profesor nakazał żonie, aby nie narzucała Żbikowi swego towarzystwa niepewnej wartości. Może chciał mu zostawić swobodę działania.

Detektyw szedł w kierunku swego pokoju. Uśmiechnął się mimo woli. Jeszcze w żadnej sprawie nie myślał tak kondycyjnie i bezprzedmiotowo jak w tej. Tkwił w niej jakiś irrealizm.

Musiał tu działać na własną rękę.

W swoim pokoju zastał Stefana nad najnowszą powieścią MacDonalda. Stefan miał niemiły zwyczaj czytania na głos.

...Zwyrodnienie humoru stwarza najbardziej patologicznych zbrodniarzy, droga Lucjo — rzekł Antoni Gethryn.

Ujrzawszy swego pana Stefan umilkł, założył książkę palcem i wstał. Bernard Żbik stał przez chwilę w milczeniu. Zastanowił się nad zdaniem, które właśnie odczytał jego służący: *Zwyrodnienie humoru stwarza najbardziej patologicznych zbrodniarzy.*

— Co czytasz, Stefan?

— Na wszelki wypadek *RIP* pana Philipa MacDonalda. Fajny chłop, jak powiedział kat i poklepał skazańca jowialnie po ramieniu.

Stefan nie znał widać osobiście ani jednego autora powieści kryminalnych, bo stale dodawał przed ich nazwiskiem słowo *pan*. Autor kryminalny był dla niego czymś zbliżonym do Boga.

— Podaj mi futro.

— Proszę. Czy pan inspektor ma przy sobie rewolwer? Na wszelki wypadek lepiej jest kogoś zastrzelić, niż samemu być zastrzelonym – jak powiedział pewien dowódca plutonu egzekucyjnego.

Uwaga o rewolwerze zdziwiła detektywa. Zapytał jednak, jakby od niechcienia.

— Dlaczego tak sądzisz, Stefan?

Służący przestąpił kilkakrotnie z nogi na nogę. Był tak zaambarasowany, że aż odłożył książkę, nie zakładając przerwy, co mu się – jak detektyw wiedział – bardzo rzadko zdarzało.

— Bo mi się tu nie podoba i już. Takie dziwne powietrze w tej willi. I ten karton spod pokrowca. Czuję, że to się dobrze nie skończy, jak rzekł pewien skazaniec, jadąc na plac kaźni. Stasia opowiadała mi...

Aha. Więc tu tkwiła tajemnica jego intuicji.

— Już się zaprzyjaźniłeś ze Stasią, ty kobieciarzu.

— E, pan inspektor żartuje. Zresztą co? Chłop jestem na schwał z krwi i kości. Zdobyć kobietę to dla mnie mięta – jak mawiał drugi sekretarz głównego eunucha na dworze Abdul Hamida. Lecą na mnie psiekrwie aż miło. I w dodatku tu, w tym domu. Każdy mieszkaniec ma minę, jakby za nim ktoś chodził z nabitym karabinem maszynowym Hotkissa w rękę. Nic dziwnego, że Stasia tak do mnie przylgnęła. Po prostu dlatego, że jestem nowym człowiekiem. Przylgnęłaby i do pana inspektora, gdyby pan nie miał takiej inteligentnej twarzy. Ot, co...

Było dużo racji w tym prymitywnym rozumowaniu, ale Bernard Żbik nie odpowiedział. Skarcił tylko Stefana ostrym spojrzeniem i wyszedł na korytarz. Stefan to bardzo sympatyczny chłop, ale inspektor miał pewne niewzruszone zasady. Nie spoufalął się z ludźmi mniej od niego wartościowymi, chyba że wymagało tego dobro śledztwa.

Chcąc wyjść do lasu musiał przejść jadalnię i korytarz, na który wychodziły drzwi pracowni profesora.

Bernard Żbik był dość wysokiego wzrostu, choć w paszporcie figurował jako średni. Przechodząc obok niskich drzwi gabinetu profesora zajrzał do wewnątrz przez górną szybę.

Piotr Breda stał przy biurku i przyciskał obie pięści do czoła. Wielka czupryna siwych włosów rozwiana dookoła głowy wyglądała niby biała aureola przerażenia. Oczy akcentowały to porównanie.

Inspektor decydował się szybko. Zapukał i wszedł od razu.

Profesor nie zdziwił się, wskazał mu ręką krzesło, ale detektyw nie usiadł.

Na zielonej bibule biurka leżały książki: Jedna z nich była otwarta.

Inspektor odczytał nagłówki na grzbietach: *Enzyklopädisches Handbuch des Kinderschutzes und der Jugendfürsorge*. Dix – *Das Problem der Jugendlichen*. Knebel, Doberitz – *Die Kriminalität der Jugendlichen und ihre Bekämpfung*. Zaś w otwartej książce podkreślone było czerwonym ołówkiem zdanie: *Die Erhebung der persönlichen Verhältnisse der jugendlichen Verbrecher ergibt klar den Zusammenhang zwischen ihren Missetaten und der Umwelt der sie entstammen*. Obok przeczytał pierwsze zdanie: *Psychastenie, ein Zustand vermindeter psychischer Widerstandsfähigkeit...*

W tej bowiem chwili profesor poczęstował go papierosem.

— Co to, profesorze?

— Mam za tydzień wykład o przestępczości nieletnich. Już sześć dni się do niego przygotowuję. Bardzo ciekawy temat.

Ożywił się. Rumieniec wystąpił na jego oblicze. Na chwilę jakby zapomniał o swej tajemnicy. Ale po minucie znów spochmurniał.

— Czemu pan taki smutny, profesorze?

— Widocznie są przyczyny po temu. Nie jest pan chyba oburzony z powodu mego ustosunkowania się do pana. Chciałbym, żeby mnie pan mógł zrozumieć. Niestety, nie mogę panu nic powiedzieć. Nie mam pewności. A podejrzenie moje jest tak straszliwe, że – niech się pan nie śmieje – utwierdziłaby mnie w nim tylko moja śmierć. Paradoks, co?

Westchnął głęboko.

Usiłował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się.

— Pójdziemy na mały spacer, pogawędzmy, pogoda jest naprawdę letnia. To pana uspokoi.

— Naprawdę, nie mogę, inspektorze. Muszę jeszcze przeczytać tę książkę. Wskazał na grube dzieło: A. Levinneck – *Kinderselbstmorde und Elternhaus*. — Czy nie obrazi się pan, jeżeli pana wyproszę. Mam dużo pracy.

— Ależ, profesorze. Ze mną tylko bez skrupułów. Ja bym pana również wyprosił w takim wypadku.

Podał rękę psychiatrze-kryminologowi i wyszedł. Gdy już stał za drzwiami obejrzał się mimo woli. Przez szybę widział jak profesor wyjął z kieszeni rewolwer, obejrzał go starannie i schował do kieszeni. Potem podszedł do okna, uchylił je, choć pomimo „letniej pogody” na dworze było przecież chłodno i ciemno, wyrżał, jakby kogoś oczekiwał („może mordercy”). Zamknął szybko okno, wrócił znów do biurka i wyjętym z kieszeni kluczykiem patentowanym otworzył szufladę i wyjął z niej mały czerwony kajecik. Zanotował w nim coś i schował na powrót do szuflady, którą starannie zamknął, próbując kilkakrotnie.

Inspektor wycofał się wolno, rozmyślając. Zachowanie profesora było już nie dziwne ale wprost nienormalne. Ten rewolwer, to trwożliwe rozglądanie się, ów obłądny strach w oczach... Coś się tu dzieje w domu...

Owinął się staranne futrem, podniósł kołnierz i wyszedł na dwór. W ręku miał swój alpejski kij, w kieszeni nieodstępną latarkę i mauzer.

Skręcił w lewo, w las. Nigdy, nawet jako dziecko nie znał uczucia strachu przed ciemnością, nocą i pustkowiem. Toteż zdziwił go niemile dreszcz niepewności, jaki oświadczył nim po zanurzeniu się w zieloną czerń lasu.

Nie mógł zapomnieć, że w domu grasuje tajemniczy zbrodniarz. Ten, który godził na życie profesora.

Nieliczne gwiazdy świeciły jasno. Biały niemiejski śnieg opalizował w świetle księżyca, mieniąc się wszystkimi barwami tęczy. Wicher ustał i matowa, miła dla ucha, kojąca nerwy cisza panowała dookoła. Tylko śnieg pod stopami skrzypiał cicho, niby żywy.

W takich chwilach nie chce się człowiekowi myśleć o przykrościach tego żywota, o zółwiej walce o byt i bezdennej głupocie bliźnich. Chciałoby się zapomnieć o wszystkim i wsiąknąć swą duszą w ciszę otoczenia, znieruchomieć jak te drzewa wiekowe i wdychać świeże, zimne powietrze w beztroskiej, pogodnej bezmyślności przedmiotu.

Spacerujący detektyw musiał się naraz zatrzymać. Ktoś szedł naprzeciw niego. Mimo woli skrył się za gruby pień sosny i wyczekiwał. Namacał pistolet w kieszeni i ścisnął mocniej kij w rękę. Ale to było zbyteczne.

Naprzeciw szli objęci niby para młodych, niedawno związanych sympatią kochanków – adwokat Dillon i Wanda Breda. O dwa może metry od ukrytego detektywa zatrzymali się. Dillon, nie wymawiając słowa, objął profesorową za szyję, odchylił nieco kołnierz jej futra i wpił się ustami w jej usta. Potem poszli dalej.

Bernard Żbik musiał widzieć to wszystko.

Przeczekał aż się oddalili. Nie wiedzieć czemu odechciało mu się naraz spaceru. Zawrócił wolno w kierunku domu.

Był dziwnie przygnębiony. Dziwne też było w tej willi wszystko. Inspektor był pewny, że dłuższy pobyt rozstroiłby mu nerwy. Niby to nic się nie działo – a jednak był w atmosferze otoczenia pewien dźwięk ostrzegawczy. Pierwszy raz w życiu stykał się z taką sprawą. Przecież w willi przebywał człowiek, który z potwornie zimną krwią zmierzał do morderstwa. Najpewniej obłąkany nieszczęśliwiec-psychopata, „małowartościowy”, knuł realizację wizji swego chorego mózgu. Zaś on, Bernard Żbik, miał tę osobę niejako pod ręką, a nie mógł jej nic zrobić. Musiał czekać. Nie przeczuwał wcale, że tragiczna kulminacja jest już bardzo bliska i że właśnie jego przybycie przyspieszyć miało tragedię.

Dlaczego profesor milczał? – to było najbardziej nienormalne w tej sprawie. Inspektor miał już pewną hipotezę, której jednak bał się dać wyraz nawet w myślach. Nie! To byłoby zbyt potworne. Jednak w życiu zdarzają się rzeczy najpotworniejsze. Przyszła mu na myśl parafraza słów Wilhelma II: *Ein dach über Berlin Und das Zuchthaus ist fertig*. Tak — westchnął.

Każdy mieszkaniec ma minę, jakby za nim ktoś chodził z nabitym karabinem maszynowym w rękę — przypomniał sobie słowa Stefana.

Las się skończył. Zadumany, omal me uderzył o pień sosny. Potknął się o ukryty pod śniegiem wystający korzeń i upadł. I to ocaliło go od śmierci w następnej sekundzie. Albowiem nad nim zabrzmiały naraz dwa huki i dwie kule przeleciały tuż nad jego głową.

W mgnieniu oka zerwał się i odważnie pobiec w kierunku tajemniczego sprawcy strzałów – w kierunku willi. Nie dojrzał nikogo. Wpadł do hal u przez główne drzwi, przebiegł korytarz i wleciał niemal do gabinetu profesora. Stał zdumiony.

Profesora nie było.

Strzały. Profesor Piotr Breda miał rewolwer i patrzył przez okno, jakby kogoś szukał w lesie. I zniknął. Gdzie był? Przecież miał pracować

Detektyw obejrzał się gwałtownie. Ktoś stał w drzwiach.

Był to Tadek Breda z browniingiem w lewej ręce. Prawa ręka zwisała bezwładnie, jak zwykle.

— Co się stało? Słyszałem strzały.

Młodzieniec był dziwnie spokojny. Teraz włożył rewolwer do kieszeni i podszedł wolno do detektywa.

— Gdzie mój ojciec?

— Nie wiem. Może jest w sypialni.

— Muszę zobaczyć. Obawiam się nieszczęścia. Tadek skierował się ku drzwiom.

— Zaraz, panie Tadku. Może mi pan pokaże swój rewolwer.

Młody człowiek ściągnął brwi. W oczach zabłysnął płomień.

— Po co? — wyrzucił przez zaciśnięte zęby.

Jego duże oczy skierowane były prosto w twarz detektywa i można było w nich wyczytać najwyższą pogardę.

— Chcę go zobaczyć. Pan wie, że jestem detektywem.

— Wiem. I ja mam być podejrzanym.

— Nie wiem. Podejrzewam wszystkich.

— O co?

Bernard Żbik postąpił krok naprzód. Stał teraz tuż obok młodzieńca wyraźnie dyszącego tłumioną wściekłością.

— Podejrzewam jednego z domowników o premedytowanie morderstwa.

— Mnie też?

— Oczywiście!

— Kto ma być zastrzelony?

Ja nie mówiłem o zastrzeleniu.

— Więc kto ma być – zamordowany?!

— Niech pan nie krzyczy. — Inspektor ścisnął mu ramię palcami aż do bólu. Był to jedyny sposób na uśmierzenie bliskiego ataku hysterii kaleki. — Ktoś chce zabić pańskiego ojca. Proszę, niech mi pan jednak pokaże swój rewolwer.

— Proszę.

Tadek Breda wyglądał w tej chwili jak pęknięty balonik dziecięcy. Na dźwięk twardych słów inspektora opuściła go cała złość i energia.

Detektyw obejrzał broń i zwrócił mu ją.

— Pan jest zawsze uzbrojony?

— Od pewnego czasu.

— Od jakiego czasu?

— Od chwili, gdy zauważyłem, że ojciec boi się nagłej śmierci z tajemniczej ręki. Nie jestem przesadny, ale naprawdę zaczynam wierzyć, że u nas w domu grasuje tajemniczy morderca.

Młody mężczyzna ujął naraz detektywa za rękaw. Niemal przytulił się doń.

— Niech pan nas ratuje. Niech pan mnie ratuje. Ja chyba zwariuję, o ile sytuacja się nie wyjaśni.

Jego zeschnięta prawa ręka kiwała się niby wahadło nieszczęścia i bezsily.

Inspektor poczuł po jego słowach dziwny chłód w skroniach.

— Nie zwariuje pan. Granice wytrzymałości umysłu ludzkiego na klęski i nieszczęścia są niezmierzone. Pójdę razem z panem do ojca.

Wyszli z gabinetu. Ale nie uszli nawet trzech kroków, gdy musieli się naraz zatrzymać. Z mroku ciemnego korytarza, oświetlonego teraz tylko baterią detektywa wyłoniła się postać, która po zbliżeniu przybrała kształty profesora Bredy.

Gdy ujrzał obu mężczyzn – cofnął się o krok jak uderzony w szczękę, a na jego nienormalnie bladej twarzy świeciły niby dwa jarzące się węgle – gałki śmiertelnie przerażonych oczu.

— Gdzie...

Nie dokończył. Zamilkł naraz. Przez chwilę stał oparty plecami o ścianę, dysząc lekko choć widocznie. Wreszcie uspokoił się jako tako. Ciężkimi krokami podszedł do detektywa.

— Idź do swego pokoju, Tadek.

Inspektor nie rozumiał, czemu profesor wyrzekł to polecenie tak cichym głosem. Tadek ociągał się przez chwilę.

— Idź... idź...

Uślucał.

Profesor oparł się mocno o ramię detektywa i wszedł z nim do swego gabinetu. Zajęli miejsca. Piotr Breda zapalił papierosa z dziwną żarłocznością. Wchłaniał dym wielkimi haustami, niemal go połykając.

— Słyszałem strzały. Kto strzelał?

Wyrzekł te cztery słowa jednym tchem, bez znaków przestankowych.

Bernard Żbik objaśnił mu w krótkich słowach. Opowiedział mu o swym spacerze, o potknięciu i o strzałach. Tylko o spotkaniu profesorowej i adwokata nie wspomniał. Jeżeli to nawet „należało do rzeczy”, to profesor nie musiał o tym wiedzieć z jego ust. A może już wiedział.

— Nie jestem pewny, ale mam przecucie, że strzelano do mnie. Jutro spróbuję poszukać kul. Pański tajemniczy wróg chce mnie usunąć, gdyż zaczynam mu zawadzać. Nawiasem

mówiąc, profesorze, czy pan wie, że pana szofer jest byłym więźniem za szantaż i oszustwo?

— Wiem. Powiedział mi o tym, gdy go angażowałem i wręczył mi nawet wspaniałomyślnie swój rewolwer, zresztą do cna popsuty.

Bernard Żbik kiwnął głową, sięgnął po papierosa i rzucił lekkim tonem, jakby niedbale.

— À propos, profesorze. Chciałbym zobaczyć pana rewolwer.

Biała twarz Piotra Bredy poczerwieniała naraz.

— Mój rewolwer?!

— Tak.

— Po co? – Na Boga!

— Ot, mam taki kaprys. Czy pan wierzy w intuicję? Bo ja niekiedy. Doktor Gross w *Erforschung des Sachverhalts strafbarer Handlungen* wspomina...

Tylko przez okamgnienie zawahał się uczony. Wyjął z kieszeni marynarki swój pistolet automatyczny i wręczył go inspektorowi. Ten rzucił nań tylko okiem i zwrócił go właścicielowi.

— Dobre narzędzie. System podobny do rewolweru pańskiego syna.

— Którego syna?

Detektyw spojrział zdziwiony.

— Jak to? Więc Leszek też jest uzbrojony?

— Nie. Leszek nie ma broni.

Wyрекł to zdanie szybko i wzrok jego spoczął z niepokojem na ustach detektywa.

— Kto poza panem i synem jest uzbrojony w tym domu?

— Nikt.

Inspektor wstał nagie.

— Czy kolację też zjemy razem?

— Nie. Kolację każdy jada u siebie w pokoju.

— No, to już pójdę, profesorze. Właśnie wpadło mi coś na myśl. — Skierował się ku drzwiom.

— Inspektorze! — Głos profesora brzmiał ochryple i dziwnie.

— Słucham.

— Mam do pana jedną prośbę. Dziś w nocy spodziewam się nieszczęścia. Nie wiem, co to będzie... Czy nie mógłby pan zostawić swego służącego Stefana na straży przed drzwiami mojej sypialni?

Bernard Żbik obserwował bacznie mówiącego.

— Boi się pan, że wykonają na pana zamach tej nocy?

Piotr Breda wytrzymał jego wzrok.

— Tak.

— Wie pan, kto planuje morderstwo?

— Wiem.

— Czemu nie każe go pan aresztować?

— Bo to do niczego nie doprowadzi. On jeszcze nie popełnił przestępstwa. Można być aresztowanym za czyn. A ten czyn dopiero nastąpi!

— Jaki czyn ma pan na myśli?

— Zabójstwo.

— Zaczynam rozumieć.

— Wątpię w to.

— W każdym razie sam będę czuwał dzisiejszej nocy. Pójdę teraz coś przekąsić. Potem wpadnę do pana i ustalimy strategię obrony. Przez te kilka godzin nic panu nie grozi. W każdym razie miej pan swój rewolwer w pogotowiu. Jedno pytanie – zbrodniarz jest mężczyzną czy

kobietą?

Odpowiedź była naprawdę nienormalna. Dopiero później inspektor miał zrozumieć jej sens.

— Sam nie wiem.

— Czyli nie chce pan wiedzieć.

— Nie mogę. Czy pan mi wierzy?

— Wierzę. Na razie więc pójdę. Muszę poczynić pewne zarządzenia.

Bernard Żbik skłonił się w milczeniu i wyszedł. Skierował się przez ciemny wciąż korytarz do swego pokoju. — Punkt kulminacyjny był bliski.

Na zakręcie korytarza natknął się na pannę Marię. Skinął głową na powitanie. Ujrzał ją, gdyż z otwartych drzwi pokoju, z którego wyszła, wydostawała się rzadka kolumna światła.

Zaszedł jej drogę tak, że musiała się zatrzymać, jeśli nie chciała być niezwykle impertynencka.

— Dokąd pani tak śpieszy?

— Do Leszka. Mam z nim lekcję niemieckiego.

Zarumieniła się naraz. Widocznie uświadomiła sobie, że właściwie mogła nie odpowiadać na tego rodzaju pytanie.

Uśmiechnął się wesoło i zlustrował jej twarz bystrym spojrzeniem.

— Może. Mam wrażenie, że pani w tej chwili mówi nieprawdę. Czy to z rozmysłu czy też z inklinacji podświadomej wynikającej z niechęci do mnie. Interesują mnie takie zagadnienia jako psychologa. Na pewno ma pani teraz lekcję niemieckiego?

Widział, że chętnie odpowiedziałaby mu ostro i bezwzględnie, ale nie miała odwagi.

— Myśli pani niekiedy piekielnie powoli. — Patrzył na nią, jak na obiekt, który się bada pod mikroskopem. — Więc ma pani z Leszkiem lekcję niemieckiego?

— Na pewno. Dlaczego pan sądzi, że kłamię?

— Nie używam słowa kłamać w rozmowie prywatnej z kobietą. To nie ja sadzę. To oczy pani mi tak mówią. Jeżeli więc może być mowa o pomyłce, to raczej z pani strony niż z mojej. Pani jest Niemką?

Spojrzała nań bardzo poważnie, ale nieco dziecinnie zza swoich oprawnych w czarny szylkret okularów. Skinęła głową potakująco w odpowiedzi. Bąknęła pod nosem parę słów przeproszenia i skierowała się w swoją drogę. Nie zatrzymał jej.

Nie uszła jeszcze kilku kroków, gdy cicho niby kot podążył za nią. Wszystkie drzwi w korytarzu były identyczne, niskie, z szybą na górze dla oświetlenia w dzień i w nocy światłem z pokojów.

Widział wyraźnie jak minęła drzwi Leszka i skierowała się ku pokojowi Tadka. Wiec to miała być lekcja niemieckiego. Zatem dobrze ocenił błysk podniecenia w jej oczach.

Pokoje Tadka i Leszka sąsiadowały ze sobą. Za drzwiami pokoju Leszka było widno. Inspektor zajrzał przez górną szybę i oczom jego przedstawił się naraz makabryczny widok. Leszek Breda trzymał w reku muchę i przekłubał ją wolno długą igłą. Potem położył igłę z muchą na stole i długo wpatrywał się w przedśmiertne drgawki biednego owada. Niestety, Bernard Żbik nie mógł widzieć w tej chwili jego twarzy.

Postąpił dwa kroki w lewo i zajrzał ostrożnie do pokoju przez szybę nad drzwiami, za którymi zniknęła guwernantka. Tkwiła ona teraz w silnym objęciu lewej ręki Tadka Bredy, który żarłocznie przyłgnął ustami do jej zmysłowych warg i kurczowo ściągniętymi palcami swej jedynej zdrowej ręki zdejmował teraz okulary z jej oczu. W tej chwili kobieta zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła go mocniej do siebie ponieważ zamierzał odjąć usta. Silnym szarpnięciem pociągnęła go ku stalowemu łóżku i gwałtownym ruchem ręki zrzuciła kołdrę na wezgłowie..

A o kilka metrów dalej Leszek Breda obserwował w zawziętym milczeniu ostatnie drgawki przedśmiertne przekłutego owada.

Bernard Żbik wycofał się szybko i wrócił cicho do swego pokoju.

Rozdział VI

RĘCE DO GÓRY!

W pokoju zastał Stefana flirtującego ze Stasią, która nakrywała do stołu do kolacji. Na widok inspektora służący stanął obok okna z miną obojętną, choć wiedział doskonale, że nic nie ujdzie uwadze takiego człowieka, jak Bernard Żbik.

Stasia nakryła do stołu, przyniosła kolację. Taktownie podała Stefanowi jedzenie przy oknie w przyległym pokoju.

Inspektor jadł bez apetytu, raczej z długoletniego przyzwyczajenia. Jego ruchliwy umysł pracował intensywnie. Tajemnica willi nie stała się ani o milimetr mniej tajemniczą. Przeciwnie – komplikowała się coraz bardziej. Ale ten stan rzeczy nie mógł trwać długo.

W domu przebywał zbrodniarz, więc człowiek nienormalny, chory. Jego nerwy na pewno długo nie wytrzymają w bezczynności. Choć z drugiej strony obecność detektywa nie powstrzyma go w działaniu, prędzej to działanie przyśpieszy. Należało spodziewać się zdecydowanych posunięć ze strony nieznanego wroga grasującego w mrocznych korytarzach, pokojach i salonach willi „Gong”.

W dotychczas zaobserwowanym stadium sprawa przedstawiała się dziwnie, wprost niesamowicie. Kompletny chaos. Kto strzelał w lesie do inspektora? Dlaczego Leszek oglądał przekłutą muchę – pasja do badań przyrodniczych czy podświadomy sadyzm? Do kogo należał brelok damski z literami SD? Dlaczego adwokat Dillon podglądał pod jego drzwiami? I tyle innych zagadek – dzięki którym sprawa otrzymała potem miano „domu tajemnic”.

Stasia przyniosła właśnie herbatę. W pokoju było bardzo ciepło – był opalony jak zwykle, pomimo że mróz na dworze zelżał. Toteż inspektor nie zdziwił się, gdy zauważył na stole dużą muchę, która stała na cukierniczce. Uczynił nieznaczny ruch ręką, mucha sfrunęła na szafę, potem znów pojawiła się – tym razem na herbacie. Zanurzyła w niej lebek – Bernard Żbik zamyślony, obserwujący tę scenę, mimo woli trzepnął palcami, aby zgonić muchę ze szklanki. Nie był nigdy przesadnie higieniczny, ale nie było mu w smak mieć muchę w herbacie. Zbliżył palec tuż niemal do skrzydeł owada.

Mucha ani drgnęła, ściągnęła tylko nóżki i naraz opadła na biały obrus u stóp podstawki. Mucha nie żyła.

Bernard Żbik umiał bardzo szybko myśleć. Poczł naraz kłujący prąd wzdłuż ścięgien. Mucha nie żyła po zanurzeniu ssawek w herbacie, którą mu podano!

Podniósł szklankę i powąchał. Dopiero teraz poczuł jakiś znany mu zapach. Jednak jeszcze nie chciał uwierzyć. Nie chciał wierzyć, że usiłowano go otruć.

Otruć!

To zaczynało być diabło niebezpieczne. Tajemniczy zbrodniarz ma dziwne niesamowite sposoby, o jakich czytuje się w powieściach kryminalnych. Zastanowił się nad ostatnią myślą. Leszek Breda czyta powieści kryminalne. Ależ!

Przycisnął obie pięści do skroni. To byłoby absurdalne. Straszne! Nie. Leszek Breda śpi teraz spokojnie w swoim pokoju. Nie! Nie śpi. Ogląda, jak dogorywa przekłuta mucha. *Ja pana*

lubię, panię Bernardzie.

Inspektor poczuł silne pulsowanie krwi w szyi.

Dom wariatów.

Ta szklanka zawiera jakąś cyjankową truciznę. Gdyby nie ta mucha, byłby już na pewno nie żył w tej chwili. Zwykły przypadek, nic więcej.

Stefan siedział w drugim pokoju. Jadł i czytał jednocześnie, jak zwykle. Bernard Żbik nie zawołał go nawet. Wyjdzie sam i zbada teren. Musi coś uczynić. Musi... Przedtem usiłowano go zastrzelić. Teraz otruć. Co się stanie za pięć minut, za minutę, za chwilę. Wyjął rewolwer, obejrzał magazynek, odsunął bezpiecznik i znów ukrył broń ale już w zewnętrznej kieszeni.

Morderca jest w strachu. Inaczej nie godziłby tak zawzięcie w życie detektywa.

Szedł w kierunku kuchni. Był silnie zdenerwowany. Zawrócił. Przypomniał sobie, że nie może tak zostawić tej szklanki. Wprawdzie Stefan nie wypije tego, co jest przeznaczone dla jego pana, ale zawsze — nie zaszkodzi być ostrożnym. Potem wyrzuty sumienia za niedbalstwo nie dałyby mu spokoju.

Wziął szklankę ze stołu, odlał trochę herbaty do małej buteleczki metalowej, którą schował. Resztę herbaty wylał przez okno. Wyszedł z pokoju.

Stał w korytarzu. Korytarz ten był dawniej długi i jednolity: przechodził przez całą willę w poprzek, to jest przez oba pawilony i budynek środkowy. Potem jakiś właściciel rozkawałkował go na szereg mniejszych korytarzy i ów przedpokój, w którym Bernard Żbik podsłuchiwał rozmowę matki z Leszkiem.

Tajemniczy wróg był więc człowiekiem bardzo niebezpiecznym, nieprzebierającym w środkach, nieznającym skrupułów, gdy chodziło o ludzkie życie i działającym bardzo szybko. Przecież nie minęła jeszcze godzina od strzałów w lesie.

Inspektor postanowił, o ile to będzie możliwe, sprawdzić alibi obecnych. Choć to nie wskaże na ich niewinność. Zatruta herbata mogła być już dawno przygotowana.

Kuchnia znajdowała się na końcu korytarza. Kazia stała przy szafie i czyściła szklanki. Na widok inspektora mimo woli przesunęła ręką po twarzy wilgotnej od pary.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór panu.

Pierwsze spojrzenie detektywa spoczęło na czajniku aluminiowym stojącym na gazowej maszynie dwuogniskowej. Na zdziwiony wzrok Kasi nie zwrócił nawet uwagi.

— Czy w tym imbryku gotowano dla mnie herbatę?

— W tym.

— Kto nalewał herbatę?

— Ja sama.

— Nikogo poza Kazią nie było w kuchni?

— Nie. Stasia odeszła przed chwilą do narzeczonego, który mieszka nieopodal, w

Powsinie.

— Kazia była cały czas w kuchni? Nikt pani nie wywołał?

Usiłowała sobie przypomnieć.

— Nie byłam cały czas sama.

— Kto tu był?

— Na chwilę wpadła pani profesorowa.

— Była razem z Kazią? Czy też wyszła pani na chwilę i zostawiła ją samą?

Spojrzała zdziwiona na detektywa. Znów przetarła zroszone parą czoło.

— Skąd pan inspektor wie? Wyszłam na kilka minut, bo był dzwonek z pokoju pana adwokata Dillona na pierwszym piętrze.

— I pani profesorowa została tu sama?
— Kiedy wychodziłam jeszcze tu była. Gdy wróciłam już jej nie było.
— Po co tu przyszła pani profesorowa?
— Po gorącą wodę do proszków. Zażywa je codziennie i zawsze przychodzi o tej porze po wodę. To nawet dziwne, ale pani profesorowa nie pozwala nikomu przyrządzać tego lekarstwa. Ale skąd pan o tym wiedział?
Zamilkła naraz. Przez chwilę wpatrywała się uporczywie w inteligentną twarz Żbika.
— Proszę pana...
Zawahała się.
— Niech pani mówi śmiało.
— Ja... ja znów słyszałam te szmery, tym razem tu, w kuchni. Pamięta pan? Proszę pana...
— Zbliżyła się tuż do niego. Poczul drżenie jej rąk i dziwny wyraz zroszonego wilgocią czoła. — Ja się boję tu być. Tu się dzieje coś strasznego. To taki dziwny dom.
Urwała i naraz wyrzuciła pytanie, które go oszołomiło:
— I dlaczego, gdy przedtem przyszłam tam na górę, skąd był dzwonek.. nie zastałam nikogo. Państwo Dillonowie byli nieobecni, a drzwi zamknięte na klucz. Więc kto dzwonił? Czy pan wierzy w duchy?
— Skąd pani wie, że dzwonił od państwa Dillonów?
— Bo były trzy dzwonki. Dwa to od pana, a trzy od nich.
— Więc może ktoś przez omyłkę zadzwonił trzy razy?
— Ale po co, proszę pana. Przecież pan nie dzwonił, więc mógł dzwonić tylko pan profesor, bo pani profesorowa też tu była, a w pokojach paniczów nie ma dzwonek. Zaś pan profesor lub pani dzwonią tylko raz – nie trzy, jako swoi wiedzą o tym dobrze. Za duża omyłka. Gdyby pan dzwonił trzy razy zamiast dwóch, to jeszcze bym rozumiała.
W jej rozumowaniu było dużo zdrowej logiki. Inspektor wolał jej jednak nie mówić, że to pan Dillon mógł na prośbę profesorowej zadzwonić trzy razy i nie odezwać się na pukanie Kazi do zamkniętych na klucz drzwi. Zaś mógł tak uczynić, aby usunąć Kazię z kuchni i umożliwić profesorowej wsypanie trucizny do jego herbaty.
— Czy moja herbata była już nalana, gdy pani usłyszała dzwonek?
— Tak, a nawet już ocukrzona. Pytałam nawet pani profesorowej, ile cukru panu wsypać. A ponieważ mnie wywoływał dzwonek, więc herbatę zaniósł panu Stasia i zaraz potem wyszła z domu.
— Jak długo trwała droga stąd do pokoju państwa Dillonów?
— Niecałe pięć minut. Myślałam, że znów zemdleję. gdy nikt nie odezwał się z wewnątrz.
Bernard Żbik pomyślał, że nawet dwie minuty wystarczyłyby.
W jego mózgu zabłyśł naraz promień zrozumienia. Więc Wanda Breda była tym mordercą, który godził na życie uczonego psychiatry. I on nie chciał o tym mówić inspektorowi, ponieważ bał się po prostu tej myśli, drżał przed tym podejrzeniem. Chciał mu nie wierzyć – bo to przecież straszne. Własna żona..
A przecież ona wcale nie wyglądała na morderczynię. Przecież nie mogła mieć powodów do usunięcia męża. Chyba... znów przypomniał sobie żółte getry adwokata. I ich pocałunki w lesie.
Ale Wandzie niczego nie można dowieść. Nic jeszcze nie uczyniła.
Strzały do niego. Przecież to ona mogła je oddać, albo... jej współnik i kochanek, Dillon, człowiek z niebezpieczną twarzą. Przecież szli przed nim w kierunku willi, a stamtąd padły strzały.

Więc to była tajemnica profesora i jego tragedia życiowa. Co za sytuacja. – Żona, własna żona. Istotnie, Piotr Breda nie mógł mówić. Musiał kazać mówić faktom.

Wanda Breda – jeżeli jest mordercą – musi być kobietą obłąkaną. Nic w jej zachowaniu nie wskazuje na planowany potworny zamiar. Zaś profesor musi milczeć, bo ma przecież dwoje dzieci. Chce im zaoszczędzić tragedii i wstrząsu, jak najdłużej. Co to będzie dla nich za cios: własna matka. Takiej rzeczy nie da się przecież ukryć.

Piotr Breda miał może nadzieję, że morderczyni się opamięta. Boże! Co za potworna hipoteza. Jak okrutne bywa niekiedy to piękne, pogodne życie.

Może jeszcze można zapobiec zbrodni, może jeszcze da się unicestwić jej plan. On sam, oficer policji, gotów jest dla dobra przyjaciela zamilczeć, nie wspominać o herbacie ani o strzałach.

A jeżeli ta teoria jest fałszywa; w takim razie kto? Kto?

Żbik powziął nagle postanowienie. Zawiadomi aspiranta Billewskiego, sprowadzi Rogalskiego, Wielgusa i Więcka i wezmą tu wszystkich pod ścisłą obserwację. To przecież byłoby straszne. Matka dzieciom i żona. Boże!

Ocknął się z zadumy. Pouczył Kazię, że ma milczeć i skierował się cicho ku swemu pokojowi. Gdy szedł teraz tym pustym korytarzem, doznawał dziwnego uczucia. Bowiem pierwszy raz w swej praktyce oficera służby śledczej i głównego detektywa zetknął się z podobną sprawą.

Na kilka kroków przed drzwiami zatrzymał się naraz i silnie wciągnął powietrze nosem. Krew uderzyła mu do głowy. Nie, to niepodobna!

Dopadł drzwi i jednym spojrzeniem objął swój pokój. U stóp stołu leżała długa postać Stefana, a w powietrzu unosił się silny zapach gazu świetlnego.

Stefan jeszcze żył. Oddychał ciężko. Inspektor podszedł do kuchenki, umieszczonej obok okna. Albowiem pokój w którym teraz mieszkał detektyw i jego służący, mieścił dawniej pracownię chemiczną i miał urządzenie gazowe, które poza tym znajdowało się tylko w kuchni. Były to urządzenia prowizoryczne. Urządzenia świetlnego nie było w willi.

Kurek był odkręcony. Bernard Żbik natychmiast zamknął dopływ gazu i otworzył okno. Prąd chłodnego wieczornego powietrza wdarł się do pokoju. Inspektor ujął leżącego pod pachy i wyniósł go na korytarz, który oświetlił lampą naftową, wziętą ze stołu w pokoju. Szarpnął dwukrotnie sznur dzwonka i po chwili nadbiegła zdyszana Kazia, spojrzała oszołomiona na bezwładnie opartą o ścianę postać półleżącego służącego.

— Co się stało?!

— Pan Stefan zemdłał. Niech pani tu zawoła pana profesora, ale nikomu więcej proszę o niczym nie mówić. Tylko pana profesora.

Dziewczyna nie śmiała dyskutować. Zniknęła posłusznie.

Dopiero po dziesięciu może minutach, zjawił się profesor w grubym, wełnianym szlafroku. Poza tym nosił marynarkę pizamy i spodnie. Krawat był zawiązany.

Inspektor postanowił dłużej nie ukrywać faktów. Na razie jednak musieli ocucić Stefana. Jego zeznania mogły mieć ważne znaczenie.

Profesor był lekarzem, toteż od razu poznał przyczynę omdlenia. Jednak na jego twarzy nie widać było z początku, jak wielkie wrażenie wywarł na nim cały fakt. Wydał kilka poleceń wciąż oszołomionej Kazi, która odeszła i po chwili zjawiła się z małą apteczką podręczną. Minęło prawie pół godziny nim Stefan otworzył oczy i spojrzał przez mgłę zmęczenia i osłabienia na pochylone nad nim twarze mężczyzn.

— Opowiedz nam wszystko po kolei, Stefan.

Służący przez kilka chwil przecierał na wpół jeszcze przytomne oczy, wreszcie uniósł się

lekką na krześle, na którym siedział w oświetlonym lampą mrocznym korytarzu. Krótka historia, jaką opowiedział wydała się wprawdzie detektywowi jeszcze bardziej upiorna i nielogiczna niż wszystkie dotychczas spostrzeżone fakty – było to jednak zarazem pierwsze ogniwo, które o wiele później doprowadziło Bernarda Żbika na właściwy ślad.

Profesor Breda stał tuż nad siedzącym, nie chcąc uronić ani jednego słowa z jego opowiadania.

— Było tak — mówił Stefan powoli. — Skończyłem właśnie powieść i kolację. Odłożyłem książkę i niechcący, w mroku (te lampy naftowe są gorsze od ciemności) wziąłem w rękę nóż i zaciąłem się. — Wskazał ręką na mały skrzep na palcu. — O! już zaschło. Chciałem sobie przemyć tę ranę. Wziąłem więc imbryk ze stołka, ale woda w nim była już zimna. Podszedłem do maszyny gazowej obok okna, odkręciłem kurek i sięgnąłem po moją zapalniczkę. W tej chwili poczułem silne uderzenie w tył głowy i dalej – już... nic nie pamiętam.

Bernard Żbik aż oniemiał ze zdumienia i przerażenia. **Uderzenie w tył głowy!** Więc Kazia wtedy nie miała halucynacji! Kim był tajemniczy sprawca tych uderzeń. Niewątpliwie on również wsypał truciznę do herbaty, strzelił do detektywa i posłał mu ostrzeżenie. On – ów nieznany zbrodniarz przebywający w domu – był sprawcą tych nielogicznych na pozór, nieuzasadnionych czynów.

Najtrudniejsze w tej całej sprawie było to niewątpliwie, że nie widać było motywu zbrodni. Były to po prostu czyny obłąkanego maniaka opętanego żądzą zabójstwa. Na to wskazywały przecież metody jego działania – była w nich jakaś intelektualna sadystyczna lubieżność. Ten człowiek umyślnie zwlekał, przeciągał sytuację, lubując się swoją mocą, swoją pewnością zabicia. Nie! Nie dopuścić tylko do zabójstwa.

Inspektor ujął profesora pod ramię. Indagację Stefana odłożył na później. Teraz należało szybko coś przedsięwziąć.

Więc Stefan sam odkręcił kurek od gazu – przeszło mu przez myśl, gdy ujął profesora za rękę i jak dziecko zaprowadził go do jego gabinetu. Pokoje Żbika na razie pozostały otwarte dla przewietrzenia. Zresztą gazu ulotniło się niewiele. Przecież zemdlenie Stefana nastąpiło skutkiem owego tajemniczego uderzenia.

Profesor szedł wolno korytarzem. Zachowywał się jak pod hipnozą. Zaś detektyw idący za nim i trzymający go wciąż za rękę zagryzł naraz wargi w złości. Irytowało go to, że pozwał dotychczas drwić z siebie.. może kobiecie.

Zajęli miejsca w gabinecie. W kilku słowach opowiedział profesorowi o swych podejrzeniach. O strzałach w lesie, o zatrutej herbacie, o żółtych getrach i karcie z ostrzeżeniem. Tu już nie wolno mieć skrupułów. Sprawa zaczynała być naprawdę niebezpieczna. W tym domu grasowała bezkarnie bestia w ludzkim ciele. Jej dotychczasowe szczęście mogło ją tylko rozzuchwalić i skłonić do niespodziewanych, a na pewno strasznych, posunięć.

— Panie profesorze – pan wie, że nie znoszę patosu i melodramatu. Powiem więc otwarcie – mam pewne dane, aby przypuszczać, że osobą, którą pan ukrywa i broni jest **pańska żona Wanda**. Rozumiem teraz przyczynę dotychczasowego milczenia z pana strony. Dłużej jednak nie możemy czekać. To się może tragicznie zakończyć.

Chłodne, spokojne, rzeczowe słowa detektywa wywarły na psychokryminologu piorunujące wrażenie. Jego szeroka twarz skurczyła się i stężała, nabierając jakiegoś niebieskawosiniego odcienia. Podniósł prawą rękę, jakby chciał kogoś uderzyć, zacisnął rozwartą dłoń i opuszczył ją na kolano. Bał się spojrzeć w oczy detektywa.

— Moja... żona...

Westchnął ciężko i gorzki uśmiech wypęłzył z kącików jego pełnych warg. Podniósł wreszcie oczy i spojrzał na inspektora niemal z przerażeniem, które dziwnie kontrastowało z

uśmiechem. Wyglądał w tej chwili jak obłąkany. Niesamowicie też zabrzmiał w tej sytuacji jego ostry jak nóż, rzeczowy, lodowaty ton.

— Dlaczego pan podejrzewa moją żonę.

Bernard Żbik powiedział mu o zeznaniach Kazi. Przez chwilę tylko zawahał się przed następnym zdaniem.

— Pana żona ma flirt z adwokatem Dillonem. Zaś adwokat Dillon podsłuchiwał pod moimi drzwiami w dniu mego przyjazdu, to jest dziś rano. Jak pan to objaśni, profesorze? Z pokoju adwokata zabrzmiał dzwonek wywołujący Kazię, gdy pańska żona została sama w kuchni z moją herbatą. Czy to są przypadki? żona pana szła przede mną w towarzystwie adwokata, gdy potknąłem się i tylko przypadkiem uniknąłem strzałów do mnie wymierzonych. Czy to panu nie wystarcza? Rozumiem, że pan woli milczeć ze względu na stanowisko pana i serca dzieci. Ale nam nie wolno czekać.

Cały wywód Żbika podziałał na profesora niby nieznośny ciężar włożony na pierś.

Oddychał z trudem, jakby się dusił.

— Czemu pan milczy? Czy wciąż jeszcze chce pan przede mną ukrywać, że pana żona jest tą, którą pan podejrzewa o sprawstwo tych wszystkich czynów i o wyraźny zamiar zamordowania pana, o premedytowane mężobójstwo?

Profesor nie odpowiedział. Wstał nagle, przeszedł się kilka razy po pokoju, nerwowo zatrzymał się obok szuflady biurka, wsadził kluczyk w otwór i wyjął go, nie otwierając szuflady. Podszedł tuż do detektywa i wyjął z kieszeni papierośnicę. Poczęstował Żbika, w milczeniu przyjął odeń ogień i naraz usiadł na kancie biurka. Lewą ręką ujął go za jego prawą, mimo woli gniotąc mu palce aż do bólu.

Wdychał ciężko i głęboko, wreszcie usiadł naprzeciw inspektora i spojrzał mu w oczy poważnie. Bardzo poważnie.

— Nie, inspektorze, ja panu nic nie mogę powiedzieć. W tej chwili nic nie wiem. Są chwile, w których chcę mówić, chcę wyjawić panu wszystko. Chcę powiedzieć, kto godzi na moje życie – **bo ja to wiem najlepiej**. Już nieraz patrzałem owemu mordercy w oczy. W następnej jednak chwili rozumiem, że muszę milczeć. Muszę!

Zamilkł. I powtórzył cicho.

— Nie wiem. Nic nie wiem...

Znów wstał. Było widać wyraźnie – i on nie usiłował tego ukrywać – że jest silnie zdenerwowany. Wskazał ręką na pierś inspektora i rzekł – bardzo cicho – z wyrazem pogardy na twarzy:

— Przyznaję. Wezwałem pana tu, bo się **boję**. Jestem przerażony. Drzę przed tragicznym zakończeniem tej sprawy. Znałem pańską pasję, zamiłowanie do psychologicznych tajemnic i dlatego pewny byłem, że mi pan nie odmówi, że przyjedzie pan choćby z samej ciekawości i spróbuje zlikwidować tragedię mego życia. Ale nie wymagaj pan ode mnie, żebym ci to ułatwił, żebym mówił. Szukaj sam, badaj, obserwuj i **ujrzyj**, a wtedy będziesz tak samo przerażony jak ja. Może pan sobie wyobraża rzeczy straszne, ale gdy odkryjesz prawdę, zimny pot zrosi twe czoło i przeogromna chęć krzyku wypełni z twojej krtani... gdy poznasz tajemnicę tego domu, tajemnicę willi „Gong”. Ale wtedy może już będzie za późno.

Przemówienie profesora, przerażony wyraz jego oczu, ton z jakim je wypowiedział – wszystko to wywarło na detektywie wielkie wrażenie. Zrozumiał, że w domu tym, na jego oczach nieomal, pod jego ręką rozgrywa się ponury, straszny dramat, którego zakończenie może być jeszcze straszniejsze i bardziej ponure. Rozumiał, że należało bezwzględnie coś uczynić, aby zapobiec nieszczęściu. Ale czuł zarazem swą bezsilność wobec tajemniczego demona zbrodni, grasującego w tych wielkich komnatach i wąskich korytarzach.

Znów przebiegł oczyma myśli przez twarze mieszkańców. Który z nich był tajemniczym mordercą. Tadek, Leszek, Wanda Breda, adwokat Dillon, jego żona, Stasia, Kazia, szofer, panna Maria – kto z nich godził na życie profesora? Może wszyscy razem?

I dlaczego profesor milczał. To było najważniejsze. I najbardziej tajemnicze.

Przypomniał sobie naraz słowa profesora: ... *Dziś w nocy spodziewam się nieszczęścia*. Pamiętał doskonale o poszlakach, które wskazywały na Wandę Bredę, jako domniemaną morderczynię. Pamiętał o wszystkim i czuł chaos w głowie.

Bernard Żbik wstał nagle. I on był zdenerwowany. Podniecała go bliskość zbrodniarza, który przebywał przecież z nim na jednym terenie, który dwukrotnie usiłował pozbawić życia słynnego detektywa. Podniecała go drażniąca mózg atmosfera potencjalnej zbrodni.

I naraz zadrżał.

Znów zabrzmiał na dworze, w ciemnościach lasu, za oknem – ów cichy, a jednak tak przenikliwy i mrozący krew w żyłach – niesamowity krzyk.

Podszedł do okna. Za nim profesor.

Inspektor bez wahania otworzył okno i wyjrzał w ciemność.

Aż nagle, gdzieś w oddali zabłysło w ciemnościach małe światełko, jakby iskra pioruna. W tej samej chwili rozległ się cichy, lecz wyraźny huk, niby grzmot oddalony.

Potem zaległa bezwładna, upiorna, długotrwała cisza.

Bernard Żbik zamknął okno. Profesor Breda stał wciąż obok niego.

— Widział pan? Słyszał pan? Co to było?

— Nie wiem.

Inspektor obserwował go bacznie, ale nic nie wyczytał z jego oczu. Mówił prawdę – nie umiał w tej chwili powiedzieć, co to było.

— Słyszał pan już kiedyś ten krzyk, profesorze?

Nie otrzymał odpowiedzi. Może profesor nie dosłyszał pytania. Inspektor powtórzył dobitnie:

— Słyszał pan już ten krzyk, profesorze?

— Ja? — Piotr Breda ocknął się z zadumy. — Słyszałem już. O! Dużo razy. Często.

— Co to jest?

— To pawie w zimowej oranżerii.

Inspektor zastanowił się. Możliwe. Nie wiedział wcale, że tu jest oranżeria i pawie.

— A mnie się zdawało, że to krzyk człowieka.

— Ha, ha! — śmiech profesora był wybitnie nerwowy — to jednak pawie, inspektorze.

Pójdziemy jutro do oranżerii, to się pan przekona. Piękne ptaki, które natura skrzywdziła, przydając im do cudownego opierzenia fatalny głos. Czy...

Urwał.

— ...będzie pan czuwał dzisiejszej nocy pod drzwiami mojej sypialni?

— Tak. A może umieszczę się wewnątrz.

— Nie. Po co? Każę panu ustawić polowe łóżko w przedpokoju. Wiem, że dziś w nocy zechcą mnie zamordować. Ale pan mnie obroni.

Jego szept nie był sztucznie dramatyczny. Wyczuwało się zeń prawdę, obawę śmierci.

— Która godzina?

Profesor drgnął. Spojrzał na swój złoty chronometr kieszonkowy.

— O! już siódma. Muszę wyjść zatelefonować.

— Gdzie jest aparat?

— W mojej bibliotece. Zaczeka pan tu na mnie. Zaraz wracam.

— Zaczekam.

Profesor otulił się w szlafrok i wyszedł. Inspektor znów został sam ze swymi myślami w obitym niebieską tapetą gabinecie profesora Bredy.

Mimo woli wstał i podszedł do biurka. Próbował odsunąć szufladę, w której profesor schował ów czerwony zeszyt. Szuflada była jednak zamknięta.

Nie namyślając się długo, sięgnął Żbik do kieszonki od kamizelki i wyjął z niej długi cienki haczyk stalowy, który zręcznie założył w otwór zamka. Już zamierzał pociągnąć, gdy od strony drzwi usłyszał wyraźny głos.

— Proszę odjąć ręce od zamka, bo strzelę. Proszę się nie oglądać i trzymać ręce wysoko!

Rozdział VII

PLAMA KRWI

Bernard Żbik odniósł wrażenie, jakby piorun uderzył nagle w tym cichym gabinecie. Przecież on znał dobrze ten głos.

Odwrócił się błyskawicznie.

W drzwiach stał Leszek Breda z rękami w kieszeniach, uśmiechnięty i wesoły jak zawsze.

— Ale pana przestraszyłem. Niech się pan przyzna.

Podszedł bliżej.

— Co pan chciał wyciągnąć z tej szuflady? Mógł pan przecież o to poprosić ojca. O, prawdziwy wytrych — wskazał na stalowy haczyk w ręku Żbika. — A ja myślałem, że wytrychami posługują się tylko włamywacze i złodzieje, nie zaś policja.

Minęła dłuższa chwila, nim inspektor otrząsnął się wreszcie z oszołomienia. Schował haczyk do kieszeni.

— Co ty tu robisz, Leszku? Jeszcze nie śpisz?

Chłopiec potrząsnął energicznie piękną czupryną blond włosów.

— Nic. Czekam na tatusia. Prosił mnie, abym dziś spał z nim u niego w sypialni.

Zgodziłem się, choć nie znoszę tego wielkiego, okratowanego pokoju. Przypomina więzienie.

— Leszku, jesteś dla mnie zagadką.

— Tadek powiedział wczoraj to samo do mojej guwernantki, gdy całowali się na wzgórzu i myśleli, że nikt ich nie widzi.

— A ty ich podglądałeś.

Chłopiec zaśmiał się oczyma.

— Aha. Lubię podglądać, śledzić, skradać się jak Indianin lub detektyw. Gdy będę duży, wstąpię do policji śledczej.

Żbik uśmiechnął się. Zaś Leszek nagle spowaźniał.

— Dlaczego mój tata jest taki przerażony? Boi się czegoś, ale nie mogę zrozumieć czego.

Inspektor usiadł i ujął chłopca za rękę, przyciągając go delikatnie do siebie. Nieznacznie przesunął przy tym dłoń po jego kieszeniach. Nie znalazł żadnej wypukłości, która by świadczyła o ukrytej broni.

— Ojciec jest tylko zdenerwowany, Leszku. I nic więcej.

Bernard Żbik zastanowił się naraz. To była myśl. Nachylił się nad chłopcem.

— Leszku, chcę ci powiedzieć coś ważnego.

— Słucham pana.

Duża czupryna koloru dojrzałego lnu poruszyła się i dwoje wielkich niebieskich oczu spoczęło na ustach inspektora. Delikatna rączka bębniła palcami na kolanach.

— No, co?

Inspektor ocknął się z zadumy.

— Lubisz przecież czytać powieści kryminalne.

— Bardzo.

— Chciałbyś zabawić się w detektywa?

— A jak?

— Widzisz, tu w domu przebywa przestępca, który zamierza uczynić coś złego. Twój ojciec zaprosił mnie tu, abym wykrył, kto jest tym przestępcą.

— Paradne! Więc pan nie wie, kto jest przestępcą, a wie pan, że tu przebywa. Chciałbym, aby okazał się nim na przykład mój brat Tadek.

— Dlaczego to, Leszku?

— Bo go nie znoszę. Jest kaleką i dlatego jest bardzo złośliwy.

— Nie należy wydawać sądu przedwcześnie, mój chłopcze. Ale wróćmy do rzeczy.

Pomożesz mi?

— Chętnie.

Chłopiec spoważniał naraz jeszcze bardziej. Siedział teraz wyprostowany na krześle z wyrazem czujności w oczach i w całej postawie.

— Chcę, żebyś jutro przez cały dzień śledził niespostrzeżenie swego brata... Tadka.

Oczy chłopca ożywiły się. Błyszczała w nich teraz naprawdę wielka inteligencja i... jakaś zawziętość. Inspektor nie mógł się oprzeć temu ostatniemu spostrzeżeniu.

— Właśnie Tadka! Dobrze. — Przerwał i zapytał poważnym, ale cichym głosem:

— Panie inspektorze. W naszym domu ktoś planuje morderstwo, prawda?

— Zdaje się — odparł inspektor poważnie.

Leszek zamyślił się i zadał owo dziwne, bardzo dziwne pytanie, które potem tak zaważyło na losach śledztwa.

— Jaka kara grozi za morderstwo?

— Kara śmierci.

— A czy za **współudział** w morderstwie też się jest karany śmiercią?

— Niekiedy. Najczęściej grozi kara więzienia.

— Ile lat?

— Do piętnastu.

— Aha.

Leszek zamilkł na chwilę i naraz zapytał.

— Dlaczego pan mnie przedtem rewidował niespostrzeżenie. Sądził pan, że ja tego nie zauważyłem?

Nim oszołomiony inspektor zdążył odpowiedzieć, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Weszła panna Maria i bez słowa podeszła do Leszka.

— Chodź na kolację.

Chłopiec wstał. Pomimo to zdawał się ignorować obecność guwernantki.

— Piętnaście lat. To kawał czasu. Ale ja po piętnastu latach więzienia byłbym jeszcze młodym człowiekiem, a Fräulein byłaby już do niczego — zakończył niespodziewanie poprzednią rozmowę.

Zamilkł na chwilę i dodał, kierując się ku drzwiom.

— Wie pan, Fräulein ma już trzydzieści dwa lata, a opowiada mimo to wszystkim, że ma dwadzieścia pięć. Chyba po to, aby usprawiedliwić swą funkcję mojej wychowawczynie. Czy to nie śmieszne, że tak dorosły chłopiec jak ja, ma jeszcze wychowawczynię. Wszystko przez kaprys mojej mamy.

Niemka zaczerwieniła się, jakby jej cała krew spłynęła do twarzy. Zdawało się, że za chwilę z policzków jej i warg tryśnie czerwień strumieniem. Podniosła dłoń, jakby chciała uderzyć Leszka. Ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

— Przepraszam pana za niego i za siebie. To jeszcze dziecko.

Leszek roześmiał się nagłos.

— Wcale nie dziecko. Pewny jestem, że dorównam pani, jeżeli nie doświadczeniem – to w każdym razie inteligencją i podstawą do jej rozwoju. Gdyby nie kaprys matki — dawno już by pani tu nie było. Przecież pani jest dawną koleżanką mojej matki. Kto wie, może ona dlatego trzyma panią w charakterze guwernantki, ponieważ nie ma innego pretekstu do dawania pani pensji. Bo co właściwie pani potrafi... Nawet cerować pani nie umie.

Inspektor obserwujący z niezwykłym napięciem tę scenę, nie mógł nie zauważyć jak guwernantka zbladła naraz nienormalnie.

— Ty nie lubisz swojej matki, Leszku.

— Nienawidzę jej niekiedy, panie inspektorze. Nienawidzę. Dobranoc!

Wyszedł szybko, a za nim panna Maria.

Może przez trzy minuty inspektor pozostał pod wrażeniem tego, co zaobserwował przed chwilą. Ocknął się dopiero, gdy w drzwiach ukazała się wysoka postać profesora.

Piotr Breda musiał zauważyć zmianę w wyrazie twarzy detektywa.

— Ktoś tu był — stwierdził raczej niż zapytał.

— Był Leszek i panna Maria. Panie profesorze – czemu polecił pan Leszkowi spać dziś z panem w jednym pokoju.

— Ponieważ boję się być sam, a nie chcę być z obcymi, nawet z panem. Zawsze – co syn, to syn.

Zmienił naraz temat.

— Kolacja czeka na pana. Pański Stefan jest już zupełnie zdrow. Pytał się o pana.

— Idę już. Pan jeszcze zostanie w gabinecie?

— Tak, muszę jeszcze trochę popracować. Ale niech pan do mnie wpadnie po zjedzeniu kolacji. Pogadamy trochę.

— Widzę, że poprawił się panu humor, profesorze.

— To prawda. Jest pan naprawdę subtelnie spostrzegawczy, inspektorze.

— Hm. — Żbik jakby nie dosłyszał ostatniej uwagi. — Ciekawe. Gdzie spał Leszek dotychczas. To jest gdzie miał spać dzisiejszej nocy, nim pan postanowił wziąć go do siebie?

— Zwykle śpi w pokoju matki.

Inspektor skłonił się nieznacznie i bez słowa wyszedł.

Spokojna odpowiedź profesora uderzyła weń niby grom. Leszek Breda sypiał dotychczas w pokoju matki! Dziś profesor polecił mu spać w swoim pokoju. Dziś, gdy dowiedział się, że detektyw podejrzewa Wandę Breda. Czy fakty te miały jakiś związek ze sobą?

Bernard Żbik czuł chaos myśli. Każda osoba w tym domu ma jakąś tajemnicę. Dlaczego panna Maria zbladła, gdy Leszek wspomniał o jej koleżeństwie z jego matką? Jak to pogodzić z wyniosłym tonem profesorowej wobec guwernantki?

Wszyscy są tu przygnębieni. Jeden Leszek zachowuje się pogodnie, jakby nic nie spostrzegwał. A przecież ten chłopiec jest wybitnie spostrzegawczy i inteligentny. Dziwne. Wszystko tu jest dziwne – i ludzie, i zdarzenia...

Wyjął papierosa, sięgnął po zapalniczkę i natrafił ręką na ów brelok. Korytarz oświetlony był już teraz porozwieszanymi lampkami naftowymi dość jasno. Inspektor podszedł do ściany i z ciekawości obejrzał jedną z lampek. Była metalowa i bardzo ciężka. Zawiesił lampkę na haku i znów przyglądał się brelokowi z literami SD. Zagryzł wargi — D, D, D — syczał przez zęby.

Znów przyszły mu na myśl krzyki w lesie. I ów piorun w ciemnościach.

Same tajemnice, dom tajemnic.

Przystanął naraz. Za sobą usłyszał kroki. Ciche, jakby się wlokące. Jednocześnie doszedł go słaby jęk jakby w pełnym pobliżu. Odwrócił się i podbiegł.

Zauważył w świetle odległej lampki naftowej plamę na ścianie. Dotknął jej – była wilgotna. **To była krew!**

W ciemnym kącie korytarza dostrzegł skuloną postać. Jednym susem znalazł się przy niej i przykląkł.

Omal nie krzyknął z przerażenia.

Jęczącą postacią była Wanda Breda. Leżała skulona, blada – ale żyła.

Nie to jednak przyprawilo inspektora o wrażenie słabości. Nie to przestraszyło go śmiertelnie.

Przeraziło go coś innego. – Albowiem w białym karku Wandy Breda tkwiła długa szpilka wbita aż po główkę.

Inspektor poznał tę szpilkę z zieloną główką wyobrażającą węża-kobrę.

Znał ją dobrze.

Rozdział VIII

REWOLWER, KTÓRY ZAGINAŁ,

I BRELOK, KTÓRY SIĘ ZNALAZŁ

Bernard Żbik znał tę szpilkę.

(Wie pan, panie inspektorze. Tą szpilką, można by łatwo zabić człowieka. Kobieta o skłonnościach sadystycznych, jak panna Maria, nie powinna trzymać przy sobie takiej szpilki.

Jaka kara grozi za morderstwo? A czy za współudział w morderstwie też się jest karanym śmiercią, a jeżeli więzieniem — to ile lat.

Czyli ja po piętnastu latach, więzienia byłbym jeszcze młodzieńcem, a Fräulein byłaby już do niczego.

Jeżeli mnie uderzysz, to ci oddam.

Nienawidzę jej niekiedy, panie inspektorze. Nienawidzę.)

Tak, to były słowa Leszka Bredy w różnych sytuacjach. Leszek Breda czyta powieści kryminalne. Profesor zakazał Leszkowi spać tej nocy w pokoju matki...

Boże! Więc to dziecko miałoby być mordercą. Ten siedemnastoletni chłopiec godzić by miał na życie matki.

A trucizna. Kto usiłował otruć detektywa. Wszystkie te myśli przemknęły przez mózg inspektora niby błyskawica, ale błyskawica, która nie rozjaśnia — lecz zaciemnia jeszcze bardziej.

U stóp jego leżała postać Wandy Breda.

Przecież tu można oszaleć. Kto, kto jest mordercą? Żółte getry. Leszek Breda, Wanda Breda, pani Dillon, Fuchs, Tadek-kaleka zakochany w Marii, właścicielce narzędzia zbrodni. Maria... Kto?...

Kto?

Uniósł ostrożnie profesorową, wziął ją na ręce jak małe dziecko (jaka ona lekka) i zaniósł do swego pokoju. Już tu nikomu nie ufa. Nikomu nic nie powie. Zawoła tylko profesora, który jest lekarzem i mężem.

Stefan spojrział ze zdumieniem na wchodzącego inspektora, ale ten nie dał mu się namyślić.

— Zapal jeszcze jedną lampę. Podaj mi z kufra moją latarkę.

Ułożył ranną na kanapie i obejrzał ranę. Szpilka wbita była aż po główkę. Nie wyciągnął jej. Wolał zaczekać na profesora,

Wanda Breda żyła. patrzyła nań tak jakoś dziwnie swymi wielkimi granatowymi oczyma.

— Czy może pani mówić?

Wykonała ruch powiekami, ale twarz i wargi pozostały nieruchome.

Zrozumiał. Szpilka poraziła widocznie kręgi szyjne i spowodowała sparaliżowanie głowy.

Nie mogła mówić. Tylko oczy poruszały się niespokojnie.

— Stefan!

— Słucham.

— Pobiegniesz do profesora i powiesz mu, żeby natychmiast przyszedł. Nie mów mu o niczym — tylko, że stało się coś ważnego i że on jest potrzebny, natychmiast. Jest w swoim gabinecie, tym niebieskim.

— Wiem, panie inspektorze.

— Biegnij, duchem!

Ułożył profesorową na boku i umocował jej głowę w poduszkach, które wyjął ze skrzyni łóżka stojącego obok.

— Czy pani mnie słyszy? Proszę odpowiedzieć przymknięciem powiek.

Uśluhała.

— Wie pani, kto panią napadł?

Leżała nieruchomo.

— Proszę skinąć powiekami. Na Boga, niech się pani nie poddaje omdleniu. Ja panią uratuję. Czy — pani — wie, — kto — na panią — napadł? Kto — to — jest?

Nie poruszyła się. Niemal oszalały z przerażenia inspektor ujął jej rękę w przegubie. Puls bił słabo, żyła jeszcze, ale zemdliała.

Nadbiegli Stefan i profesor.

Piotr Breda jednym spojrzeniem objął pokój i zrozumiał. Był nienormalnie spokojny.

— Gdzie?

Inspektor wskazał mu ranę na karku.

— Biegnij pan do mego gabinetu po przyrządy chirurgiczne. Stoją w szklanej szafce na półce obok okna. Przyniesie pan też benzynowy palnik. Prędkiej. Pan zaś — szarpnął brutalnie ramię Stefana — leć do kuchni po gorącą wodę. Już.

Stefan usłuchał.

Gdy detektyw wrócił po chwili z błyszczącymi narzędziami w stalowym w pudełku, profesor stał już nad swą żoną i trzymał długą szpilkę za główkę. Ostrze pokryte było krwią.

— Przyniosłem też watę i bandaż.

— Dziękuję. W zdenerwowaniu zapomniałem o tym. Dziękuję. Pomoże mi pan!

Uspokoił się nagle i wyjął z podłużnej wanianki potrzebne narzędzia. Zanurzył je w imbryku gorącej wody, który przyniósł Stefan.

Po dwunastu minutach nerwowej pracy w napiętej przeraźliwej ciszy, przerywanej tylko brzękiem narzędzi w ręku lekarza-męża, profesorowa legła na poduszkach tapczanu.

— Będzie żyła?

— Mam nadzieję. Nic w tej chwili nie mogę powiedzieć. Tętnica szyjna jest nienaruszona i dlatego upływ krwi był mały. To ją może uratuje.

Usiadł gwałtownie, jakby podcięty. Ręce drżały mu, gdy wkładał narzędzia do stalowej wanianki.

— Jak ją pan znalazł?

Bernard Żbik nie odpowiedział. Przede wszystkim wziął leżącą na stole szpilkę, narzędzie zbrodni, ostrożnie zawinął ją w papier i schował do swej teczki.

Zamknął teczkę starannie.

Dokładnie opowiedział profesorowi o wszystkim. Skonkretyzował swe podejrzenia. Nie wspomniał tylko ani słowem o podejrzeniach względem Leszka. Sam jeszcze nie chciał w nie wierzyć. Może to się wszystko w jakiś niesamowity sposób wyjaśni.

Ale dłużej czekać nie będzie.

— Profesorze. Popelniono tu zbrodnię, zamach na życie pańskiej żony. Jestem inspektorem policji i muszę wkroczyć. Porozumiem się telefonicznie z centralą i sprowadzę tu moich ludzi.

— Może pan ma rację. Niech pan postępuje, jak pan uważa.

— Dobrze. Gdzie jest telefon? Zdaje się, w pańskiej bibliotece?

Profesor skinął głową w milczeniu.

Inspektor zostawił go z żoną i bez słowa skierował swe kroki do biblioteki.

Był to duży pokój w budynku środkowym obity czerwonym pluszem. Ściany od podłogi aż do sufitu pokrywały półki z książkami, tak że kosztowne czerwone otapetowanie było właściwie zbyteczne.

Telefon stał na długim stole pokrytym czerwonym suknem.

Bernard Żbik podniósł słuchawkę i zakręcił korbką aparatu. W zadumaniu i zamyśleniu czekał na odezwanie się stacji podmiejskiej, obserwując tymczasem w milczeniu wielki przycisk biurkowy, wyobrażający zranioną lwicę asyryjską.

Stacja się nie odzywała. Zakręcił korbką jeszcze raz, przycisnął widełki wskazując palcem lewej ręki i z olimpijskim spokojem położył mikrotelefon.

Zrozumiał, że połączenie telefoniczne jest przerwane. Zbadał drut i znalazł przecięcie.

Wielka gra się rozpoczęła.

Tajemniczy morderca nareszcie zrozumiał, że grunt zaczyna mu się palić pod stopami i wypowiedział wojnę detektywowi.

Inspektor spojrział jeszcze raz na ładny, czarny, błyszczący aparat telefoniczny będący już teraz tylko bezużytecznym balastem stołu, sprawdził magazyn swego rewolweru i z odbezpieczonym pistoletem w ręku wyszedł do hallu.

Stefan czekał na niego.

Bernard Żbik stał chwilę i w milczeniu taksował dobrze mu znane rysy swego służącego.

— Jesteś odważny?

— Tak jest.

Kaszub spojrział w poważne oczy szefa-detektywa i na ten raz zaniechał „katowskich” porównań.

— Stefan, to niebezpieczna gra.

— Słucham.

— Masz swój rewolwer przy sobie?

— Mam.

— Pokaż go.

Obejrzał okazaną mu broń i zwrócił służącemu.

— Trzymaj go w pogotowiu. Może będzie nam wkrótce potrzebny. Zaczyna tu być niebezpiecznie. Ubierzesz się w swój kozuch.

— Rozkaz.

— Wsiądziesz w packarda profesora i pojedziesz do Warszawy pełnym gazem. Dam ci list do pana aspiranta Billewskiego, który już będzie wiedział, jak ma postąpić. Jeszcze dziś wrócić tu z Rogalskim, Wielgusem, Więckiem i doktorem Dalczewskim. Przywieziesz też psa policyjnego, Dianę.

— Widzę, że się robi gorąco, jak rzekł hiszpański skazaniec, gdy podpalono po nim stos. A to był naprawdę prokurator i tylko mu się śniło.

— Ha! Tak, Stefan. Trochę gorąco. Nasze życie jest w poważnym niebezpieczeństwie. Marsz!

— Według rozkazu – jak rzekł do tureckiego kata pewien delikwent na bastonadę i zdjął

buty.

Stefan wyciągnął rękę i inspektor uściśnął ją mocno i serdecznie. Lubił w tej chwili Stefana bardziej niż zwykle. Jego pogodna, naiwna twarz i oczy były wytchnieniem po tych wszystkich tajemniczych, patologicznych indywidualnościach zamieszkujących „dom tajemnic”.

— No, to chodź. Odprowadzę cię do bramy. Muszę też otrzymać pozwolenie od profesora na użycie jego wozu.

W pokoju detektywa siedział wciąż Piotr Breda i wpatrywał się ckliwie w twarz swej żony. Wanda Breda spała, oddychając ciężko, niezdrowo. Profesor trzymał swą wielką siwą głowę w rękach i pochylony wciąż wpatrywał się w śpiącą.

— Cicho! — Dał wymowny znak inspektorowi. — Będzie żyła.

— Nie sądzi pan, że lepiej sprowadzić lekarza.

— Wolałbym nie. Sam wystarczę.

Inspektor zrozumiał. Piotr Breda bał się rozgłosu.

— Przyznaję, że mnie pan sam jako lekarz nie wystarczy. Pan jest psychiatrą, a tu potrzebny jest chirurg. Będzie tu zresztą za godzinę lekarz policyjny doktor Dalczewski. Właśnie chciałbym pana prosić o pożyczenie mi wozu. Stefan pojedzie do Warszawy po moich ludzi.

— To jest nieodzowne?

— Tak — odparł twardo Bernard Żbik.

— No, dobrze już. Kto poprowadzi wóz?

— Stefan sam.

— Zaraz wydam szoferowi polecenie, aby otworzył bramę. Chodźmy.

Cała rozmowa odbyła się w ciszy, aby nie budzić śpiącej rannej. Wyszli też na palcach nóg. Profesor skierował się ku hallowi, zarzucił futro wiszące na toaletce i wyszedł, a za nim Stefan w kożuchu. Inspektor pobiegł po swój raglan i po chwili znalazł się na drodze, w lesie.

Czekał przy furtce stalowej obok czarnej bramy, przez którą wyjechać musiał samochód po wyprowadzeniu go z garażu. Swoim małym wiecznym piórem napisał kilka słów na kartce wyrwanej z notesu, złożył kartkę i zaadresował: *P. Aspirant A. Billewski. Do rąk własnych. B. pilne.*

Minęło może dziesięć minut, a auta nie było.

Wiedziony raczej intuicją niż niepokojem, inspektor pobiegł w kierunku garażu. Otworzył drewniane drzwi.

Garaż oświetlony był elektrycznością z baterii anodowej. W jej świetle detektyw ujrzał wyraźnie pochylonych nad motorem profesora i Stefana. Maską była podniesiona z obu stron. Na widok inspektora Stefan odwrócił się, a w jego wielkich naiwnych oczach błysnęła złość.

— Niech pan zobaczy, panie naczelniku, co on zrobił z tego wspaniałego wozu.

— Kto?

— A cholera wie, z przeproszeniem pana inspektora. Przecież szlag może człowieka trafić, gdy spojrzy na ten karburator. Taki piękny Zenith, a teraz... — Rozłożył żałośnie ramiona.

Żbik podszedł bliżej. I znów zadrżał. Tajemniczy morderca przeczuł, że po przecięciu drutów telefonicznych detektyw – jego najniebezpieczniejszy wróg zechce skorzystać z auta i postanowił do tego nie dopuścić. Wystarczył jeden rzut oka na wandalsko pogięte tłoki i złamaną igłę w karburatorze.

Profesor odwrócił się wolno.

— Może pan zadzwoni do Warszawy?

— Telefon jest uszkodzony. Jesteśmy odcięci. Ale to mnie nie powstrzyma. Stefan!

— Tak jest, panie inspektorze! W oczach głównego detektywa pojawił się twardy, zimny, nieugięty stalowy błysk zawziętości.

— Weź rewolwer w garść i wyjdź na szosę. Zatrzymasz choćby terrorem pierwszy przejeżdżający samochód i każesz się podwieźć do Centrali w Warszawie. Masz tutaj mój znaczek służby śledczej.

— Rozkaz! Będzie frajda!

Stefan zatarł dłonie z werwą, zasalutował po wojskowemu i bez słowa wyszedł z garażu.

Piotr Breda stał wciąż przy zniszczonym motorze wspaniałego packarda. Słyszał słowa detektywa i nie oponował. Bernard Żbik ujął sytuację w ręce.

— A jednak – szkoda wozu.

— Teraz nie czas na żale. Ma pan rewolwer przy sobie, profesorze?

— Mam. — Sięgnął ręką do kieszeni i naraz zmieszał się i zbladł, co było wyraźnie widoczne. Zagryzł dolną wargę. — Nie mam rewolweru, a przysięgnę, że przed dwiema godzinami leżał jeszcze w kieszeni palta. Na pewno tu był — uderzył płasko złożoną dłońią w kieszeń.

Przeszedł się dwukrotnie po garażu i zatrzymał się znów z ręką opartą na dużym połyskującym błotniku.

Inspektora znów przeszedł dreszcz. W rękę zbrodniarza znajdował się teraz rewolwer.

Widocznie nie dysponował nim dotychczas, bo chybaby strzelił do Wandy Breda zamiast ją przekłuć. A może uczynił tak, aby nie sprawić hałasu.

Bernard Żbik przycisnął obie pięści do czoła. Był bardzo zdenerwowany. Miał wrażenie, że przebywa na wulkanie, którego czarny krater może każdej chwili zionąć ognistą lawą zniszczenia.

— Co to był za rewolwer?

— Siedmiostrzałowy nagan numer 523367-37. Ale miałem w kieszeni też zapasowy naładowany magazyn.

— I ten również zniknął?

— Tak — szepnął Breda cicho, jakby o czymś innym myślał w tej chwili.

Bernard Żbik myślał teraz z błyskawiczną szybkością. Morderca rozporządza doskonałym rewolwerem i trzynastoma strzałami. To wystarczy, aby ani jednej żywej osoby nie zostawić w „domu tajemnic”. Znów przepłynęła mu przez kręgosłup fala zimnego przerażenia.

Mimo woli rozejrzał się po garażu. Poczynał wierzyć w intuicję a może w podświadoma logikę i podświadomą spostrzegawczość – albowiem na jednej z drewnianych ścian boksu zauważył mały skrawek gazety przymocowany zwykłą szpilką. Na gazecie był napis ołówkiem, który brzmiał:

Dziś w nocy zabiję

PIOTRA BREDE.

On będzie pierwszy.

Profesor stał wciąż w milczeniu. Zdaje się nie zauważył nawet tego, co czyni detektyw, nie zauważył kartki, którą ten schował do kieszeni. Może zaś tylko udawał, że nie widzi.

Bernard Żbik zastanowił się naraz. Wyjął schowaną uprzednio kartkę – skrawek gazety z ostrzeżeniem – i pokazał profesorowi.

Ów przeczytał i ani włoska nie drgnął u jego powieki. Przyjął zapowiedź własnej śmierci z niesamowitym wprost spokojem.

— Spodziewałam się tego.

— Zna pan ten charakter pisma?

— Nie znam.

— Wygląda jak dziecinny.

— Kogo pan podejrzewa?

— Niech pan nie krzyczy. Czy pan musi dziś w nocy być w tej willi? Może przenocuje pan w Warszawie?

— Nie! Już mi wszystko jedno.

— Obstaże pan przy tym, aby spać z Leszkiem w jednym pokoju?

Profesor uspokoił się naraz.

— Pan teraz podejrzewa mego syna Leszka o te wszystkie czyny. Czy to nie śmieszne?

Wypowiedział to straszliwe podejrzenie z lodowatym chłodem.

Inspektor rozumiał jego oburzenie.

— Podejrzewam teraz wszystkich. Tu dokonano pierwszej zbrodni, a szykuje się następną i moim obowiązkiem jako oficera policji śledczej jest – za wszelką cenę, choćby naszej przyjaźni – zdemaskować zbrodniarza i nie dopuścić do drugiej zbrodni do następnego szaleństwa. I uczynię wszystko co jest w mojej mocy. Nie cofnę się przed najbardziej drakońskimi i dyktatorskimi zarządzeniami. Dotychczas byłem tu gościem – od tej chwili jestem detektywem urzędowym.

Zacisnął lekko wargi i ciągnął.

— Zginął panu rewolwer z trzynastoma kulami, najpewniej skradziony przez mordercę, który ukrywa się wśród nas. To najpewniej obłąkany człowiek, który może w ataku szału powystrzelać nas wszystkich z ukrycia lub półjawnie. Już dwukrotnie podjął zamach na moje życie, bo zrozumiał, że jestem dlań niebezpieczny. Dalej czekać byłoby równym szaleństwem.

Spojrzał na zegarek.

— Za godzinę będą tu moi ludzie, a wtedy przedsięwzięmy wszystkie możliwe środki zapobiegawcze.

— Ma pan rację, inspektorze. Jestem do pańskich rozkazów. Może pan czynić, co chcesz.

— Uczyniłbym to i bez pańskiej aprobaty, profesorze — odparł Bernard Żbik ostro, rozumiał bowiem, że wyrozumiałość może w tej chwili być zupełnie nie na miejscu. — Rozkazuję panu udać się natychmiast do swego gabinetu i zamknąć się tam na klucz aż do chwili przybycia moich ludzi. Zaprowadzę w tym domu stan oblężenia – to nie są żarty. Ma pan drugi rewolwer?

— Mam. Browning.

— Więc proszę za mną.

— Dobrze.

Profesor uśmiechnął się gorzko i dodał.

— Wątpię, czy uda się panu uchronić mnie od rąk zbrodniarza.

— Nie wolno wątpić, musi się udać.

— Oby...

Wyszli obaj z garażu. Przeszli przez hall i korytarz do gabinetu profesora. Inspektor polecił Piotrowi Bredzie poczekać przed drzwiami i śmiało wszedł pierwszy z bronią w dłoni. Zapalił obie lampy naftowe i zlustrował pokój fachowym spojrzeniem. Bez ceremonii przyklęknął i zajrzał pod tapczan. Otworzył szafę i sprawdził, czy nikt nie jest w niej ukryty oraz czy nie ma ona podwójnych ścian.

— Proszę. — Skinął na profesora. — Gdzie pana rewolwer?

— W tej szufladzie.

— Niech go pan wyjmie.

Profesor usłuchał bez ociągania. Otworzył szufladę kluczem i wyjął rewolwer. Była to popularna piątka (6,35) systemu Browninga.

Inspektor wysunął magazynek, sprawdził naboje i bezpiecznik, zarepetował i wprowadził nabój do lufy. Zamknął kłapkę i wręczył broń profesorowi.

Wychodzę i zamykam pana na klucz. Klucz zabieram ze sobą, Zdaje mi się, że pan zna osobę zbrodniarza i kryje go pan z jakichś powodów. Przyznał się pan zresztą do tego.

Wobec takiego stanu rzeczy wolę uchronić pana od krytycznej sytuacji i zamknę pana na klucz. Uwolnię pana, gdy tylko przyjdą moi ludzie i będę już mógł przydzielić panu „cienia” dla ochrony. Do widzenia.

Uściskał rękę profesora i wyszedł. Zamknął drzwi na klucz, który schował do kieszeni.

Skierował się teraz do pokoju Tadka.

Młody kaleka siedział przy stole i czytał jakąś książkę. Detektyw wszedł bez pukania i ujrzał skierowane ku sobie gniewne, niemal obraźliwe spojrzenie. Ale nie usłyszał ani słowa protestu.

Bez słowa przystąpił bliżej i wziął w rękę książkę, którą Tadek czytał dotychczas. Był to *Niepokój płciowy* doktora Blocha. Spodziewał się czegoś podobnego jeszcze przedtem, gdy ujrzał rozpalone oczy młodzieńca.

— Zostanie pan tu w pokoju — zaczął bez wstępu. — Jest pan uzbrojony?

Nie czekał na odpowiedź.

— Proszę mi wydać swój rewolwer.

— Co się stało.

— Dokonano zamachu morderczego na pana matkę.

— A morderca?

— Aresztowałem go — skłamał Żbik.

— Kto to jest?

— To moja rzecz na razie. Uważam za stosowne zachować to do czasu w tajemnicy przed panem. Zabieram pański rewolwer. Za godzinę uwolnię pana, o ile do tego czasu nie zajdzie nic nowego.

Kaleka wstał i lewą, zdrową ręką schwycił Żbika za ramię.

— Czy ja... też jestem... aresztowany?

Detektyw spojrzał mu ostro wprost w oczy.

— **Jeszcze nie.**

Nie oglądając się i nie bacząc na piorunujące wrażenie, jakie słowa te wywarły na młodym człowieku – wyszedł i tu również zamknął drzwi na klucz.

Leszka Bredę zastał w saloniku z panną Marią. Opowiadała mu właśnie po niemiecku balladę Schillera *Der Handschuh*.

Inspektor spojrzał teraz na tę parę zupełnie innymi oczyma. Nie wolno mu było zapomnieć, że w szyi Wandy Bredy utkwiała szpilka, będąca własnością guwernantki. Nie wolno mu też było przejść do porządku dziennego nad słowami Leszka i jego stosunkiem do matki.

Pierwsze spojrzenie detektywa padło na sweter guwernantki. Szpilka z zieloną główką węża kobry już w nim nie tkwiła.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór — bąknęła panna Maria. Leszek skinął tylko głową i uśmiechnął się jak zwykle.

Inspektor usiadł.

— Dlaczego nie nosi już pani tej ładnej szpilki z zieloną główką w kształcie węża-kobry. Była bardzo efektownym upiększeniem.

Widział wyraźnie jak guwernantka się zmieszała. Zbladła nagle, a jej ładne, choć nieco przygrube, ręce wykonały jakiś nieokreślony gest i splotły się palcami.

Nachylił się i przysunął swe krzesło tuż do jej kolan. Uśmiechnął się swobodnie.

— Gdzie jest ta szpilka ?

— Dałam ją... panu Tadeuszowi.

Domyślny inspektor uśmiechnął się znów.

— Ta—de—uszowi — skandował. — Jak to obco brzmi.

Przerwał na chwilę, badając jej twarz tak fachowo obojętnie, jakby to był obiekt martwy, który zamierzał nabyć na własność i ogląda go przed kupnem. Zmieszała się jeszcze bardziej.

— Pani nie brak sprytu. Dała mu ją pani, czy też sądzi pani, że zgubiła ją pani w jego pokoju.

— Pan jest...

— Co? — ciął krótko.

— N... nic.

— No, to gruba przesada. Jestem jednak czymś. — Odwrócił się szybko.

— Leszku, mam dla ciebie ukłony.

— Od kogo?

— Od mamusi — Nie spuszczał w tej chwili wzroku z twarzy guwernantki. — Możesz pójść ją przeprosić jutro rano. Przynęła, że zapomni o tym, co się stało przed i podczas obiadu.

Oczy chłopca zabłyśły radością.

— Pójdę teraz. Już. To pan ją przekonał. Bardzo, bardzo panu dziękuję. Idę do mamy...

— Nie — Żbik powstrzymał go delikatnie. — Teraz mama śpi i nie można jej budzić.

— Śpi? To widocznie jej się polepszyło. Zwykle nie mogła zasypiać bez proszków. A właśnie wczoraj wyczerpały jej się te proszki.

Żrenice detektywa zwęziły się nieznacznie.

— Widocznie jej lepiej. Zasnęła.

— Szkoda. Chciałbym ją już przeprosić.

— Przecież mówiłeś przedtem, że jej nienawidzisz.

— Wtedy kiedy mówiłem, było tak istotnie. Ale teraz już ją znów lubię. Mam już taki wariacki charakter. Mogę lubić i nienawidzić jednocześnie. Odziedziczyłem to usposobienie po tatusiu.

Inspektor wstał. Pogłaskał chłopca po pięknych włosach.

— Muszę już iść.

Skinął głową pannie Marii i gestem przywołał ją do siebie, tak aby Leszek tego nie widział. Stali oboje w drzwiach, chłopiec wciąż siedział na krześle przy stole.

— Nieznany morderca dokonał zamachu — inspektor mówił szeptem — na panią Wandę Brede. Przebito ją szpilką z zieloną główką. Niech pani o niczym nie mówi temu małemu. — Badał wrażenie swoich słów. — Prowadzę w tej sprawie urzędowe śledztwo. Zamknę was tu oboje na klucz.

Skinął głową i zamierzał się odwrócić.

— Nie. Nie!

Widział wyraźnie jak drżała, niby liść osiki smaganej przez samum.

— Niech mnie pan nie zamyka z Leszkiem. Ja się go niekiedy boję.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Ale się boję.

- Przedtem się pani nie bała.
- Przedtem nie – a teraz – tak.
- Brednie. Nakazuję pani uspokoić się w tej chwili.

Wyszedł. – Dlaczego guwernantka bała się teraz Leszka. Jej przerażenie przed chwilą nie było udane. I dlaczego nie bała się go przedtem. Czy miało to oznaczać czas przed zamachem na Wandę Bredę. W takim razie..

Wchodził zamyślony na kręte stalowe schody w kształcie korkociągu wiodące na pierwsze piętro. Przed szerokimi drzwiami zatrzymał się, nad słuchując. Cicho było wewnątrz. Zapukał delikatnie, potem mocniej. Przeczekał chwilę.

Nikt się nie odzywał.

Zapukał jeszcze raz i pchnął klamkę. Drzwi były otwarte. Pokój pusty i ciemny. Lampa z korytarza oświetlała go skąpo. Prawdopodobnie państwo Dillonowie poszli na spacer. Świadczył o tym brak palt na wieszakach. Żbikowi dopiero teraz przyszło na myśl, że zapomniał się poinformować, czy adwokat z żoną mają własny samochód. Zanotował uwagę w swym safianowym notesie. Może wybrali się na przejażdżkę.

Powziął nagły zamiar. Podeszedł do drzwi, zamknął je na klucz (klucz tkwił od wewnątrz) i wyjął swą silną lampę elektryczną. Starannie przeszukał pokój. Nie spodziewał się znaleźć niczego. A jednak wyszedł z tego pokoju jeszcze bardziej przerażony i zdezorientowany niż dotychczas.

Albowiem na biurku leżał obok odsuniętej szufladki duży rewolwer siedmiostrzałowy marki Nagan. Inspektor poświecił latarką, aby odczytać numer broni.

Ledwie powstrzymał okrzyk przestachu.

Był to rewolwer numer 523367-37 – **zaginiony rewolwer profesora Bredy!**

Obok leżał zapasowy magazynek!

Zaginiony rewolwer profesora na biurku w pokoju adwokata. Adwokata, który nosił żółte getry. Jeszcze jeden podejrzany. Wszyscy podejrzani, nawet Wanda Breda, na którą morderca dokonał zamachu. *Dziś w nocy zabiję Piotra Bredę. On będzie pierwszy. Pierwszy, a kto będzie następny? Ilu będzie następnych aż do chwili zdemaskowania zbrodniarza?*

Straszne! Nie! Nie wolno dopuścić do pierwszej zbrodni zabójstwa. Trzeba ocalić życie profesora Bredy.

Bernard Żbik zabrał rewolwer i schował go do kieszeni. Magazyn nabojów ukrył w szufladzie, którą zasunął. Odwrócił się wolno i wyszedł z pokoju. Dałby dużo za to aby wiedzieć: gdzie w tej chwili przebywa, o czym mówi i jakie ma myśli adwokat Dillon, Polak z Chicago.

Właśnie zstępował cicho z krętych, niewygodnych schodów, gdy ujrzał wyłaniających się zza kwadratowej kolumny hal u adwokata i jego żonę. Hall oświetlony był lampami karbidowymi dość jasno. Małżonkowie szli przytuleni do siebie choć jednocześnie dziwnie sobie obcy, jakby rozdzieleni jakąś niewidoczną ścianą. Nie zauważyli go do ostatniej chwili, gdy niespodziewanie wyłonił się przed nimi jak spod ziemi.

— Och!

Adwokatowa wydała ten krótki okrzyk i cofnęła się o krok, puszczając jednocześnie ramię swego męża. Na adwokacie nagle pojawienie się detektywa wywarło wrażenie zewnętrznie wręcz przeciwne. Stał w miejscu jak wryty, a bezustnikowy papieros wypadł z jego wąskich ust na posadzkę hallu.

— Przestraszył pan moją żonę.

— I pana też, o ile się nie mylę. Dlaczego?

— Pojawił się pan tak niespodziewanie.

Inspektor stał wciąż na ostatnim stopniu żelaznych schodków i małe ruchliwe oczka

człowieka z Chicago wpatrywały się uporczywie w nogi detektywa. Bernard Żbik odczytał jego myśl.

— Byłem u państwa na górze, ale oczywiście nikogo nie zastałem.

— Wszedł pan do mieszkania?

Pytanie zadał adwokat. Pomimo szczerego wysiłku nie mógł ukryć nuty niepokoju.

— Tak. Bardzo ładne mieszkanie. — Inspektor nie spuszczał zeń wzroku. — Gdzie państwo byli o tak późnej porze.

— Na spacerze.

— Samochodem?

— Tak.

— Państwo mają fiata?

— Nie! Daimlera.

— Racja. Zapomniałem. — Inspektor trzepnął niedbale palcami. — Te szosy bywają nocami i zimą niebezpieczne. Dużo hołoty włóczy się po lasach. — Zrobił umyślnie dłuższą przerwę, nie zdejmując oczu ze stojących przed nim jeszcze wciąż niezrozumiale zmieszanych i skonsternowanych małżonków. Szczególnie zdziwiło Żbika zmieszanie adwokatowej. Oboje mieli jakąś wspólną tajemnicę w mieszkaniu na górze. Czyżby... — Czy pan posiada jakąś broń?

— Nie mam. Po co? Przecież nasz samochód jest zamknięty, a na szosie żaden piechur nie zatrzyma stukonnego daimlera w pędzie.

— Przesada, panie mecenasie. Gdybym ja sam chciał zatrzymać pański samochód, położyłbym po prostu zwykłą kłodę w poprzek drogi. Ale mniejsza z tym. W ogóle nie ma pan żadnej broni?

— Nie. Jestem niekiedy dość dorywczy i impulsywny. Mam trochę choleryczny charakter i znając jako prawnik ewentualne skutki nieopatrzego użycia broni, uważam za stosowne nie nosić jej przy sobie, bo mogłoby mnie to narazić co najmniej na przykrość. Umiem się za to nieźle boksować. — Mimo woli ścisnął pięści.

— O ile wiem, pochodzi pan z Chicago. A tam o sposobność do strzelaniny nietrudno. Czy pańska brawura i przeceniony rozsądek nie są raczej lekkomyślnością?

Adwokat zaśmiał się głośno i krótko.

— Jak widzę, był pan ostatnio na filmie z Bancroftem lub kimś podobnym. Chicago to zupełnie spokojne miasto i ani się umywa do fantazji europejskich dziennikarzy i literatów.

Mimo to amerykańanie robią „chicagowskie” filmy z Bancroftem i Olandem. Business is bussiness, mister.

Jeżeli ten człowiek grał w tej chwili komedię, to czynił to wspaniale. Bernard Żbik uśmiechnął się i wyjął z niewinnym wyrazem twarzy i oczu siedmiostrzałowy nagan profesora, który znalazł w pokoju adwokata nie posiadającego broni.

— Ale zna się pan chyba na gatunkach broni?

— Owszem. Byłem ochotnikiem w kompanii ciężkich karabinów maszynowych.

— Podoba się panu ten rewolwer?

Podsunał mu broń tuż pod nos wciąż nie spuszczać przy tym oczu z jego wąskiej twarzy.

Oblicze adwokata pozostało jednak kamiennie nieruchome, jakby było rzeźbione.

— Zwykły nagan siedmiostrzałowy.

— No, tak. — Inspektor schował rewolwer na powrót do kieszeni płaszcza i skinął głową pani Dillonowej.

— Poznaję po wyrazie pana oczu, że chciałby pan wiedzieć, jaki cel miało to moje śledztwo. Jako adwokat rozumie pan oczywiście doskonale, że to było małe przesłuchanie. Otóż,

ktoś usiłował zabić panią Wandę Bredę. Prowadzę w tej sprawie śledztwo. Proszę państwa o udanie się do swego pokoju i zatrzymanie się tam, aż do mego polecenia. To wszystko.

Bernard Żbik poczuł naraz szarpnięcie za rękaw i o centymetr przed sobą ujrzał podłużną, ostrą twarz adwokata Dillona.

— U-si-ło-wano za-bić Wandę Bredę? Kto? – To jest na razie tajemnicą śledztwa.

Adwokat puścił jego rękaw.

— Przepraszam.

Ukrył naraz twarz w dłoniach i stał tak przez chwilę nieruchomo. Żbik obserwował go w milczeniu.

Podczas całej tej dziwnej sceny pani Dillon nie odezwała się ani słowem, choć ujawnienie uczuć jej męża do Wandy Bredy musiało ją niewątpliwie dotknąć w jej godności małżeńskiej. Może cieszyła się w duchu z tak niespodziewanego usunięcia rywalki, i burzycielki jej domowego ogniska, i radość z tego powodu przygłuszyła w niej nawet uczucie zazdrości. W każdym razie jak na kobietę okazywała stanowczo zbyt mało wzruszenia wieścią o zamachu na profesorową.

Swymi delikatnymi palcami oderwała ręce męża od jego twarzy i ujęła go za ramię.

— Come on, Seb.

Odeszli oboje, skinąwszy głową detektywowi. A Żbik stał jeszcze dłuższy czas bez ruchu, jak gromem rażony.

Chodź, Seb. Sebastian. Sebastian Dillon. SD. Więc... Ale przecież to był brelok **damski**.

Trzema susami znalazł się na piętrze. Przebiegł kręte schody z wprost nieprawdopodobną szybkością. Małżonkowie wchodzili właśnie do mieszkania. Na widok nadbiegającego detektywa zatrzymali się jak wryci. W oczach adwokata pojawił się tym razem już zupełnie nieukrywany błysk przerażenia. Stanął w drzwiach i rozkrzyżował ramiona jak Rejtan, chcąc bronić wejścia do pokoju.

— Jak pani na imię?

Zapytana spojrzała na detektywa z nietajonym zdziwieniem, zaś przez pociągłe rysy jej męża przebiegła dziwna fala uśmiechu.

— Sylwia. Sylwia Dillon.

— Więc to jest pani brelok?

Zawahała się tylko przez chwilę, nim wzięła do ręki małą, złotą płytkę w kształcie serca.

— Tak. Naprawdę mój zaginiony brelok. Spójrz, Seb.

— To wystarczy. Przepraszam, ale się śpieszę.

Adwokat znów podniósł ramiona z wyraźnym zamiarem bronięcia za wszelką cenę dostępu do mieszkania. Jego dolna szczęka zacisnęła się energicznie.

— Bez nakazu rewizji formalnie wystawionego nie pozwolę przeszukać swego pokoju.

Inspektor zaśmiał mu się prosto w twarz.

— Ciekawe. Tym ciekawsze, że w tej chwili wcale nie miałem zamiaru rewidować tego pokoju. Muszę już państwa pożegnać. Proszę pamiętać o mych instrukcjach i nie opuszczać mieszkania. Chyba do tego nie trzeba „nakazu formalnie wystawionego”, how do you mean, mister **lawyer**?

Po tych słowach odwrócił się szybko i zbiegł po schodach do hallu. Tu dopiero przestał udawać. Pomimo brawury nie było mu wcale wesoło na duszy. Zacisnął wargi w zamyśleniu i udał się do pokoju profesora. Otworzył drzwi kluczem, który miał w kieszeni i omal nie zderzył się czoło w czoło z Piotrem Bredą, stojącym widocznie tuż przy drzwiach.

— Czy już są pańscy ludzie?

— Nie jeszcze. Wstąpiłem tylko na chwilę. Znalazłem pański nagan numer 523367-37.

Proszę, może go pan wziąć na powrót. Przyda się.

— Gdzie go pan znalazł?

Inspektor strzepnął pyłek z marynarki profesora.

— W pokoju adwokata Dillona. Nie domyśla się pan jak broń mogła się tam dostać?

Adwokat twierdzi, że nie posiada broni i nie chce jej. Gdy mu okazałem ten rewolwer udał, że go nie poznaje.

— Nie rozumiem — szepnął profesor.

— A ja już zaczynam rozumieć — rzucił Bernard Żbik zagadkowo i skinąwszy przyjaźnie głową profesorowi, wyszedł, starannie zamykając drzwi za sobą zgodnie z tym, jak się poprzednio umówili.

Rozdział IX

STAN OBLEŻENIA

Zegar na kominku (Louis XV) w wielkim hallu willi „Gong” wskazywał godzinę dziesiątą, gdy w szklanych drzwiach od dworu stanął w swym ogromnym kożuchu Stefan i ściągnąwszy rękawicę odezwał się wesoło do towarzyszącego mu młodego człowieka w wieku około dwudziestu siedmiu lat zwracającego na siebie uwagę swymi mądrymi, poważnymi i powolnie ruchliwymi oczami.

— Jesteśmy na miejscu, jak rzekł pewien kat do skazańca, wskazując na szubienicę. Niech się pan rozbiera na wszelki wypadek, panie aspirancie, bo na dworze ciepło, chociaż niby to zima i noc. Coś się tam widocznie pokiełbało w meteorologicznej buchalterii, jak powiedział pewien angielski lord i profesor, gdy przez roztargnienie przyszedł na bal dworski w spodenkach kąpielowych. A to był naprawdę biedny pucybut i tylko mu się śniło.

Adam Billewski ukazał w śmiechu ładne usta i piękne białe zęby. Jego piwne oczy rozglądały się dookoła jakby po każdym spojrzeniu dokonywał fotograficznego zajęcia swym obiektywem pamięciowym. Hall oświetlony był wciąż trzema dużymi lampami karbidowymi. Było więc dość jasno.

Aspirant wszedł, a za nim trzech młodzi, przystojni ludzie o zuchowatych minach. Najniższy z nich wyjął papierosnicę.

— Wolno zapalić, panie aspirancie?

— Ależ oczywiście, Wielgus. Nie, dziękuję. Ach, otóż i pan inspektor.

Z tymi słowy aspirant Billewski odwrócił się i uściśnął serdecznie dłoń głównego detektywa. Bernard Żbik pojawił się bowiem cicho zza drzwi korytarza. Na widok aspiranta jego mądra zamyślona twarz również rozjaśniła się uśmiechem.

— Dobry wieczór, Adam. Cześć, chłopcy. — Podał każdemu dłoń nie pominąwszy Stefana. — No, i jak długo trwało? Zmarzełeś, nim znalazłeś samochód?

— E, niby z czego miałem zmarznąć, kiedy na wszelki wypadek było zupełnie ciepło.

Z kalendarza? Spodziewałem się, że będzie frajda, jak powiedział ze smutkiem pewien przedsiębiorca pogrzebowy, gdy notatka o epidemii dżumy w Polsce okazała się zwykłą kaczką dziennikarską. A nazajutrz ów pan umarł na dżumę i to był jedyny wypadek w całej Europie. Kurier Warszawski pochował go na koszt redakcji i dał mu pół tuzina nekrologów na pierwszej kolumnie. Więc, panie inspektorze, nic nie było. Zatrzymałem jakąś zakochaną parę w dwuosobowym sportkabriolecie, pokazałem przez omyłkę zerwany guzik od spodni i lu! Bubek był wściekły jak wrząca woda, ale z nim nawet nie gadałem na wszelki wypadek. Za to pannica była zadowolona, tylko się nieco dziwiła, że policja śledcza używa guzików od spodni jako znaczków służbowych. Wówczas, broniąc honoru policji, pokazałem jej prawdziwy znaczek, który obejrzała dwadzieścia trzy razy i w końcu doszła do wniosku, że cudownie by się nadawał jako ozdoba w jej kapelusiku. Widać nie bardzo ją zmartwiło przerwanie tego sam-na-sam. Wiadomo, panna...

— No, dosyć, Stefan — przerwał inspektor potok wymowy służącego. — Pójdziemy

teraz wszyscy do moich dwóch pokojów. Tam naradzimy się z panem aspirantem. Ale! — gdzie jest doktor Dalczewski.

— Tu, zacny Holmesie. — W drzwiach stanęła w tej chwili sympatyczna postać jowialnego lekarza. Trzymał na smyczy wspaniałą wilczycę — psa policyjnego. — Spacerowałem sobie wolno od furtki dotąd. Ciemno na dworze, że choć oko wykol. Widzę, że tu jakaś poważna robota. Inaczej nigdy bym panu nie darował, żeś mnie wyciągnął z łóżka na taką pogodę; pamiętałbym to aż do śmierci i jeszcze trzy dni potem.

Inspektor nie zwracał uwagi na sarkanie doktora. Znał go już pod tym względem dobrze i od dawna.

— Chodźcie, chłopcy. Weź psa za obrozę, Wielgus.

Ujął pod rękę lekarza i aspiranta i szedł przodem. Za nim ruszyli trzej wywiadowcy ze Stefanem i psem.

— Zabili tu kogoś?

— Jeszcze nie, panie Wielgus — odparł zapytany Stefan. — Nie wiem co tu jest, ale mi się na wszelki wypadek nie bardzo wszystko podoba. Elektryczności, cholera, nie ma. Wszyscy jacyś powariowani i ten... psiakrew!...

— Kto — uśmiechnął się Więcek.

Stefan mimo woli obejrzał się i przyśpieszył kroku, aby dogonić idących przed nim oficerów i lekarza.

— Morderca — rzekł tajemniczo. — Jakaś zjawia, jak mówi sam pan inspektor. Powietrze, cholera — nie człowiek.

Dziwnym trafem usposobienie Stefana udzieliło się też trzem, odważnym przecież aż do szaleństwa, wywiadowcom z brygady morderstw. Było coś w atmosferze tych ponurych ścian, co jakby lekko ścisnęło za gardło niewidocznymi palcami, przytłaczało pierś, tłumiło oddech i przerażało.

Tymczasem obaj oficerowie i lekarz stanęli przed drzwiami pokojów przeznaczonych dla detektywa.

Bernard Żbik zatrzymał się nagle, nachylił się i uśmiechnął się bardzo dziwnie. Wyjął latarkę, oświetlił jasno drzwi i wskazał palcami aspirantowi i lekarzowi.

Na drzwiach widniał białą kredą wypisany napis:

Profesor będzie pierwszy. O ile nie opuści Pan natychmiast tego domu, będzie Pan następny.

Poniżej zamiast podpisu było krótkie: *Ja*.

Doktor Dalczewski uważnie oglądał napis na drzwiach.

— Co za kurtuazja! Pan i przez dużą literę. Mogą być na tym jakieś odciski palców. Niech pan to dobrze zbada, inspektorze. Także przez duże „P”.

Spojrzał pytająco na detektywa.

— Nie będzie żadnych odcisków palców, doktorze — zawyrokował inspektor. — Czy zwrócił pan uwagę na rozmieszczenie i pismo?

— Tak. Młody charakter pisma, o ile się znam. *Ja*. Dziwne... hm. I co ma oznaczać tego rodzaju ostrzeżenie. Czy tu przypadkiem ktoś nie stroi sobie z pana głupich żartów. Są tu w willi jacyś smarkacze? I po to pan mnie sprowadził aż z Warszawy w przeddzień odwilży. Jest pan przeczulony, inspektorze.

Lekarz kpił, ale tylko z przyzwyczajenia. Pomimo lekkiego tonu słów, jego twarz pozostała poważna i zamyślona. Znał i on zbyt dobrze Bernarda Żbika i nie pierwszy raz z nim

współpracował, aby nie odnieść się do jego zarządzeń z należytą powagą i rozważą. Nie przeszkadzało mu to jednak na zewnątrz drzwi i docinać – bo to leżało już w jego rubasznej naturze.

— Ktoś sobie stroi żarty, powiedział pan, doktorze. Ale — tu inspektor mimo woli zniżył ton — to są żarty szaleńca, który nie zawaha się przed wprowadzeniem w czyn swych obłąkanych pogroźek. Przed godziną zajaśniała w ciemnościach mego mózgu błyskawica zrozumienia. Zdaje mi się, że już wiem, a przynajmniej już zaczynam się domyślać, kto chce zabić profesora Piotra Bredę. Morderca popełnił – o ile moje wnioskowanie jest słuszne – jeden maleńki błąd, drobne przeoczenie przez zbytek gorliwości. Ale takie przeoczenie niekiedy może wystarczyć do jego zdemaskowania. Podejmę ten „subtelny trop” – jakby powiedział Gollomb. Może zawiędzie mnie on do centrum.

Inspektor zamilkł i otworzył drzwi do pokoju.

— Proszę, rozbierzcie się. A wy — zwrócił się do trzech wywiadowców i Stefana, który głaskał psa tak poufale, jakby mu chciał za chwilę opowiedzieć jeden ze swych szubienicznych dowcipów — zaczekajcie w przyległym pokoju, my zaś tu odbędziemy małą naradę wojenną i ustalimy dokładny plan działania. Papierosy leżą tam w pudełku. Weźcie sobie każdy i zaczekajcie.

Zamknął drzwi i usiadł naprzeciw swych niespodziewanych poniekąd gości. Mądra twarz wyrażała żywe skupienie. Bernard Żbik nie był już teraz gościem, widzem, obserwatorem – jego mózg kryminologa już zahaczył, już działał z żelazną konsekwencją w kierunku zdemaskowania strasznej tajemnicy.

— Ty już coś wiesz, Bernardzie. Od niedawna.

— Tak, Adamie. Zdaje mi się, że zaczynam wiedzieć — powiedział wielki detektyw ostrożnie.

— Więc czemu masz taki przestraszony wyraz oczu?

— Bo się boję. Albowiem chcę, żebym nie miał racji. Gdyż wolałbym być w tej chwili daleko stąd i rąbać baobaby, jak to zalecają Ilf i Pietrow, a nie być zmuszonym do działania w tej sprawie... bo, o ile to co ujrzałem okaże się prawdą – to sprawa obecna będzie jedną z największych tragedii w ponurej historii kryminalistyki.

W jego słowach nie było patosu. Głos brzmiał poważnie.

Wstał bez słowa, podszedł do drzwi i dwukrotnie przekręcił klucz w zamku.

— Tak będzie bezpieczniej. Tam w korytarzu czyha **śmierć**.

Doktor Dalczewski uśmiechnął się cynicznie.

— Czy pan przypadkiem nie przesadza troszeczkę.

— Wie pan dobrze, że nie, doktorze. Marny tu do czynienia z osobą niebezpieczną i szaloną. Dwa razy usiłowano mnie pozbawić życia. Dwa wypadki ja zauważyłem – kto wie, czy tych usiłowań nie było więcej.

Usiadł i założył nogę na nogę. Następne jego słowa wywarły na słuchających silne wrażenie, którego nie usiłowali zresztą ukrywać.

— W tym domu, niedaleko nawet od nas w linii powietrznej, przebywa morderca. Niebezpieczny szaleniec, który postawił sobie za cel zabójstwo. Sprowadziłem was tutaj, ponieważ doszedłem do wniosku, że we dwojkę ze Stefanem nie damy sobie po prostu rady.

— No dobrze, ale po co ja tu jestem już potrzebny. Ja, lekarz.

— Ponieważ morderca dokonał już pierwszego zamachu niejako na moich oczach, żonę profesora Bredy napadł ktoś w mrocznym korytarzu i wbił jej długą szpilkę w kark. Jest zdaje się częściowo i czasowo sparaliżowana.

Bernard Żbik przerwał i dodał znów zagadkowo:

— I to mnie cieszy.

Aspirant aż wstał ze zdziwienia, choć przyzwyczajony był do ekstrawagancji śledczych swego szefa.

— Co cię cieszy?!

— Cieszy mnie, że Wanda Breda padła ofiarą zamachu morderczego, bo nie lubię aresztować kobiet.

— Nic nie rozumiem.

— Ani ja — dodał doktor obojętnie i począł dłużyć kościaną wykałaczką w zębach. Inspektor uśmiechnął się zagadkowo, lecz bardzo poważnie i powtórzył.

— Ja zaś zaczynam rozumieć i dlatego czuję wciąż mróz strachu w kościach.

Zapalił papierosa.

— Teraz słuchajcie uważnie. Jest godzina pół do jedenastej przed północą. Morderca zapowiedział, że zabije w nocy profesora Bredę, i ja mu wierzę — on to uczyni. Musimy jednak zarządzić wszystko, aby do tego nie dopuścić. W domu przebywa w tej chwili dziesięć osób. 1) Profesor Breda, 2) Jego żona, 3) Tadek Breda, starszy syn, kaleka, nieuleczalny, ma uschniętą rękę...

— Kaleka!? — zainteresował się doktor Dalczewski. — To ciekawe. Pan czytał Birnbauma, inspektorze?

— I ja o tym pomyślałem, doktorze. Ale pozwól mi pan dokończyć: 4) Leszek Breda, młodszy syn, 5) Maria, wychowawczyni Leszka, 6) Adwokat Dillon, polak z Chicago, 7) Jego żona, Sylwia, 8) Szofer Fuchs, 9) Stasia i 10) Kazia – bliźniaczki, służące profesora.

Każdą z tych osób musimy podejrzewać. Nie żartuję. Każda z nich musi być tak inwigilowana, jakby to ona tej nocy zamierzała zabić profesora Bredę. Wprawdzie, jak już wspomniałem, przed dwiema niespełna godzinami zrodziło się w mej głowie pewne straszliwe podejrzenie – ale obawiam się, że może to morderca w swym piekielnym sprycie tak pokierował zdarzeniami, aby wzbudzić we mnie tę myśl. Więc...

— Zaraz.

Aspirant, który przysłuchiwał się uważnie i z powagą słowom swego szefa i przyjaciela przerwał tym krótkim słowem.

— Wiem co chcesz zapytać, Adamie. Ale mimo to słucham.

— Wierzę ci. Widzisz — w domu przebywa dziesięć osób, z których jedna chce zabić profesora Bredę. Ponieważ on został wliczony do listy, więc pozostaje dziewięć osób.

Inspektor zmarszczył brwi i zamknął na chwilę oczy.

— Adamie. Pamiętasz sprawę „człowieka z Kimberley”? I tu, jak wtedy – odnoszę silne wrażenie, że oprócz tych dziesięciu osób, które widzę i z którymi rozmawiam, że oprócz tych, wśród których przebywam, uwija się też niby w czapce-niewidce jedenasta osoba – morderca. Czuję jego obecność w każdym powiewie powietrza, w każdym poruszeniu drzwi czy okien, widzę go w każdej parze śmiertelnie przerażonych oczu mieszkańców tego domu. **Boję się go. Naprawdę — drzę przed nim!**

Nawet „rzeczowy cynik” – doktor Dalczewski nie przerwał tym razem. Poważne, acz dziwnie brzmiące, słowa detektywa wywarły nań niezatarte wrażenie.

— Dalibóg, inspektorze. Napędzasz nam strachu w żyły.

— A jednak wcale nie przesadzam, doktorze. Ani na jotę. Może raczej nie dociągam, albowiem nie chcę jeszcze podzielić się z nikim moim straszliwym podejrzeniem. Bo jeżeli ono okaże się prawdziwe – **to ja już teraz wiem kto jest mordercą.**

Bernard Żbik przetarł czoło jedwabną chustką i zgniótł papieros w kamiennej popielniczce.

— No, ale do rzeczy. Wymieniłem więc dziesięć osób, których mamy pilnować tej nocy. Inwigilować i jednocześnie strzec, bo każde z nich może być zamordowane. Morderca może nie chcieć ograniczyć się do jednego profesora Bredy!

Inspektor wstał z krzesła i usiadł na brzegu stolika.

— ...Rozporządzamy ośmioma obrońcami: ja, aspirant, trzech wywiadowcy, Stefan, szofer policyjny i pan, doktorze. Ponieważ profesor w obawie o życie swego młodszego syna wyraził chęć spania z nim w jednym pokoju, a żona profesora jest ranna, więc na każdego z nas wypadnie prawdopodobnie strzec jednej ubikacji. Zresztą rozejrzę się zaraz w terenie.

Detektyw wstał.

— Adamie. Baczność! Potem obejrzysz ten obrazek.

— Słucham.

Aspirant spojrział rozpromienionym wzrokiem na swego szefa-przyjaciela. Widział jego błyszczące, niezwykle inteligentne oczy, dwie lekkie wypukłości na czole. — Uwielbiał go w takich momentach.

— Zawołaj tu naszych chłopów i Stefana z sąsiedniego pokoju. Sprowadź też naszego szofera.

— A propos, inspektorze. Skąd pan wiedział, że przywiózł nas policyjny szofer.

Przecież go pan nie widział i nie było o nim mowy.

Pomimo powagi sytuacji, Bernard Żbik zaśmiał się lekko.

— Pan sam mi to powiedział, doktorze.

— Ja! Nie przypominam sobie.

— A jednak. Spóźnił się pan o trzy minuty. Założę się, że kłął pan przed szoferem grypową pogodę, spytał go pan o stan jego wątroby i narzekał pan: — jak można w taką odwilż wyciągać człowieka z łóżka przed północą i tak dalej.

— I wygrałby pan. Morowy z pana chłop.

Doktor Dalczewski, człowiek niezwykle serdeczny, co się często zdarza wśród patentowanych cyników i wątrobiarzy wstał i mocno potrząsnął dłonią inspektora.

— Jestem na pańskie rozkazy.

Ale Bernard Żbik może nie zauważył nawet w tej chwili uczuć starego znajomego. Pochłonięty był całkowicie strategią swej wielkiej gry: walki z nieznanym mordercą.

Wyjął z teki swój safianowy notes i wieczne pióro oraz czerwony ołówek. Szybko zakreślił na kartce plan sytuacyjny. Gdy po pięciu minutach nadszedł aspirant z szoferem w granatowym mundurze policjanta, zastali inspektora pochylonego nad planem na stole.

Pomimo zamyślenia miał czas, aby serdecznie uścisnął rękę policjanta-szofera.

Bernard Żbik miał, jak wiadomo, doskonałą pamięć twarzy i nazwisk.

— Starszy posterunkowy Klimaszewski. Tak?

— Tak jest, panie inspektorze.

— No i cóż — poklepał go po ramieniu — wasza żona ciągle jeszcze narzeka na to, że nie odpowiadają na jej podanie o bezzwrotne pożyczki? Wciąż jeszcze pracuje w Komendzie?

Posterunkowy się zarumienił.

— Tak jest. Pan inspektor ma cudowną pamięć.

— Nie cudowną, ale bardzo dobrą, Klimaszewski. Posterunkowy służby śledczej, nawet szofer, powinien się ściśle wyrażać.

— Tak jest.

— Stańcie sobie tu, z boku.

— Rozkaz.

— Posłuchajcie, chłopcy. — Inspektor zajrzał do szkicu w swym notesie. — W tym domu

przebywa człowiek, który zamierza dzisiejszej nocy dokonać zbrodni. Mam zamiar do tego nie dopuścić i wy mi w tym dopomożecie.

Wręczył im swój notes.

— Obejrzyjcie sobie dokładnie ten szkic, to plan sytuacyjny willi.

Safianowy notes powędrował szybko z rąk do rąk, a inspektor ciągnął.

— Każdy z was obejmie stanowisko na posterunku, który mu wyznaczę. Uprzedzam, że broń należy mieć w pogotowiu, ale strzelać będziecie tylko w ostateczności. Wy, Rogalski, udacie się do kuchni i otworzycie okno, skąd będziecie mieli widok na garaż i tylną ścianę domu. Jednocześnie czuwać będziecie nad jakimś Kazimierzem Fuchsem, szoferem profesora. Obie służące, Stasię i Kazię, prześlecie do sypialni pani profesorowej. Straż przed drzwiami sypialni obejmie Wielgus.

Wymieniony wystąpił i spojrzął tylko z uwielbieniem na swego szefa.

— Lubicie takie sytuacje, co, Wielgus?

— Pan inspektor wie, że lubię.

— Więc obejmie posterunek w korytarzu. Wiem, że jesteście odważni i powierzam wam odpowiedzialne stanowisko: korytarz jest długi i ciemny, nawet w dzień. Weźmiecie ze sobą latarkę. Usiądziecie na krześle naprzeciwko pokoju zajmowanego przez wychowawczynię i obok przez Tadeka Bredę.

— Dobrze.

— Ty, Adamie, zajmiesz stanowisko najbardziej odpowiedzialne, przed drzwiami sypialni profesora, którego chcą zamordować.

Szef-detektyw przerwał i uśmiechnął się.

— Niestety i panu przeznaczę stanowisko, doktorze. Nie kryj się pan w kącie. Ma pan rewolwer.

— A jakże. Mam karabin maszynowy Berthiera w tylnej kieszeni od spodni. Poza tym mam bombę nitroglicerynową w butonierce i kilka granatów po kieszeniach. Może jeszcze armatę będę dźwigał przy sobie dla pańskiej przyjemności. Zaraz sprawdzę – może się znajdzie.

— Ostentacyjnie przejrzał kieszenie. — Niestety zapomniałem jak na śmierć na nocnym stoliku.

— Więc weźmie pan jeden z moich.

Wręczył mu broń.

— Uda się pan na pierwsze piętro i umieści swą czcigodną postać przed drzwiami państwa Dillonów. Nie wypuści ich pan z mieszkania pod **żadnym** pozorem. W razie oporu może pan zagrozić strzelaniem. Nie znają pana, więc się nie zawstydzisz.

— A ładna kobieta z tej pani Dillon?

— Bardzo ładna, ale jej mąż umie się świetnie boksować. Jak tam pańska wątroba, doktorze?

— Szkoda, że ładna.

— Wątroba?!

— Nie, żona adwokata! Wolałbym spać niż czuwać.

— Wierzę panu, ale nic na to nie poradzę. Zresztą zabraniam panu „woleć spać”. Teraz — wstał — udam się do wszystkich wymienionych osób, które dotychczas są zamknięte, polecę im zjeść, o ile są głodne, i otworzę drzwi. Dotychczas wszystkich mieszkańców domu niejako uwięziłem, zamknąłem ich na klucz za wyjątkiem profesora, który jest uzbrojony. Chciałbym jeszcze przypomnieć, że i Tadek Breda był uzbrojony, ale zabrałem mu rewolwer. Idę, zaraz wrócę. Każę wam tu przynieść kolację. Jak tam pańska ładna wątroba, doktorze...

— Pan inspektor o wszystkich pamięta, ale...

— Nie bój się, Stefan, nie zapomniałem o tobie. Włóżysz na powrót swój kożuch i udasz

się przed dom. Będziesz patrolował z Dianą w lesie dookoła willi. Masz tu jeden gwizdek. Ja mam taki sam. W razie niebezpieczeństwa dasz znak alarmem gwizdka lub wystrzałem.

Po tych słowach inspektor wyszedł z pokoju, aby wydać ostatnie zarządzenia domownikom i służbie. Jego współpracownicy zostali sami. Zarządzenia ich szefa co do wyprowadzenia tej nocy stanu oblężenia w walce przeciw jednemu człowiekowi nie wydały im się wcale przesadzone.

Zbyt dobrze znali Wielkiego Psychologa.

Rozdział X

CIOS

Gdy inspektor wrócił po godzinie, zastał już swoich ludzi gotowych. Zjedli już byli kolację przyniesioną przez Stasię i Kazię i słuchali właśnie dowcipów Stefana – nie śmiali się jednak nagłos.

Aby zrozumieć niesamowitość zdarzeń owej niezapomnianej tragicznej nocy, należy sobie jeszcze raz uświadomić sytuację planową. Profesorowa Wanda, ranna, śpiąca snem gorączkowym, znajdowała się w swojej sypialni. Przy jej łóżku czuwały Stasia i Kazia. Za drzwiami czuwał mały, odważny wywiadowca Wielgus, ufny w geniusz kryminologiczny swego szefa i oczekujący z napięciem, a zarazem z niezmaconym spokojem, biegu wypadków.

Pokoje Tadka i Mari sąsiadowały ze sobą. Drzwi ich wychodziły na korytarz – czuwał przed nimi Więcek. Na pierwszym piętrze przed mieszkaniem zajmowanym przez adwokata i jego żonę — trzymał straż doktor Dalczewski ze swą niedostępną wątrową. Rogalski z dużym rewolwerem Browninga objął posterunek w kuchni przy otwartym oknie, nie spuszczać zarazem oczu z twarzy obecnego tam szofera Fuchsa.

Profesor Breda udał się do swej sypialni z Leszkiem. Chłopiec był dziwnie poważny i wyjątkowo milczący. Jego inteligentne oczy rozglądały się ruchliwie wokoło.

Przedtem inspektor poddał sypialnię dokładnym oględzinom co do piędzi. Okna były okratowane, drzwi, te jedyne, zostały zamknięte na klucz od zewnątrz. Klucz ten miał w kieszeni aspirant Billewski czuwający w przedpokoju w fotelu przed nimi.

Na dworze w lesie spacerował dokoła budynku otulony w kożuch Stefan, za nim krok w krok szedł wielki pies policyjny, wilczyca Diana, węsząc wokoło swymi delikatnymi chrapami. Stefan miał w rękę sygnałową gwizdawkę policyjną gotów w każdej chwili zaalarmować inspektora. W kieszeni spoczywał rewolwer.

Bernard Żbik wyszedł również przed dom. Dał ostatnie instrukcje Stefanowi i obszedł wszystkich swoich ludzi na ich posterunkach. Niezmordowany inspektor był wszędzie tej nocy...

Tak więc, cały dom był literalnie obsadzony przez wytrawnych w tej dziedzinie ludzi, baczących, czujnych na wszystko, odważnych i gotowych...

Czy powstrzyma to jednak morderczą rękę przed zadaniem śmiertelnego ciosu...

* * *

Była to noc wyjątkowo ciemna i pochmurna. Od zachodu dął silny wiatr, napędzając spiętrzone zwały obłoków i głucho poświsując na zielonych, gałęziach sosen i nagich dębów.

Aspirant Adam Billewski pólleżał w fotelu. Jego ręka w kieszeni płaszcza nie odejmowała palca od jęczyczka spustowego rewolweru. Właśnie przed chwilą był tu Żbik, wymienił z nim milczące spojrzenie i zniknął za drzwiami przedpokoju w mroku korytarza.

Czuwał. Kochany inspektor.

Adam Bilewski patrzył uporczywie w wielkie dębowe drzwi, naprzeciw których siedział. Za tymi drzwiami znajduje się profesor Piotr Breda. Człowiek, którego chcą tej nocy zamordować. Kto?... W jaki sposób.

Nadśluchował.

Za drzwiami było cicho. W pokoju, zgodnie z rozkazem inspektora paliła się duża lampa naftowa. Całą noc. Także w przedpokoju, obok aspiranta stała na krześle lampa, nieco przyćmiona.

Aspirant próbował myśleć o czymś innym, neutralnym, rozproszyć się nieco. Ale nie mógł. Wciąż był myślą za tymi wielkimi dębowymi drzwiami przy ogromnym, atletycznie zbudowanym człowieku z siwą czupryną, na którego czyhała śmierć.

Śmierć.

Aspirant poczuł naraz na swym ramieniu nagle, lekkie dotknięcie. Odwrócił się błyskawicznie a lufa nikłowanego rewolweru zamigotała złowrogo w jego ręce.

— Cicho. To ja, Żbik.

Ręka z rewolwerem opadła.

— Przestraszyłeś mnie.

— Nie szkodzi. — Inspektor Żbik nasunął kapelusz na tył głowy, odsłaniając ładne, mądre czoło. — Cicho tam, za drzwiami?

— Zupełnie — odparł aspirant również szeptem.

— To źle — mruknął Żbik do siebie. — Czuwaj.

Wycofał się bez szmeru. Jak tygrys.

Aspirant sięgnął ręką do szklanki stojącej obok niego i wypił łyk wody zimnej jak lód. Zwilżył językiem wyschłe wargi. Jego zegarek wskazywał pierwszą po północy. Kiedy już skończy się ta noc.

Odstawił szklankę.

Było w niej jeszcze kilka kropel wody. Ale obok stała pełna karafka.

* * *

Wywiadowca Więcek rozmyślał...

Po co ludzie zabijają się nawzajem, dlaczego godzą na swe życie i mienie. To największa zbrodnia – nie wolno czynić sobie zabawki z życia ludzkiego, życie – to wszystko. To to, o co człowiek walczy, nie zawsze świadomie — dlatego kocha, nienawidzi, ma ambicję, pożąda. To – wszystko.

Usłyszał szmer za sobą. Nie! – to przed sobą. Gdzie w końcu? Serce zabiło mu mocniej. Wstał, dotknął rewolweru w kieszeni, ale nie wyjął go.

Znów cicho. Więc to było złudzenie.

Nie.

Za tymi drzwiami na prawo, coś się rusza. Ktoś chodzi w pokoju. W skarpetkach lub pantoflach. W pokoju Tadka Bredy. Na pewno. Co czynić? Na ten wypadek, na tę ewentualność nie było żadnych instrukcji pana inspektora.

Nie ruszać się. — A nuż się tam coś stanie.

Ruszyć się, uczynić coś — można kogoś spłoszyć.

Znów cicho. Zupełnie cicho. Już nikt nie chodzi. Nikt.

Więcek oparł się o wnękę ściany, pod którą stał.

Naraz poczuł silne uderzenie w tył głowy i uczył, że traci przytomność. Kurczowo

zaciśnięte palce uchwyciły rewolwer w kieszeni. Ale świadomość już uciekała z przerażającą szybkością. Palce rozgięły się i człowiek osunął się na ziemię bez jęku.

Właściwie powinien teraz stać, czuć, zaalarmować. Jest na służbie, na posterunku – ale nie może. Ma wrażenie jakby przestał istnieć. A przecież to są jego myśli — więc on żyje. Jaki on nieruchomy. Nazywa się Więcek i jest wywiadowcą policji. – Ma dziurę w głowie. Nie – wcale nie ma głowy. I dlatego ten korytarz stanął nagle dęba jak koń wyścigowy.

Zacisnął usta – ale w tej chwili o tym nie wiedział.

Czas biegnie. Biegnie jak wariat. Jak przez sen Więcek uczył dziwne klucie w tyle głowy. Więć on jednak ma głowę. Potem klucie ustało. Wszystko ustało. Korytarz uśmiechnął się doń drwiąco, zwinął się w kłębek jak ślimak i zawirował mu przed oczyma...

Czas biegnie jak wariat. Jak opętany.

Szum. I miliony barw. Gdy Więcek się ocknął, ujrzał, że leży w tym samym miejscu, na którym upadł. Naprzeciwko te same drzwi. Tak, te same. Co to się stało. Zasłabł, zemdlął? Może z wysiłku, ze zdenerwowania.

Nie mówić o niczym inspektorowi. O krokach w pokoju Tadka, o szmerach, o – właśnie! – o uderzeniu w tył głowy, o kluciu. Pamięć wraca do normalnego stanu. To było uderzenie w tył głowy.

Obejrzał się.

Za nim stał Bernard Żbik i wpatrywał się weń uważnie.

— Co się stało, Więcek. Nawet nie usłyszeliście, jak nadszedłem. To nie jest czuwanie.

Już nie myślał. Nie słyszał – bo dopiero w tej chwili zaczął słyszeć. Opowiedział wszystko. Widział, jak po skończeniu jego opowiadania inspektor zagryzł wargi, i słyszał, jak szeptał do siebie:

— Wszystko już rozumiem, ale to psuje mi szyki logiczne. Nie rozumiem tego uderzenia. I stale w tył głowy. Kazia, Stefan, Więcek. Dlaczego? Jak? Nie pytaj mnie teraz o nic, Więcek. Daj mi się namyślić.

Bernard Żbik położył palec na ustach.

— Stój tu.

Sam zaś usiadł na krześle i ukrył głowę w dłoniach. Myślał. Myślał bardzo intensywnie i bardzo prędko.

Willa „Gong” spała.

Czy spał też morderca?... Czy też skradał się gdzieś w pobliżu ze śmiercionośnym narzędziem w zbrodniczej dłoni i z piekielnymi myślami w swym mózgu szatana? Może jest tu, o kilka metrów stąd, ukryty, obserwujący z uśmiechem szaleńca wysiłki ośmiu detektywów chcących go zdemaskować i nie dopuścić do realizacji jego zbrodniczego zamiaru.

Ostatnia myśl aż poderwała inspektora z miejsca. Skinieniem dłoni pożegnał stojącego obok, wpatzonego weń wywiadowcę, jeszcze raz spojrzął na przyćmioną lampę naftową oświetlającą mroczny odcinek korytarza i – odszedł.

Minął wysoki pusty hall, w którym kroki jego po marmurowej posadce rozlegały się głuchym dudnieniem echa wśród nocnej ciszy. Wyszedł do ogrodu.

Czysta warstwa śniegu rozpościerała się niby pofałdowany ogromny obrus, w który olbrzymie jakieś dziecko powtykało chaotycznie grube pnie drzew. Ostry wiatr zachodni muskał surowe oblicze detektywa, chłodząc naskórek rozpalony zdenerwowaniem i napięciem.

Zza węgła wyłoniła się wysoka postać Stefana otulonego w kożuch z nieodstępującym jego obcasów doskonale wytresowanym psem.

— Kto to? Stój!

Stefan zauważył zbliżającą się ku niemu postać.

— To ja. Powinieneś był poznać.

— A to niby po czym, na wszelki wypadek.

— Ponieważ pies zachował się spokojnie; poznał mnie od razu. Nigdy nie nauczysz się jakiej takiej dedukcji.

— Na to potrzebny jest na wszelki wypadek taki łąbski mózg jak głowa pana inspektora.

— Niekoniecznie. Zauważyłeś coś?

— Sam nie wiem.

Stefan zbliżył się do swego pana i ujął go za rękę, ciągnąc za sobą w kierunku wielkiej sosny. Tu poświecił latarką i oświetlił ziemię. Inspektor zgasił swoją lampkę.

Kółko światła opromieniło dokładnie widoczny ślad... bosej stopy.

— Nie wiem na pewno, może się mylę, ale gdy przechodziłem tędy przed ostatnim okrążeniem nie widziałem tych śladów. Ciekawym jaki wariat z tych dziesięciu wyszedł nocą na bosaka z domu. I w jaki – cholera! – sposób, kiedy wszyscy są pilnowani przez naszych chłopców. Przecież słyszałem wyraźnie, jak pan inspektor wydawał instrukcje.

Były to ślady stóp dorosłego mężczyzny.

Żbikowi przyszły na myśl słowa Więcka o krokach jakby nieobutych nóg w pokoju Tadka Bredy. A potem Więcek był przez jakiś czas nieprzytomny z powodu uderzenia w tył głowy. Inspektor ledwie powstrzymał się od zaklęcia na głos, choć nie miał nigdy zwyczaju kląć. W tym niesamowitym domu można naprawdę oszaleć. Coś straszego rozgrywa się w atmosferze, a oni... nic nie mogą przeciwdziałać.

Czy nic?

Ślady bosych stóp. Męskich stóp. Odgłosy nieobutych stóp w pokoju Tadka. Zemdlenie Więcka, przed drzwiami pokoju Tadka. Teza Birnbauma o predyspozycji nieuleczalnych kalek ku zbrodni. Dziwne zachowanie się Tadka. Tadek jest nieuleczalnym kaleką.

Tadek?!

Bernard Żbik odwrócił się gwałtownie.

Zostań tu, Stefan. Jeżeli ja nie wrócę za chwilę, to zaczekaj jednak. W każdym razie nie zdeptaj tych śladów. Zobaczymy je przy świetle i może wezmę z nich odlewy gipsowe.

Pobiegł szybko w kierunku willi. Wpadł do hallu, przebiegł korytarz i zatrzymał się przed drzwiami pokoju Tadka. Nie patrząc nawet na zdziwionego nic nie rozumiejącego Więcka, zapukał dwukrotnie do drzwi.

Pukanie rozległo się dziwnym echem w pustym korytarzu. A może echo nie było dziwne — tylko tak wydało się podnieconemu sytuacji Więckowi.

Ale z wewnątrz nikt nie odpowiedział, żadnego odgłosu.

Żbik już nie panował nad sobą. Gigantycznym wysiłkiem woli zebrał się w sobie i zmógł zdenerwowanie.

Zapukał jeszcze raz.

Cicho. Zupełnie cicho. Tylko z boku słyhać nieco świszczący z podniecenia oddech Więcka.

Detektyw nacisnął klamkę i pchnął.

Drzwi były otwarte. A przecież Tadek zamknął je od wewnątrz w jego obecności.

Wszedł z rewolwerem w jednej ręce, a z latarką w drugiej, światło było zgaszone, oświetlił łóżko i omal nie krzyknął głośno.

Łóżko Tadka Bredy było... puste. Tadek Breda zniknął, a u stóp łóżka stały jego buty!

Dziś w nocy zamorduję profesora Bredę. I Tadek Breda zniknął.

Bernard Żbik dał znak Więckowi.

— Za mną, prędko!

Przebiegli nieomal pędem odcinek korytarza i długi przedpokój. Przed drzwiami profesora siedział na krześle aspirant Billewski.

Spojrzał zdumiony na inspektora i wstał szybko.

— Co się stało?

Szef-detektyw nie odpowiedział wprost.

— Nikt nie usiłował wejść do tego pokoju? Nie słyszałeś nic? — Wskazał na wysokie drzwi, za którymi spali Leszek i profesor Breda.

— Nikt. Przecież ja mam klucz w kieszeni. Ale mogę odpowiedzieć twierdząco na two drugie pytanie. Słyszałem dwukrotnie jakby szmer skradających się kroków. Ale ponieważ było to w odległości, a ty zakazałeś mi surowo nie opuszczać tego fotelu — więc nic nie mogłem uczynić.

— Co to były za kroki. Bose czy obute?

— Dokładnie wolałbym nie określać, choć mam wrażenie, że raczej nieobute ale i nie bosc. Coś pośredniego.

Dopiero teraz Bernard Żbik uświadomił sobie, że Więcek stoi obok niego.

Przypomniał sobie jednocześnie pocałunki Tadka i Marii.

— Boże! Co za głupiec ze mnie. Więcek, wracajcie natychmiast na swój posterunek. Zaraz do was tam przyjdę.

Wywiadowca zniknął posłusznie, jak duch.

— Adamie, mam złe przecucia i nie chcę czekać. Obudzę profesora. Rozkręc jasno płomień lampy jak najjaśniej.

Aspirant podszedł do krzesła stojącego w pobliżu fotela i spełnił rozkaz naczelnika.

Bernard Żbik wyjął z kieszeni płaszcz duży klucz, wetknął go do drzwi i przekręcił dwukrotnie. Jego serce biło jak młotem.

W pokoju-sypialni paliła się lampa. Detektyw rzucił jedno spojrzenie na łóżko profesora i to mu wystarczyło. Zbladł, jak chusta.

— Patrz, Adamie. Patrz.

I aspiranta omal nie podcięło. Z przerażenia.

Na wielkim łóżku leżała nieruchoma postać profesora Bredy. Kołdra była odsunięta w bok, na wpół leżała na ziemi.

Z szyi profesora ściekała krew grubą na palec strugą. Twarz jego była blada jak chusta.

Naprzeciw łóżka profesora stało połowe łóżko, w którym spał Leszek Breda. Chłopiec wydał się inspektorowi dziwnie nieruchomy, również jakby martwy.

Podczas gdy aspirant skoczył ku ciału profesora, Bernard Żbik skierował się ku połowemu łóżku Leszka. Natychmiast poczuł znany mu mdło-słodkawy zapach eteru.

Odwrócił się do aspiranta, który podniósł się właśnie znad ciała profesora. Na twarzy inspektora nie było z pewnością ani kropli krwi, gdy zapytał:

— Żyje?

Aspirant z trudem wydobył słowa ze zdławionej wrzuceniem krtani.

— Rana pulsuje jeszcze, ale wątpię, czy będzie żył. Widzisz ten upływ krwi.

Bernard Żbik skinął poważnie głową, jeszcze raz rzucił okiem na uśpioną eterem postać jasnowłosego chłopca i przetarł oczy ręką.

— Idź po doktora Dalczewskiego, Adamie. Ale szybko.

Potem dodał cicho, ale tak, że Adam Billewski mógł jednak usłyszeć.

— Na razie będzie przerwa. **Ale to najstraszniejsze dopiero nastąpi.**

Dopiero o wiele później aspirant Billewski zrozumiał te zagadkowe słowa inspektora i

wtedy w dwójnasób podziwiał jego genialną domyślność i spostrzegawczość. Teraz nie było jednak czasu na refleksje. W tym wielkim pokoju leżały dwa nieruchome ciała – profesora Bredy i jego syna Leszka.

Morderca dotrzymywał słowa.

Rozdział XI

CZŁOWIEK, KTÓRY SIĘ ZJAWIŁ

Aspirant, zgodnie z rozkazem Żbika, udał się aby zwolnić doktora Dalczewskiego z jego posterunku na piętrze i przekonać starego sceptyka, że obawy inspektora nie były niestety urojone. Podchodząc do krętych schodów, rozglądał się mimo woli wokoło siebie. W mdłym świetle lampy naftowej długi korytarz wyglądał jeszcze bardziej ponuro. Lamy zapalono tej nocy wszystkie na wyraźny rozkaz inspektora.

Kroki aspiranta dudniły głucho po wyłożonej czerwonym linoleum podłodze.

Serce młodego człowieka biło silniej. I jemu począł się udzielać strach, jaki ogarniał inspektora. Dokonano morderstwa wprost na jego oczach. Przecież on czuwał z rewolwerem w kieszeni przed zamkniętymi na klucz wysokimi drzwiami dębowymi. Przecież to on obdarzony zaufaniem inspektora objął najpoważniejszy posterunek, najważniejszą pozycję podczas tej nocy oblężenia – straż przed drzwiami tego, któremu groziła śmierć – przed drzwiami profesora Bredy.

Adam Billewski wiedział na pewno, przysięgłby na wszystko co dlań najświętsze, że nikt nie otworzył tych drzwi tej nocy. Nikt absolutnie. Pokój-sypialnia znajdował się na parterze, a okna jego były silnie okratowane. Doskonały detektyw, Bernard Żbik, przeszukał dokładnie pokój przed wejściem doń profesora i jego syna Leszka. A jednak nieznaną, tajemniczą dłoń mordercy dosięgła swej ofiary. Jak?

Czoło aspiranta zwilżył zimny pot przerażenia. Nie rozumiał. Nie mógł zrozumieć. Nie wierzył też jednak w cuda. I dlatego dopiero w tej chwili pojął, dlaczego Bernard Żbik, słynny Wielki Psycholog, przyznał się, że się boi. Domyśla się, a nie zdołał przeciwdziałać. Dlaczego? Może się źle domyśla.

— Jako lekarz mogę tylko stwierdzić, że jest pan w tej chwili mocno zdenerwowany, panie aspirancie. To źle działa na wątrobę. Czy stało się coś?

Aspirant, oszołomiony, dopiero teraz zauważył doktora Dalczewskiego stojącego u wylotu przedpokoju obok korkociągu stalowych schodów. Jeszcze niezupełnie otrzeźwiony z zamętu ucuć mimo woli nacisnął guziczek trzymanej w ręce latarki.

— Przecież mnie pan oślepi! Fotometrem zostałem na starość? Czy pan oszalał?

— Nie jeszcze, doktorze. Ale się obawiam, że my tu wszyscy wkrótce zwariujemy, jeżeli dalej pójdzie w takim tempie.

— No, w takim razie dobrze. Pomimo chorej wątroby nie mam jeszcze zamiaru szaleć. Co do was, też przydam się wam jako lekarz. Chociaż przyznam się panu, że nie wyobrażam sobie inspektora Żbika ani pana jako wariata. Łatwiej mogę sobie wyobrazić przeoryszę na dancingu lub bogatego literata. Ale bądźmy poważni. — Głos lekarza zmienił istotnie zabarwienie. — Co się stało?

Aspirant ujął doktora za rękę i pociągnął go ku schodom.

— Chodź pan prędzej. W drodze opowiem panu pokrótce. Inspektor czeka na nas.

Inspektor jednak nie czekał. Nie należał do ludzi, którzy umieją czekać choćby dwie minuty. Gdy tylko aspirant wyszedł, detektyw wyjął swą silną długą latarką myśliwską i

starannie obejrzał jeszcze raz cały pokój. Ułożył przedtem ciało profesora na podwyższeniu z poduszek i prymitywnie owinął mu szyję ręcznikiem.

Nieobecność aspiranta Billewskiego aż do jego przybycia w towarzystwa lekarza trwała dwie minuty – dwie minuty dla wyćwiczonego mózgu to duży czas.

Mózg genialnego detektywa pracował teraz nieprawdopodobnie szybko i intensywnie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że od tej chwili musi już działać błyskawicznie. Morderca zagrał *va banque*, przestał się ukrywać – skończył się okres wyczekiwania i psychozy trwogi. Kurtyna zapadła po akcie pierwszym zbrodni. Inspektor spodziewał się aktu drugiego, ale ani przeczuwał jak szybko on nastąpi. Jak piorunująco szybka będzie zmiana dekoracji i jak krótki będzie antrakt. – Bernard Żbik spodziewał się dłuższej przerwy i omal nie przypłacił tego własnym życiem.

Nachylił się właśnie nad dywanem leżącym pod stolikiem nocnym i podniósł mały, podłużny błyszczący przedmiot, nożyczki do manicure'u. Obejrzał starannie brzegi jednosiecznych ostrzy stalowych, wyjął z kieszonki silne szkło powiększające i zbliżył się do światła. W jego oczach pojawił się urywany błysk półzadowolenia, półtrwogi, gdy z flegmatyczną powolnością włożył nożyczki do jednej z kieszonek swej teki.

W tej chwili zapukano do drzwi pokoju i wszedł doktor Dalczewski poprzedzony przez aspiranta. Spojrzał na twarz głównego detektywa, zmarszczył brew i bez słowa skierował się ku bladej postaci profesora, który jeszcze oddychał, charcząc już.

Lekarz przystawił sobie krzesło do łóżka profesora i wprawnymi palcami medyka policyjnego zbadał ranę. Przesunął palcem po nienaturalnie bladym z upływu krwi czole profesora, obejrzał potem dokładnie ów palec, uchylił powieki leżącego i zbadał reakcję na światło.

Dziwnie wyglądała ta scena. Bernard Żbik tak był zajęty oględzinami miejsca przestępstwa, że nawet nie zwrócił uwagi na lekarza. Jego wzrok odrywał się co chwila od postaci stojącego obok aspiranta i padał na twarz śpiącego Leszka, zachloroformowanego przez nieznanego zbrodniarza.

Doktor Dalczewski skończył tymczasem oględziny. Zwrócił się twarzą do inspektora i dopiero teraz zdaje się zauważył śpiącego Leszka. Niemal przyskoczył do niego, poczuł natychmiast zapach eteru i stanął jak osłupiały.

— Nic nie rozumiem, inspektorze — szepnął.

— Tym lepiej — odparł Żbik zagadkowo i nie pozwalając lekarzowi otrząsnąć się ze zdumienia, ujął go za ramię i wyprowadził do przedpokoju.

— Będzie żył?

Doktor Dalczewski nie od razu odpowiedział. Zastanawiał się, rozważając retrospektywnie rezultat dokonanego badania. Mruknął kilka słów po łacinie czy też po angielsku i podniósł pochyloną głowę.

— Nic mu nie jest. Uderzenie jakiegoś ostrego narzędzia w szyję, ale tak niezręczne, że spowodowało tylko niezwykle silny wpływ krwi. Ale ten olbrzym to wytrzyma. Dziwnie niezręczny jest pan morderca. Chociaż brakowało tylko milimetra, a stal czy żelazo połaskotałoby kręgi i stos pacierzowy. Ponieważ zaś rana jest zadana poziomo – to byłby z gościa trup. Ale jak to się stało? Aspirant opowiadał mi...

Inspektor przerwał mu krótkim ruchem ręki. Dopiero jego obecna odpowiedź wyjaśniła dlaczego zachowywał się tak dziwnie.

— Proszę tu poczekać, doktorze. Oględziny pokoju zajmą mi najwyżej piętnaście minut. Potem odbędzie się przesłuchanie, właściwie tylko formalne, ponieważ wszyscy mieszkańcy tego domu mają doskonale alibi, zresztą mimo woli.

— Jakie?

— Nie domyśla się pan, doktorze?

— Nie.

— Wstyd.

Lekarz uśmiechnął się.

— Już wiem. Alibi polega na tym, że pan obstawiał ich swoimi ludźmi, wśród których i ja miałem wyjątkowy zaszczyt pełnić funkcję „cienia bez światła”.

— Jednak nie to, doktorze. Najlepszym alibi jest aspirant Billewski, który cały czas czuwał przed drzwiami pokoju, w którym dokonano zamachu. Drugim alibi są okratowane okna pokoju, do którego w takim stanie rzeczy było niemożliwością dostać się od zewnątrz. W ten sposób nawet najsurowszy komplet sądzący i to nawet w spisku z prokuratorem (zakładam taki absurd) musiałyby uwolnić każdego podejznanego od zewnątrz...

Lekarz poczuł dziwny dreszcz po tym wywodzie. Do czego zmierzał inspektor? Przecież Bernard Żbik nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Detektyw urwał i nie dokończył zdania. Doktor Dalczewski zauważył to niewątpliwie, ale, znając inspektora Bernarda Żbika, wiedział doskonale, że nie wydobydzie z niego nic ponad to, co ten chce powiedzieć. W każdym razie zachowanie detektywa stało się nieco dziwne, ale wkrótce doktor z przerażeniem zrozumiał jego podstawy.

Inspektor zacisnął zęby, stał przez chwilę w milczeniu i zmarszczył lekko czoło.

— Czy stan profesora jest ciężki?

— W jakim znaczeniu? Przecież mówiłem...

— Nie o to mi chodzi. Czy Piotr Breda mógłby o własnych siłach wstać z łóżka, powiedzmy... za dwadzieścia cztery godziny.

— Nie, inspektorze. O tym nie ma mowy po takim upływie krwi. Przecież pan widział... Może nawet będzie potrzebna transfuzja. To będzie można stwierdzić, mając przed oczyma krzywą temperatury z jednej doby.

Bernard Żbik skinął niedbale głową, jakby w nagłym napadzie roztargnienia.

— No, dobrze. Dziękuję panu, doktorze. Teraz może pan udać się do mego pokoju i przespać się na tapczanie. Obawiam się, że będzie pan potrzebny jeszcze tej nocy. — Spojrzał na zegarek. — Dopiero pół do trzeciej. Dnieje aż o pół do siódmej. Ale sądzę, mimo to, że tej nocy nic już jednak się nie stanie — zakończył zagadkowo i ujął lekarza za rękaw.

— Opatrzył pan ranę profesora?

— Prowizorycznie. A jego syn?

— Zachloroformowany, śpi. Chodźmy. Muszę chwilę pomówić z Więckiem, więc pójdziemy kilka kroków razem.

Lekarz wzruszył ramionami. Długoletnie doświadczenie nauczyło go tego, o czym wiedziało też całe otoczenie i współpracownicy wielkiego detektywa – że Bernardowi Żbikowi i jego kaprysom nie należy się nigdy dziwić. Zawsze, na końcu on miał rację...

Na skrzyżowaniu inspektor ucisnął dłoń doktora i popchnął go żartobliwie w prawo. Sam skierował się w przeciwną stronę i zbliżył się do Więcka.

Wywiadowca tym razem ujrzał go natychmiast i zsalutował stając na baczność.

— No i co, Więcek. Cicho było przez cały czas?

— Zupełnie cicho.

Detektyw uśmiechnął się, czego wywiadowca na razie nie mógł zrozumieć.

— Wiedziałem, że tak będzie. Pamiętasz, jak rewidowaliśmy pokój tego młodego?

— Pamiętam.

— No i pamiętasz także to, że nie było tam nikogo?

— Tak jest.

— Po twoim powrocie nikt nie wszedł?

— Nie.

— Więc teraz nie ma tam nikogo?

— Chyba.

— No, to zapukaj.

— Jeżeli tam nie ma nikogo, to po co pukać?

Inspektor zmarszczył brwi.

— Od kiedy to wolno medytować nad rozkazem? — Uśmiechnął się dobrotliwie, łagodząc surowy ton. — Zapukaj.

— Przepraszam. Ja...

Więcek usłuchał, choć nic nie rozumiał. Zbliżył się do drzwi i zapukał nieśmiało. Bernard Żbik omal nie wybuchnął śmiechem, widząc jego przerażoną minę. Albowiem z wnętrza **pustego** pokoju rozległy się szmery i ktoś odsunął zatrzask.

W drzwiach stał Tadek Breda – człowiek, który zniknął.

Oglądał zdumionymi oczyma obu detektywów i skurczył się, lekko cofając się w tył przed przenikliwym, zimnym jak lód, przeszywającym ostrym spojrzeniem Bernarda Żbika.

— Opuszczał pan ten pokój tej nocy — zaczął inspektor bez wstępów i okrzyków.

Kaleka spojrzał nań wyzywająco.

— Nie.

— Młody człowieku, jeżeli będzie pan kłamał, aresztuję pana natychmiast. Nie jestem w tej chwili usposobiony do żartów,

— A jeżeli nie będę kłamał, to kiedy mnie pan aresztuje?

Po tym pytaniu twarz kaleki przybrała zabarwienie czerwone. Jego oczy ciskały iskry, a wargi i kolana drgały konwulsyjnie, choć cała krew z nich uciekała. Wyglądał w tej chwili tak, jakby za ćwierć minuty zamierzał rzucić się z zaciśniętymi pięściami na detektywa.

— A jeżeli – nie będę kłamał, to kiedy mnie pan – aresztuje? — powtórzył, już krzycząc.

— Tylko bez melodramatu, mój chłopcze. Prawdopodobnie za godzinę aresztuję pana, młody człowieku, — odparł detektyw chłodno.

— Jak pan śmie wdzierać się jak intruz do tego mieszkania, do tego domu i wtrącać się do nie swoich tajemnic.

Inspektor ściągnął wargi i gwizdnął krótko. Potem przystąpił o dwa kroki do kaleki. Tadek Breda cofnął się nagle jak przebity. Był teraz przerażony, blady jak manifest komunistyczny, bezwyrazisty.

— *Bezkarność uzuchwala przestępcę* — zacytował Żbik Edgara Wallace'a. — Ktoś zastrzelił pańskiego ojca i zachloroformował śpiącego z nim w jednym pokoju pańskiego brata Leszka. — Tu inspektor zrobił małą przerwę. — Czy pan opuszczał ten pokój dzisiejszej nocy?

— Nie!

— Aresztuję pana w imieniu prawa. Proszę wejść do pokoju i czekać. Więcek!

— Słucham pana inspektora.

— Zostaniesz tu na straży. Ten młodzieniec jest aresztowany. Wspomnisz o tym w swoim raporcie...

— Nie, nie!

To Tadek Breda rzucił się naraz do kolan detektywa. W jego powiększonych oczach zaszklily się łzy. Prawa ręka, uschnięta, uderzyła lekko o ziemię, lewa objęła nogawkę inspektora.

Bernard Żbik ujął go za ramię, podniósł stanowczo i usunął się nieco.

— Proszę wrócić do swego pokoju.

Kaleka stał przez chwilę, aż inspektor się oddalił, potem, już zupełnie apatyczny, pozwolił się Więckowi wprowadzić do pokoju.

Tam padł na łóżko, nie zdejmując szlafroka, ukrył twarz w dłoniach i tak półszlochał, pólleżał nieruchomo jakby sparaliżowany. Łzy wyschły, a z tępo i nieruchomo patrzących oczu nie wydobyła się już żadna, jakby wyschło źródło w kanale łzowym.

Więcek oglądał go przez chwilę bez zaciekawienia i wreszcie wyszedł, stanął na korytarzu, zaklął półgłosem i zapalił papierosa.

Wokoło było pusto i cicho. Ale ten stan nie miał trwać długo.

Rozdział XII

ŚLADY BOSYCH STÓP

W sypialni czekał wciąż aspirant Billewski. I on zdziwiony był niepomiernie bardzo dziwnym postępowaniem inspektora. Ujrawszy go wracającego samego, wskazał na postać na łóżku.

— Znów krwawi.

Istotnie, biały opatrunek na szyi profesora nasiąkł krwią i poczerwieniał. Szefer-detektyw skinął głową.

— Zawołaj doktora Dalczewskiego. Nie ma innej rady. Na razie.

— Już idę. Chciałbym tylko o jedno zapytać.

— O co?

— Czemu profesor wciąż jest nieprzytomny? Zapomniałem o to spytać doktora.

— Po prostu śpi. Sądzę, że został zachloroformowany przed zranieniem.

— Dobrze. Więc czemu nieznanemu zbrodniarz nie zabił go po prostu. Przecież...

Aspirant przerwał. Spojrzał w twarz inspektora i zmieszał się, ujrawszy na niej intensywne zastanowienie.

— Masz rację. Można oszaleć. Doprawdy. Przecież mogę przysiąc, że przez cały czas nikt nie wszedł do tego pokoju, a jednak przed chwilą zadałem pytanie tak, jakby ktoś trzeci był też wewnątrz. A to jest przecież fizycznie niemożliwe.

Bernard Żbik poruszył niecierpliwie ręką.

— Biegnij po doktora. Wścieknie się, że go znów wyciągam z łóżka.

— Gdzie on jest w tej chwili?

— U mnie w pokoju.

Gdy aspirant wyszedł, inspektor podszedł do leżącego na łóżku Leszka. Jeszcze przedtem zauważył, że pozycja chłopca była zmieniona. Leżał na lewym boku.

Detektyw pochylił się nad nim i dotknął ręką jego czoła. Chłopiec drgnął zupełnie wyraźnie, szarpnął kołdrą, zamrugnął powiekami i szeroko otworzył oczy.

— Mamo...

Wyrzekł tylko to jedno słowo. Rozpoznał dopiero teraz inspektora i błysk jakby przerażenia ukazał się w jego dużych niebieskich oczach. Kilkakrotnie zwilżył językiem suche wargi i ścisnąwszy rękę w pięść przecierał skronie.

— Co się stało?

Przez dłuższą chwilę detektyw obserwował w milczeniu leżącego chłopca, który naraz nakrył się kołdrą po szyję, jakby mu było zimno. Bernard Żbik milczał. Miał wrażenie, że Leszek za chwilę wybuchnie głośnym płaczem – ale mylił się tym razem. Leszek również nie odezwał się ani słowem.

Widział wchodzącego doktora Dalczewskiego, widział jak odwijają z twarzy jego ojca nasiąknięte krwią bandażę, ale nic nie mówił.

Bernard Żbik podszedł do dużego łóżka i jego oczy spotkały się ze wzrokiem Piotra

Bredy, który w czasie opatrywania go odzyskał przytomność.

— Co się stało? — Dziwnym trafem zadał to samo pytanie co jego syn.

— Nic się nie stało, profesorze. Skaleczył się pan we śnie.

— Nieprawda. Ktoś mnie ugodził nożem. Wiem o tym dobrze. Straciłem przytomność dopiero w ostatniej chwili.

— Dopiero w ostatniej chwili — szepnął do siebie dość głośno Żbik i usiadł na krawędzi łóżka. Ujął w swą dłoń rękę profesora. Spojrzał pytająco na doktora Dalczewskiego i ten, zrozumiałwszy go, skinął głową potakująco.

— Czy czuje się pan na siłach, aby mi wszystko opowiedzieć?

— Tak, — rzekł profesor cicho.

— Więc słuchamy. Gdyby się pan poczuł zmęczony, proszę przerwać natychmiast.

— O, to tak niewiele, że na pewno się nie zmęcę. — Uniósł się nieco na poduszkach. —

Była godzina piętnaście po pierwszej. Nie mogłem zasnąć – czułem, przeczuałem, że ta noc nie minie spokojnie. – Wtem...

Na jego bladym czole pojawiły się trzy duże krople zimnego potu.

— ...wtem, usłyszałem kroki za wezgłowiem łóżka. Chciałem się podnieść, opadła na mnie zimna i wilgotna płachta przerażenia, chciałem krzyknąć, ale coś chłodnego, śliskiego utkwilo nagle w mej krtani...

Widocznie jednak osłabienie profesora było duże, a sugestia wspomnień zbyt silna. – Urwał i opadł bezwładnie na poduszki. Zemdlał.

Doktor Dalczewski nachylił się nad nim i zbadał tętno pulsu.

— Zemdlał — stwierdził obojętnie. — To nawet lepiej poniekąd. Trzeba go stąd wynieść czym prędzej, to otoczenie deprymuje go psychicznie, sugeruje mu reminiscencje mnemoniczne niesamowitej nocy. Lepiej będzie, jeżeli się ocknie z omdlenia w innym miejscu – nie w tym łóżku i nie w tym pokoju – korzystniej byłoby też, gdyby odzyskał przytomność ujrzał przy sobie inne twarze, aniżeli w chwili omdlenia. Najlepiej – twarz kogoś bliskiego, na przykład żony.

Bernard Żbik skinął głową ze zrozumieniem. Po chwili zjawili się szofer Fuchs i Rogalski. Z pomocą i pod nadzorem lekarza policyjnego, wynieśli rannego z sypialni. Twarze wywiadowcy i szofera były oczywiście więcej niż zdziwione.

W pokoju zostali obaj detektywi-przyjaciele oraz leżący wciąż na łóżku polowym Leszek Breda, obserwujący w milczeniu to, co się działo dookoła niego.

Zwróciło już przedtem uwagę Adama Billewskiego, że chłopiec był dziwnie spokojny i niewzruszony, jakby otępiał. Bernard Żbik nie spuszczał zeń obiektywu swego oka, ale czynił to niepostrzeżenie.

Aspirant zauważył coś błyszczącego na dywanie. Schylił się i podniósł kawałek szkła mikroskopijnej wielkości. Wręczył je bez słowa Żbikowi.

— Domyślasz się, skąd się tu wzięło szkło, Adamie?

— Z butelki po eterze, którym uspioono obu.

— Tak. Gdzie w takim razie jest reszta butelki?

— Nie wiem nic, Bernardzie. My roztrząsamy tę sprawę, jakby tu był tej nocy ktoś trzeci.

A to jest przecież fizycznie niemożliwe. Przecież nie spuszczałem drzwi z oczu. Okna są nienaruszone. Nie ma żadnych tajemniczych przejść.

— Skąd ty o tym wiesz?

Aspirant zarumienił się nagle.

— Nie śmiej się ze mnie – ale ja opukałem dokładnie ściany i meble, podczas gdy ty wyszedłeś z doktorem.

— Więc...

— Więc — aspirant zgrzytnął zębami, ale jego złość rychło stopniała w bezsilę. — Nic nie rozumiem — powtarzał. — Nic nie rozumiem. Już się nie dziwię twemu zdenerwowaniu. Tu można zwariować.

Inspektor Żbik poważnie skinął głową.

— I ja wielu rzeczy nie pojmuję. Nie rozumiem, kto dziś w nocy uderzył Więcka w tył głowy, gdy ów stał na korytarzu plecami do ściany, jednocześnie zostawił ślady w lesie na śniegu, zachloroformował dwie osoby przez hermetycznie zamknięte i obstawione drzwi i okna i jedną z tych osób pchnął nożem. Tak, tu można zwariować, albo trzeba zacząć wierzyć w duchy.

Zamilkł naraz i wpatrzył się w aspiranta.

— Chyba...

— Co! — aspirant przestraszył się dziwnego wyrazu twarzy swego szefa.

— Chyba, że w tym pokoju dziś w nocy nie było trzeciej osoby. Rozumiesz! **Nie było, bo nie mogło być.**

Adam Bilewski miał wrażenie, że mu włosy stają dęba na głowie. Co miały oznaczać dziwne słowa Bernarda: Nie było tu trzeciej osoby? Więc jak? Jak?! — na Boga!

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał cicho.

— Zaczekaj!

Po tym jednym słowie inspektor podszedł szybko do łóżka Leszka i nie zważając na naiwne, zdumione spojrzenie chłopca sięgnął ręką pod poduszkę. Gdy ją wyjął — trzymał w niej białą paczkę i jakiś błyszczący przedmiot.

W błyszczącym przedmiocie aspirant poznał ostry nóż kuchenny. Zaś z białej paczki owiniętej w chustkę do nosa wypadły po odwinięciu odłamki szkła, buchnął silny, charakterystyczny zapach eteru!

— Rozumiesz?

Bernard Żbik wyrzekł tylko to jedno słowo, potem w pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Leszek Breda podniósł się, usiadł na poduszkach wezgłowia, kilkakrotnie przetarł oczy pięściami, wreszcie przyłożył dłoń do czoła, jakby go nagle raziło światło. Wtem całe jego ciało zdrząło naraz niby wstrząśnięte wybuchem wewnętrznym, źrenice wpatrzyły się w nóż i odłamki szkła, trzymane przez detektywa i dziwna jakaś zmiana zaszła w tych oczach. Rozszerzyły się gwałtownie, a potem równie nagle zwężyły, gałki zaszły krwią, twarz chłopca zbladła nienaturalnie, a dotychczas suchy naskórek pokrył się momentalnie warstwą zimnego potu. Wyciągnął ręce przed siebie, palce były szeroko rozczepione i pląsały dziwnie. W kącikach suchych warg pojawił się szybki tik. Przez chwilę kąciki te drgały konwulsyjnie, gdy nagle wydobył się z nich potworny krzyk przerażenia.

Nim inspektor zdołał się zorientować, chłopiec jak huragan wyskoczył z łóżka i rzucił się w jego stronę wyrwijąc mu z piorunującą szybkością nóż z ręki. Błysnęło ostrze, rozległ się krótki krzyk ostrzegawczy aspiranta Billewskiego... i Bernard Żbik w ostatniej chwili powstrzymał klingę godzącą w ciało.

Leszek Breda chciał popełnić samobójstwo!

Adam Billewski trzymał go mocno, było to już jednak zbyt ciężkie. Palce chłopca trzymające nóż rozwarły się, ciało naraz zwiotczało i załamało się. Gdyby nie silny uścisk rąk aspiranta, chłopiec opadłby niewątpliwie na ziemię. Twarz Leszka była teraz ognistoczerwona, niemal płonąca. Zakrył ją ramionami i łkał, łkał głucho, przejmująco, aż aspirant czuł fizyczny ból.

Bernard Żbik stał obojętnie z boku, jakby go wcale nie wzruszyła ta wstrząsająca scena. W oczach genialnego detektywa widać było jakiś błysk okrutnego zacięcia, jakby nienawiści,

który jednak natychmiast zniknął z nich, ustępując miejsca uczuciu wzruszenia i wyrozumiałości. Aspirant zdołał jednak dojrzeć ten błysk zacięcia w oczach swego przyjaciela.

Posadził Leszka ostrożnie na krzesło, podniósł nóż i położył go na stole. Czekał.

Czekał na decyzję Bernarda Żbika.

— Adamie, muszę aresztować tego chłopca pod zarzutem morderstwa z premedytacją usiłowanego na jego ojcu, profesorze Bredzie. Zamkniesz go w jakimś pokoju i pozostaniesz przy nim na straży, póki ja nie przyjdę do ciebie z doktorem Dalczewskim.

— Co...

— Idź! — uciął krótko inspektor i niemal wypchnął aspiranta za drzwi. Ten zaś zbyt dobrze znał swego przyjaciela, aby mu się naprzykrzać w takich razach zbyt zbytnimi pytaniami.

Chłopiec prawdopodobnie słyszał słowa detektywa, zachowywał się jednak jak we śnie hipnotycznym. Nie stawiał wcale oporu, gdy aspirant pomógł mu się ubrać, otulił go paltem i wyprowadził.

Bernard Żbik stał przez chwilę nieruchomo w wielkiej sypialni, wyjął potem z kieszeni małą lecz silną lampkę elektryczną i poddał pokój szczegółowym oględzinom według zasad oględzin miejsca przestępstwa. Nie przepuścił ani cala podłogi lub ściany. Wyniki oględzin notował dokładnie w swym notesie. Przy kilku miejscach zatrzymał się dłużej, przy czym zaznaczył je krzyżykami na szkicu sypialni, jaki sobie narysował.

Już miał zamiar opuścić pokój, gdy przypomniał sobie, że jeszcze nie obejrzał jednego miejsca.

Podszedł wolno do okna, obejrzał je dokładnie i stwierdził, że jest zamknięte od wewnątrz. Otworzył je i szczegółowo oświetlił kratę ochronną. Jego dolna warga zacisnęła się wąsko. Było tak, jak się obawiał.

Na blasze zewnętrznej oraz na sztabach krat dojrzał wyraźnie ślady. Zaś poniżej, u stóp okna, krąg światła jego latarki objął wyraźnie odcisnięte ślady bosych nóg. Te same ślady, które widział już tej fatalnej nocy pod drzewem.

— **Ślady bosych stóp** — szepnął Żbik do siebie, wychodząc przez przedpokój na korytarz. — Kto je pozostawił?...

Przerwał myślenie. Niespodziewanie poczuł naraz silne pragnienie. Zatrzymał się przed kuchnią i wszedł. Rogalski siedział na futrynie obok szofera Fuchsa.

— Wy tu!

— Tak. — Wywiadowca stanął na baczność. — Pan doktor odesłał nas po przeniesieniu profesora.

— Gdzie jest profesor?

— W sypialni swej żony. Leży obok niej na drugim łóżku. Siedzą tam z nimi obie panienki.

— A Wielgus?

— Nic. Pilnuje przed drzwiami, póki go pan inspektor nie zwolni.

— Profesor odzyskał przytomność?

— Nawet nie wiem. Jakaśmy go wnosili, to wciąż był zemdłony. Dziwno mi, że jeszcze żyje. Czytałem gdzieś, że człowiek umiera, gdy traci więcej niż połowę krwi. A ile tej krwi stracił profesor! Musi mieć chyba jakiś zapasowy rezerwuar w środku.

— Dobrze, Rogalski — urwał detektyw. Już skierował się ku drzwiom, gdy naraz zatrzymał się. Przyszło mu na myśl coś tak dziwnego... — A jednak... — mruknął do siebie.

— Słucham pana inspektora?

— Już nic, Rogalski. Nic.

Wyszedł.

Szofer Kazimierz uśmiechnął się do wywiadowcy.

— Dziwnie wyglądał w tej chwili pan Żbik.

— Pan **inspektor** Żbik, mówi się – cywilu zatracony! – sprostował wywiadowca niedbale.

— Czego się pan złościsz. Zagrajmy lepiej w szachy.

— Możemy.

Po chwili wywiadowca policji i były przestępca siedzieli pochyleni nad kratkowaną deseczką o sześćdziesięciu czterech polach, przy której w zapale zapomnieli, że są wiecznymi antagonistami społecznymi.

— Mat — syknął szofer po pewnym czasie i uśmiechnął się nie bez satysfakcji.

Smętne oczy Rogalskiego wpatrzyły się weń ostro.

— Czemuś taki zadowolony, bracie?

— Bo pan przegrałeś. Mogłem i ja raz kropnąć mata policajowi.

— Nie mów hop. Zagramy jeszcze raz.

— Nie zagracie.

Tych dwóch słów nie powiedział ani Rogalski, ani szofer. Obaj obejrzeni się jak na komendę. Drzwi otwierały się wolno ale stanowczo. W mgnieniu oka znalazł się niklowany browning w ręku wywiadowcy. Odważnie podskoczył do drzwi i szarpnął je ku sobie.

— Ha, ha, ha!

Zabrzmiało to jak śmiech szatana. Ale w korytarzu było ciemno, choć oko wykol. Tylko na skrawku podłogi oświetlonej idącym od drzwi światłem widać było dość wyraźne – ślady bosych stóp!

Rogalski spoważniał. Ostrożnie, aby nie zdeptać śladów wrócił do oszołomionego szofera, wziął jedną z lamp naftowych w lewą rękę i z browningiem w prawej dłoni wyszedł na korytarz.

Oświetlił podłogę. Były to ślady jednostronne! Ale nie to było najbardziej niesamowite. W pewnym miejscu ślady urywały się, jakby ten, który je zostawił, ulotnił się naraz w powietrze, rozwiął niby dym – niby mara.

— Psiakrew!

Wyrzekł tylko to słowo i wrócił do kuchni.

— Chodź, bracie. Muszę o tym powiedzieć inspektorowi.

— **Panu** inspektorowi — skorzystał szofer z okazji, aby się odciąć.

— Cicho bądź! Jazda!

Szofer zdumiał się.

— Ale po co ja jestem potrzebny?

— Bo ci nie wierzę, bracie. Możesz zwać, albo czegoś nabroić, a potem ja bym odpowiadał. Może się pietrasz pójść? Grałem z tobą w szachy, ale to nic. Żebyś się zanadto nie mądrzył, powiem ci, że grałem już partię szachów z pewnym porucznikiem rezerwy, którego w trzy dni potem rozstrzelano za szpiegostwo.

Szofera Fuchsa przeszedł lekki dreszczyk wzdłuż krzyża i czuł, że mu szpilki tańczą po kręgosłupie. Ale jako namiętny szachista nie mógł się powstrzymać od pytania.

— I wygrałeś pan?

— Przegrałem i to pomimo, że graliśmy o grube pieniądze, a on grał o wiele gorzej ode mnie.

— Tego już nie rozumiem.

— Racja stanu, bracie — odparł Rogalski dyplomatycznie i nie racząc objaśnić zdumionemu eks-kryminaliście, co ma na myśli, ujął go bezceremonialnie pod ramię i powiodł

przed siebie.

Ku wielkiemu zdumieniu wywiadowcy inspektor Żbik przyjął wiadomość o śladach zupełnie spokojnie i polecił Rogalskiemu udać się na powrót do kuchni. Obok inspektora wywiadowca zauważył swego małego kolegę, Wielgusa.

Rogalski stuknął obcasami, odwrócił się zamasyście i ujął szofera pod rękę.

— Wracamy, bracie.

Szofer zaśmiał się złośliwie.

— Niezupełnie mądrą minę masz pan w tej chwili. Wyglądasz pan, jak jeź, którego przenicowano kolcami do wewnątrz. Czy to też racja stanu?

Ale Rogalski zbył go tylko wyniosłym spojrzeniem.

— Gdybym ci objaśnił, to byś i tak nie rozumiał.

— Ja też tak sądzę, — odciął się szofer dwuznacznie.

— Ty, Kaziu, wcale nie jesteś taki głupi, jak na to wyglądasz...

— A coś pan myślał. Nareszcie poznałeś się pan na tym...

— ...tylko znacznie głupszy, — zakończył Rogalski, otwierając drzwi od kuchni.

— Mam wrażenie, że jesteś pan człowiekiem źle wychowanym — odparł szofer Fuchs z tak bezdenną pogardą, że się aż zakrztusił.

Rozdział XIII

SZOPA W LESIE

Adam Billewski czekał.

Siedział w małym pokoiku na piętrze obok dużej lampy naftowej i obserwował leżącego na stalowym łóżku Leszka Bredę, chłopca, którego Bernard Żbik aresztował pod zarzutem usiłowania ojcobójstwa.

Chłopiec spał. Usnął natychmiast, gdy tylko weszli do pokoju. Po drodze nie odezwał się do aspiranta ani słowem. Nie pytając o pozwolenie, rozebrał się bez zażenowania i nie składając ubrania, położył się do łóżka i niemal momentalnie zasnął.

Młody detektyw oglądał go w milczeniu i zamyśleniu. Więc to był sprawca tych wszystkich tajemniczych posunięć w „domu tajemnic”. Więc jego ochraniał profesor Breda, który wiedział o wszystkim od początku. To zatem była „tajemnica profesora Bredy”. Tragiczna, ponura, niesamowita tajemnica. Dramat ojca, który wiedział, że jego syn...

Aspirant przerwał rozmyślenia. Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Bernard Żbik z doktorem Dalczewskim. Twarze ich były poważne. Jowialny lekarz zmienił się zupełnie. Już nie było widać w jego oczach tego błysku cynizmu i rubaszości.

Popatrzał na leżącego chłopca i wymienił spojrzenie z detektywem.

— Chciałbym, żeby go pan zbadał, doktorze.

— Dobrze.

Lekarz przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł na nim. Dał znak obu detektywom, aby usunęli się z pola widzenia leżącego. Stanęli za wezglowiem i czekali.

Gruba, lecz zadziwiająco delikatna dłoń lekarza policyjnego dotknęła ramienia chłopca. Nie obudził go. Odsunął kołdrę i długo, w milczeniu oglądał twarz i ciało śpiącego. Szczególnie starannie obejrzał kąciki zamkniętych, nieco zapadłych oczu i obserwował dokładnie ruchy oddechowe oraz położenie kończyn.

Potem dotknął go mocniej. Chłopiec obudził się, drgnął febrycznie, spojrzał wokoło siebie rozwartymi, błędnie zrazu patrzącymi, oczami. Trwało to jednak tylko przez okamgnienie. Twarz ożywiła się natychmiast, oczy nabrały matowego połysku inteligencji i świadomości. Przez blade nieco policzki przebiegł dreszcz jakby pod wpływem zimna, choć w pokoju było ciepło.

Spojrzał na lekarza i naraz usiadł na łóżku. Podciągnął kołdrę i przykrył się aż po szyję. Ściągnął brwi.

— Zimno ci?

Otworzył usta, oczy na chwilę znów zmętniały.

— Kim pan jest?

Zagryzł dolną wargę. Kolano pod kołdrą wykonało nagły ruch. Czujne, uważne oczy lekarza obserwowany bacznie wszystkie te odruchy i symptomy stanu nerwów badanego.

— Jestem lekarzem. Nazywam się doktor Dalczewski.

Aspirant nie przypuszczał nigdy, aby stary pseudocynik mógł wydobyć z siebie taki

kojący ton.

— Czy ja jestem chory?

Doktor pominął milczeniem pytanie i powtórzył, już z lekkim naciskiem, wskazując na podciągniętą aż po szyję kołdrę.

— Zimno ci?

— Nie. Nie...

— Wiesz, gdzie się znajdujesz w tej chwili?

— W domu, u mego ojca.

— Jak się nazywasz?

— Leszek Breda.

— Dlaczego zakrywasz się tak szczelnie kołdrą? Przecież ci nie jest zimno.

Chłopiec zorientował się widocznie, że te dziwne pytania mają jakiś swoisty cel. Uczynił naraz ruch, jakby zamierzał zejść z łóżka. W tej chwili zauważył stojących za nim obu detektywów. Przestraszył się widocznie.

— Dlaczego...

Zamilkł. Wyciągnął rękę i ujął dłoń lekarza, który mu tego nie broniał. Nieznacznie tylko zbadał jego puls.

— Niech mnie pan zabierze z tego domu.

— Pamiętasz, gdzie byłeś przed godziną?

— Pamiętam. Pamiętam wszystko.

— Znasz ten nóż?

— Nie znam.

— Spałeś w nocy?

— Tak. W jednym pokoju z ojcem.

— Całą noc spałeś?

— Całą noc.

— Nic nie słyszałeś?

— Nie... tylko raz zdawało mi się, że mnie ktoś dusi, ale nawet nie krzyknąłem, tylko mocniej zasnąłem.

— Czułeś wtedy jakiś zapach?

— Nie pamiętam.

Łza ukazała się w jego lewym oku i spłynęła po twarzy do ust.

— Głowa mnie boli panie doktorze. I jestem taki śpiący. Taki...

Odwrócił się w tej chwili na bok ku ścianie i opadł na poduszki. Zasnął.

— Zasnął?

Doktor skinął głową.

— Jest kompletnie wyczerpany. Lepiej go teraz nie męczyć. Zauważył pan, że na moje pytania odpowiadał powtórzeniem ich urywków w tonie przeczącym. To już najwyższy stopień abnegacji. Należy go zostawić w zupełnym spokoju. Mógłby się bardzo poważnie rozchorować.

— Czy pan sądzi, że on kłamie, mówiąc o tym, co było w nocy?

— Na to nie mogę w tej chwili odpowiedzieć. W tym stanie w ogóle nie można ufać jego pamięci. Nie jestem pewny, ale nie wywarł na mnie wrażenia umyślowo chorego.

— Ale teoretycznie dopuszczalne jest, że on mógł dokonać tej zbrodni na swym ojcu?

Lekarz zastanowił się.

— To nie jest wykluczone nawet faktycznie, ale bardzo chwiejne. Wolałbym, aby zbadał go specjalista psychiatra.

— Rozumiem.

— Pójdziemy już.

— Tak — odparł Żbik. — Adamie, zawołaj tu Stasię. Ona zostanie przy nim. My zaś udamy się może do mnie do pokoju. Muszę wszystko rozważyć od a do zet. Tragedia w tym domu jeszcze nie jest zakończona.

Aspirant wyszedł bez słowa. Po pięciu minutach wrócił w towarzystwie Stasi.

— Pani tu zostanie. Pan Leszek jest chory. Proszę go nie budzić. Gdyby się sam zbudził, proszę mnie natychmiast zawołać.

— Dobrze, proszę pana.

Dziewczyna była jakby oszołomiona, co wcale nie dziwiło inspektora. W tym domu i tej nocy trudno było zachować spokój umysłowy. Przecież on sam, aczkolwiek przyzwyczajony do stykania się ze wzruszeniem i zbrodnią, z trudnością utrzymywał na wodzy swe nerwy.

Wyszli z pokoju, jeszcze raz zaleciwszy Stasi, aby zawołała ich, gdyby coś zaszło.

Zegarek doktora wskazywał godzinę piątą w nocy. Ciemno było jeszcze zupełnie. A przecież nikt nie spał tej nocy w willi i wszystkie światła były zapalone. Wywierało to, potęgowało raczej, niesamowitość sytuacji.

Bernard Żbik wstąpił po drodze do profesora. Piotr Breda spał. Na sąsiednim łóżku obok okna spała również jego żona. Oboje obandażowani i niezdrowo, ciężko oddychający umacniali jeszcze swym widokiem dziwny wygląd pokoju. Na fotelu bujającym drzemała Kazia.

Detektyw i lekarz wyszli cicho.

Więcek wartował wciąż przed drzwiami Tadka i wychowawczyni.

— Boli was jeszcze głowa?

— Już nie, panie inspektorze.

— Tam wewnątrz – cicho?

Wskazał na drzwi.

— Cicho. Tylko ta panna chciała wyjść. Ale zaświeciłem jej latarką w oczy i pokazałem rewolwer. Wtedy cofnęła się z przerażeniem. Zdaje mi się jednak, że wcale nie była zdziwiona.

— Zostaniecie tu na warcie, póki was sam nie zwolnię.

— Rozkaz.

Bernard Żbik skinął głową wywiadowcy, ujął pod rękę doktora i aspiranta i skierował się ku swemu pokojowi.

Usiedli wszyscy trzej.

— Więc ten chłopiec jest mordercą?

— Nie wiem, doktorze. Nic jeszcze nie wiem. Na razie muszę go aresztować. Szkoda tego chłopca, a jednak obawiam się, że spędzi on swą młodość w domu dla obłąkanych.

— Schizofrenia? — zapytał doktor cicho.

— Nie wiem — odparł inspektor z dziwnym wyrazem twarzy. Zaszła w nim naraz jakaś gwałtowna zmiana.

— Czemu tak głośno mówisz, Bernardzie?

Inspektor nie odpowiedział na pytanie aspiranta i dodał cicho, szeptem, który dziwnie kontrastowo zabrzmiał wobec jego poprzednio bardzo głośnego tonu:

— Ot, tak ze zdenerwowania. — I zakończył głośniej: — Wypełnisz mi rozkaz aresztowania Leszka Bredy pod zarzutem usiłowania morderstwa z premedytacją. Inna rzecz, czy chłopiec będzie skazany. Może nie odpowiadał za swoje czyny.

— Więc to jednak on.

— Tak – on.

Wstał naraz.

— Ubierzcie się — rzekł znów cicho i zakończył głośno: — Wychodzimy przed dom.

Muszę pomówić ze Stefanem. Która to godzina, Adamie?

— Kwadrans po piątej.

— Tak wcześniej. A ile to już wypadków rozegrało się w ciągu tych kilkunastu godzin. Przebywam w tym domu dopiero siedemnaście godzin i piętnaście minut, a wydaje mi się że minął już miesiąc. Wyjdzie pan z nami, doktorze?

— Wolę — lekarz spojrział dziwnie na detektywa. — Nie umiałbym tu ani usiedzieć ani zasnąć.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Niech się pan ze mnie nie śmieje — czuję po prostu strach w kolanach. Chciałbym jak najprędzej być w Warszawie, położyć się na moim tapczanie i podumać trochę o znikomej wieczności w obie strony. Mam wrażenie, że siedzę na fotelu elektrycznym, w którego katody kat lada chwila włączy kontakt śmiertelności prądu.

— Dziwne porównanie.

— Kradzione, inspektorze. Czytałem je wczoraj w jakiejś powieści, wyjątkowo niekryminalnej. Dziwne porównanie.

— Dziwne porównanie — powtórzył detektyw jak stłumione echo i już nie odezwał się ani słowem. Aspirant był zdumiony coraz bardziej. Dawno już nie widział swego przyjaciela tak zdenerwowanego i podnieconego. Każdy ruch Bernarda Żbika był jakby wymuszony. Każdy gest, każde słowo zawierało jakby ukryte napięcie. Później aspirant miał to zrozumieć.

Przed willą stał Stefan obok drzewa i zgodnie z rozkazem inspektora nie spuszczał z oka śladów na śniegu. Ujrawszy nadchodzących odwrócił się gwałtownie.

— Topnieją, cholera! — jak powiedział pewien bankier zajrzawszy do kasy.

— Co topnieje?

— Te ślady na śniegu. — Poświecił latarką. — Właśnie kiedy potrzebny jest mróz, to go nie ma — dodał z pasją i wyrznął pięścią w pień sosny, że aż syknął z bólu. Oczywiście nie pień — tylko Stefan. Stojący obok pies spojrział na służącego z wyrazem zdumienia w swych inteligentnych ślepiach.

Inspektor zaśmiał się mimo woli. ślady istotnie zniknęły pod wpływem odwilży.

Bernard Żbik odwrócił się nagle twarzą do doktora.

— Ma pan przy sobie jakąś broń?

— Mam. Tę pańską kolubrynę.

— Ale pan jest za ciężki. — Odparł detektyw zagadkowo. — Poza tym chciałbym, aby jednak ktoś kompetentny czuwał nad Leszkiem Bredą. Chłopiec może popełnić jakiś nieobliczalny krok. Mam więc do pana prośbę, doktorze.

Dobroduszny lekarz, który w żaden sposób nie mógł zrozumieć uwagi, dotyczącej jego ciężkości i jej związku z pytaniem o rewolwer — skinął głową niemal apatycznie.

— Słucham.

— Wróci pan do willi i usiądzie koło łóżka Leszka. Niech pan ma rewolwer w pogotowiu.

— Sądzi pan, że on jest wciąż niebezpieczny?

— Tak. Wciąż. No, idź pan już, doktorze. Proszę nie patrzeć na mnie takim zdziwionym wzrokiem. Może za godzinę będę już mógł wszystko wyjaśnić.

Lekarz nie rozumiał wprawdzie przyczyn nagłego postanowienia detektywa jak również jego niezwykłego zachowania i jego powodów, ale znając dobrze inspektora nie oponował. Odwrócił się i skierował do drzwi wiodących do hallu w pawilonie środkowym, przysięgając w duchu, że o ile będzie miał kiedyś syna, to za żadne skarby nie pozwoli mu wstąpić do policji w jakimkolwiek charakterze.

— Ty, Stefan, poczekaś pod tym drzewem. Gdybyś zauważył coś lub kogoś

podejrzanego – możesz strzelać. Pozwalam ci na to. Jeżeli ci nudno to opowiedz Dianie kilka szubieniczno-somnambulicznych kawałów. A my pójdziemy za tymi śladami, Adamie.

Wziął aspiranta za rękę i zaświecił latarkę. Uszli zaledwie kilka kroków, gdy Bernard Żbik przystanął i rzekł cicho, wskazując na topniejące ślady.

— Adamie — te ślady zaprowadzą nas do rozwiązania zagadki. Miej broń w pogotowiu.

Nie czekał na odpowiedź zdziwionego aspiranta, oświetlił śnieg swą silną myśliwską latarką i cicho, ostrożnie, krok za krokiem posuwał się śladami bosych stóp. Aspirant szedł za nim w milczeniu, ściskając mocno rączkę rewolweru w swej prawej dłoni.

Szli lasem. Cicho było wokoło i pusto. Ciemno. Po dwudziestu minutach szybkiego marszu ślady bosych stóp urwały się naraz pod wysokim dębem w pobliżu równie wysokiego muru otaczającego willę „Gong”.

— Co dalej?

Bernard Żbik nie odpowiedział. Nachylił się tylko i bliżej zbadał ślad pod drzewem. Naraz zaświeciły się jego oczy w ciemności. Dolna szczeka wysunęła się energicznie, a dłoń zacisnęła się twardo w pięść.

— Mój Boże!

— Co się stało, Bernardzie? — zapytał aspirant ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Nic. Nic. — Wykonał nieokreślony ruch dłonią. — Ale teraz zdaje się już wszystko zrozumiałem.

Wyprostował się. Krąg światła jego silnej latarki zatoczył łuk w czarnym płynie ciemności i oświetlił szary obiekt przed nimi. Była to dość duża szopa drewniano-betonowa. Latarka oświetliła systematycznie szare kontury budynku szopy i zatrzymała się na mocnych drewnianych drzwiach z nieheblowanej dębiny. Obok drzwi stała oparta o ścianę długa sztaba żelazna.

Żbik ścisnął porozumiewawczo dłoń aspiranta i poczęli obaj wolno podchodzić do szopy. Długa była na około szesnaście metrów, szeroka na osiem, wysoka do czterech. Jedną ścianą, tylną, opierała się o wysoki mur otaczający willę.

Stanęli przy drzwiach.

Inspektor ujął ostrożnie żelazną klamkę i pociągnął ostro drzwi ku sobie. Otworzyły się łatwo.

Weszli obaj.

Latarka Bernarda Żbika wędrowała od przedmiotu do przedmiotu: generator, transmisje, dynamo, marmurowa tablica z bezpiecznikami trójfazowymi, amperometrem, woltometrem i manometrem. Lokomobila Manna z drabinką stalową obsypana gdzieśgdzie trocinami przesiąkniętymi oliwą i smarami.

Była to całkowicie urządzona mała elektrownia, o której wspominał inspektorowi profesor Piotr Breda.

Detektyw zbliżył się do lokomobili, wszedł na dwa szczeble drabinki i oglądał ją z niezwykłą starannością w świetle swej latarki. Także aspirant zaświecił swą małą lampkę, zbliżył się — zauważył, że kocioł jest ciepły, jakby niedawno temu rozgrzewany. Spojrzał z zaciekawieniem na tłoki ociekające gęsto oliwą mieniącą się w świetle latarek wszystkimi barwami tęczy i szafiru.

— Nie odwracać się! Bo strzelam!

Aspirant zdębiał. Głos rozległ się za nimi!

Głos jakiś dziwny, fistułowy, niby dziecinny. To nie był jednak głos Leszka.

Bernard Żbik również usłyszał ten głos i zadrżał. Stał wciąż na trzecim szczeblu drabinki lokomobili. Bał się poruszyć, aby nieznanemu napastnikowi nie wykonał swej groźby.

Inspektor dotknął znacząco ręki aspiranta, opartej tuż obok jego nogi na szczeblu. Adam Billewski zrozumiał i przypadł nagle do ziemi, zaś Bernard Żbik jednym susem zeskoczył z drabinki i odwrócił się.

— Ha, ha, ha!

Śmiech rozległ się zza drzwi. Albowiem jednocześnie z odgłosem skoku inspektora rozległ się głuchy trzask i wielkie mocne drzwi dębowe zamknęły się. Usłyszeli zgrzyt zakładanej sztaby żelaznej i oddalający się już potworny, fistułowy śmiech.

— Ha, ha, ha! Ha, ha... Ha...

I cisza.

Byli uwięzieni.

Rozdział XIV

TRZEBA COŚ UCZYNIĆ

Uwięzieni!

Inspektor i aspirant stali przez dłuższą chwilę oszołomieni, nieruchomi, jakby sparaliżowani. Ich obie latarki rzucały dwa kręgi światła na zatrzaśnięte i podparte od zewnątrz sztabą ciężkie drzwi z nieheblowanego drewna dębowego.

Głuche milczenie pierwszy przerwał Bernard Żbik.

— Boże! Jaki on jest piekielnie sprytny!

— Kto?

— Zbrodniarz. Boże! Powinienem być to przewidzieć.

— Ty wiesz – kto jest mordercą?

— Wiem i nie wiem jednocześnie — wielki detektyw był zdenerwowany. — Co za fantastyczny spryt?!

Inspektor poruszył się nagle.

— Adamie, musimy błyskawicznie działać. Nie możemy tu czekać beczynnie. **On** może tam wymordować wszystkich, po kolei. Nawet naszych ludzi. **Nie wolno nam czekać** — dodał z głuchą pasją.

Znów zamilkł na chwilę.

Adam Billewski, który oświetlił go swoją latarką, zobaczył jak na czole genialnego detektywa wystąpiły dwa guzy, a usta zacięły się tak, że wargi stały się prawie niewidoczne. Schwycił nagle aspiranta za ramię.

— Przede wszystkim musimy się stąd wydostać. Poszukamy razem. Tu musi gdzieś być kontakt elektryczny i wyłącznik.

Nerwowo oświetlił swą długą lampką sufit i znalazł to, czego szukał. Na krótkim czarnym kablu zwisała zakurzona żarówka węglowa otoczona kratkowaną koszulką drucianą. Oświetlił kabel i „idąc” wzdłuż przewodnika dotarł wreszcie do celu. W kącie za drewnianą półką widniał przełącznik. Podeszedł i przekręcił. W zamkniętej szopie zabłysło mdłe światło węglowej żarówki.

W jej oświetleniu widzieli teraz wyraźnie lokomobilę, dynamomaszynę i kondensatory. Już bez wątpliwości skonstatowali obaj, że dynamo i lokomobila były niedawno temu czynne. Były jeszcze ciepłe.

Inspektor nie mógł ustać na miejscu. Niby pies gończy, który stracił ślad, stapał od kąta do kąta, cał po calu opukiwał ściany, badając całe wnętrze miejsca ich nagłego przymusowego pobytu.

W pewnej chwili wydobył spod lokomobili małą paczkę. Po rozwinięciu brudnej, tłustej szmaty wydobył stamtąd... parę butów.

— Oto masz wytłumaczenie śladów bosych stóp na śniegu.

Aspirant obejrzał owe buty. Były dziwne – do ich podeszew przybite były od spodu dwa wysokie odlewy bosych nóg ludzkich.

— Rozumiesz? Zbrodniarz wkładał te buty i w ten sposób mógł imitować w lesie ślady bosych stóp. Stary, ale wiecznie dobry trick kryminalistów opisany kilkakrotnie w naukowej literaturze kryminologicznej; wspominają o nim Gross, Schneickert i Tardieu. O! On jest piekielnie sprytny. Wiedział dobrze, że to mnie początkowo wprowadzi w błąd. I świetnie obliczył. Przecież do ostatniej chwili nie chciałem wierzyć. Teraz jeszcze się chwieję. Boże!

Przerwał i znów zacisnął usta, aż zęby zazgrzytały.

— Adamie. Musimy ich ratować. Wszystkim mieszkańcom willi grozi teraz bezlitosna śmierć z jego ręki... On jest przecież obłąkany, szalony i nie umie się zastanawiać, gdy go ogarnia pasja mordu. Musimy ich ratować. Słyszysz! Musimy!

Aspirant milczał. Nie pytał inspektora, kto jest mordercą, bo wiedział, że wszelkie zbędne pytanie może zakłócić intensywny proces myślowy w jego genialnym mózgu. Nie wątpił też, że Żbik zna już osobę mordercy. Zarówno taka wątpliwość, jak i pytanie co do osoby, byłyby w tej chwili zawiedzeniem jego zaufania do przyjaciela.

Wzrok Billewskiego padł w tej chwili na syrenę parową, umocowaną nad kotłem lokomobili obok błyszczącego miedzią małego manometru zegarowego.

— Bernardzie — wskazał — możemy wszczać alarm.

Detektyw nie spojrział nawet na syrenę. On już zauważył ją trzy minuty temu.

— Nic z syreny. On ją usłyszy na równi z innymi i zanim ktokolwiek się zorientuje (to jest jeszcze wątpliwe, bo wokoło są fabryki) – on tymczasem zdąży! Nie, musimy tu wymyślić coś innego. Jemu nie wolno o niczym wiedzieć.

— Spróbujmy przestrzelić zatrask.

— A sztaba? — On pomyślał o wszystkim. To przecież fachowiec. Jego mózg jest szalony, ale ukrywa to i działa z zadziwiającą precyzją.

— Więc...

— Siedź cicho! — zgromił Żbik przyjaciela. — Daj mi myśleć i myśl sam. Słowa tylko przeszkadzają.

Aspirant nie obraził się. Uznał słusność uwagi inspektora, i zamilkł.

Spojrzął w kierunku dachu, ale po chwili opuścił wzrok z rezygnacją. Strop w szopie był cementowy i gruby. Dopiero nad nim znajdował się strych i dach. Nie, o wydostaniu się tą drogą mowy nie ma.

Zdenerwowanie Bernarda Żbika stawało się coraz bardziej widoczne. On jeden, on, który wiedział — zdawał sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwa, które nie groziło jemu, ale pozostałym mieszkańcom willi „Gong” i wywiadowcom policji oraz doktorowi Dalczewskiemu.

Jego i aspiranta morderca oszczędził wspaniałomyślnie. Inspektor na chwilę zapomniał o zdenerwowaniu i zastanowił się nad przyczyną tego kroku zbrodniarza. Nie trudno mu było w tej chwili zrozumieć pobudki takiego postępowania – dlatego to inspektor uśmiechnął się gorzko.

Tymczasem sekundy mijały. Minuty mijały. Minął kwadrans.

Podniecony do najwyższego stopnia detektyw wyjął swój rewolwer i oddał siedem strzałów w zamek dębowych drzwi. Odrzucił bezużyteczną już broń, spojrzął na siedem tkwiących w drzewie kul – zastanowił się, że właściwie czyn jego był absurdalny, przecież przedtem sam stwierdził bezcelowość takiego postępowania. Ale i on, Bernard Żbik, nie był ideałem. Człowiek ma niekiedy nerwy.

Zaś tam, w „domu tajemnic” — zazgrzytał zębami, że aż aspirant to usłyszał. Tam...

Uspokoił się nagle, usiadł na drugim szczeblu drabinki lokomobili i wskazał aspirantowi zdekompletowaną skrzynkę, stojącą obok. Z zimną krwią wyjął papierośnicę.

— Usiądź Adamie, zapalimy.

Aspirant spojrział nań nieomal jak na szaleńca.

— Rezygnujesz.

— Nie. Zapalam papierosa i radzę ci uczynić to samo. Weź z moich. Są lepsze.

Adam Billewski usiadł w milczeniu na prowizorycznym stołku i przyjął papierosa i ogień od przyjaciela.

Bernard Żbik poprawił starannie kant spodni, założył nogę na nogę i obserwując końce swych zmoczonych śniegiem i powalanych trocinami pantofli, rzekł dobitnie:

— Będzie dobrze, Adasiu. Zobaczysz. Tylko wypalmy w spokoju.

Spojrzął w oczy przyjaciela i dodał szybko.

— Tylko nie zadawaj mi teraz zbytecznych pytań.

— Nie miałem tego zamiaru.

— Przeciwnie! Miałeś. Po co bujać?

Przyłożył palec do ust.

— Cicho! Sza!

I począł nucić pod nosem popularną arię z pierwszego aktu *Cyrulika Sewilskiego*.

Tak minęło piętnaście minut w głuchej ciszy. Aspirant palił i obserwował swego przyjaciela. Na zewnątrz w lesie huczał wilgotny wiatr. Zegarek Billewskiego wskazywał godzinę szóstą. Za pół godziny będzie zupełnie widno. A oni siedzą tu uwięzieni. I Bernard jest taki niesamowicie spokojny. Może usnął?

— Ciekawa sytuacja, Adasiu. Gdyby to tak była powieść, znaleźlibyśmy niewątpliwie jakieś tajemnicze wyjście. Przeszłelibyśmy zamek rewolwerowymi kulami lub coś podobnego. A tu – nic! Siedzi sobie sławny Bernard Żbik i pali papierosa, śpiewa arie i intermezza z *Cyrulika*, a tam na zewnątrz... Na zewnątrz.

Przerwał. Oczy zaszyły mu mgłą bezsilnej złości. Aspirant zrozumiał, że wielki detektyw grał przed sobą samym, aby się uspokoić. W rzeczywistości nie mógł sobie darować, że dał się tak uwięzić. I nic, nie może literalnie nic poradzić. Musi czekać. Czekać!

Wyjął swój notes safianowy z kieszeni płaszcza i wieczne pióro i począł coś szybko notować.

— Co to, Bernardzie?

— Ułatwiam robotę sędziemu śledczemu i spisuję dokładny raport dowodowy przeciwko mordercy. Rozpytanie będzie zbyteczne — dodał zagadkowo. — Ja... uwięziony przez niego. A tam na zewnątrz... — Uspokoił się i począł pisać. — Szkoda tracić czas, Adasiu – jak powiedział pewien kat czy skazaniec, czy śpiąca królowna, której się tylko śniło – jakby powiedział mój Stefan...

Urwał...

— Stefan — powtórzył cicho i w oczach jego pojawił się błysk przeogromnej radości.

Także aspirant poczuł, że jego serce bije wolniej z niezrozumiałego wzruszenia.

— Leż tu! Diana i nie szarp się na smyczy, jak opozycyjny poseł. Zapukamy do tych drzwi, jak powiedział pewien żebrak, a to był naprawdę przebrany na incognito milioner i tylko mu się śniło. Potem...

— Stefan!!!! O błogosławiona nielogiczności!

— Pan inspektor! Leż, Diana! Psia twoja... Ale – to przecież dla ciebie nie jest obrazą. Nie wiem co błogosławiona – ale trza te drzwi otworzyć – jako rzekł pewien kasiarz, który miał urlop „zdrowotny”. Co to? Zamknięte od zewnątrz. Więc jak się pan inspektor tam dostał? Nie rozumiem. Wejść do środka i założyć sztabę zewnętrzną. To zupełnie jak z tym bandytą, który zabił pasażera na śmierć, a potem zaprosił go na wódkę. Niemożliwe! A ja chciałem zapukać.

Stefan „odrabiał” na potęgę całonocne milczenie.

— O błogosławiona nielogiczności! — powtórzył inspektor, patrząc z rozradowaniem i napięciem zarazem na aspiranta. — Stefan, przestań głądzić od rzeczy i otwórz natychmiast.

— Rozkaz.

Usłyszeli zgrzyt podnoszonej sztaby i do szopy zajrzał anemiczny świt zimowego poranka.

— Dziękuję ci, Stefan! Odwdzięczę ci się przy pierwszej sposobności. Za mną – obaj! Może jeszcze nie jest za późno!

Inspektor wydał tylko tę krótką instrukcję, wyrwał aspirantowi jego rewolwer i, nie oglądając się, pomknął jak wicher przez las w kierunku domu. Za nim sunęli wielkimi susami aspirant i Stefan niewiele więcej rozumiejący w tej chwili od biegnącej na końcu ogromnej wilczycy policyjnej Diany ze szkoły w Mostach Wielkich.

Droge powrotną odbyli w dziewięć minut.

Aspirant tak był przejęty słowami, jakie słyszał w szopie od inspektora, że zdziwił się niemal, widząc, że dom wygląda na zewnątrz tak samo jak przedtem, normalnie. Wokoło panowała cisza i nic nie zdawało się świadczyć o tym, że wewnątrz tego oto domu przebywa szalony zbrodniarz.

Na dworze był już zupełny świt. Ciemności pierzchały przed osłabionym i zmęczonym całoroczną pracą i wschodzącym dlatego późno słońcem zimowym.

Inspektor otworzył oszklone drzwi do hallu. I tu było wszystko po staremu. Zegar na kominku *Louis XV* tykał z zimną krwią. Wskazywał pół do siódmej.

Bernard Żbik udał się najpierw na górę po krętych schodach do pokoju. Doktor Dalczewski spojrział nań ze zdumieniem, odłożył książkę trzymaną w rękach i zapytał wzrokiem.

— Co się stało?

Szef-detektyw nie odpowiedział. Spojrział na śpiącego Leszka. Adam Billewski widział wyraźnie jak jego przyjaciel odetchnął z ulgą.

Bernard Żbik odwrócił się. Twarz jego była niemal radośnie uśmiechnięta, gdy rzekł do aspiranta:

— Zostań tu. Możesz sobie pogawędzić z doktorem, ale cicho. Nie wolno budzić tego chłopca – niech śpi jak najdłużej. Ja zaraz wracam.

I wyszedł szybko.

Wrócił dopiero po czterdziestu pięciu minutach. Twarz jego była znów poważna i skupiona, prawie groźna.

— Adamie. Jedziemy do Warszawy. Zabieram cię ze sobą, a także i Stefana. Może będziecie mi potrzebni.

Aspirant rozwarł oczy szeroko.

— A tu... nasi ludzie... czy oni zostaną?

— Na razie jeszcze zostaną. Ale nie na długo. Chodź!

— Ja też mam zostać?

— Tak, doktorze. To nieodzowne, tym bardziej, że wkrótce nadjedzie tu sędzia śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia, doktor Rodowicz. Gdybym nie wiedział, że jest pan trochę gadułą, opowiedziałbym panu wszystko. Wolę jednak milczeć.

Doktor skłonił się wersalsko.

— Dziękuję za komplement.

— Proszę bardzo, chociaż właściwie nie ma za co.

Pomimo lekkiego tonu jego słów twarz, oczy i usta inspektora wyrażały wciąż natężone skupienie.

* * *

Droga do stacji kolejki wilanowskiej zajęła im niecałe piętnaście minut.

Po przyjeździe do Warszawy inspektor polecił Stefanowi udać się do mieszkania na Szkolną i czekać na telefon od niego. Aspirant wywnioskował z tego, że sprawa „domu tajemnic” jeszcze nie jest skończona.

Sprawa domu tajemnic – ten nagłówek wydrukowany wielkimi czcionkami zapełniał pierwsze szpalty wszystkich dzienników stołecznych. Nawet żydowskie pisma przestały na chwilę krzyknąć „gwałtu!” z powodu fali antysemityzmu i łaskawie poświęciły swe szpalty wyjątkowo innego rodzaju kryminalnej sprawie.

Bernard Żbik wsiadł do taksówki i polecił się zawieźć do kliniki psychiatrycznej na Oczki, gdzie odbył konferencję z naczelnym lekarzem ordynatorem i przejrzał w bibliotece dwa dzieła: doktora Aleksandra Piotrowskiego *Diagnostykę psychiatryczną* i Bumkego *Handbuch für Psychiatrie*.

W roztargnieniu zapomniał zapłacić szoferowi, który go odwiózł do kliniki. Wobec tego ten sam szofer tą samą taksówką odwiózł inspektora do zakładu w Tworkach, gdzie Bernard Żbik natychmiast posłał swą wizytówkę lekarzowi dyżurnemu, z którym udał się po krótkiej rozmowie do archiwum.

A tymczasem szofer taksówki czytał nagłówek *Sprawy domu tajemnic* i ani mu przez myśl nie przyszło, że ten „morowy pasażer” to sławny Bernard Żbik.

Wrócili do Warszawy o godzinie pół do drugiej. W Centrali wybiegł inspektorowi naprzeciw zdenerwowany aspirant Bil ewski z „pachnącym” numerem popołudniowej gazety w ręku.

— Spójrz — wskazał na nagłówek.

NOWA FAZA W SPRAWIE „DOMU TAJEMNIC”

SAMOBÓJSTWO ZNANEGO KRYMINOLOGA I PSYCHIATRY

Dziś w południe odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru w usta znany psychokryminolog profesor dr Piotr Breda!

— W południe. Dziś w południe — szepnął inspektor raczej do siebie. — Tak, — westchnął. — Biedny, nieszczęśliwy człowiek! Niech mu ziemia lekką będzie.

Aspirant ściągnął brwi.

— Jednak morderca osiągnął swój cel. Profesor Breda nie żyje.

Inspektor Żbik nie od razu odpowiedział. Jego mądre czoło uniosło się z lekkim odcieniem dumy, gdy odparł:

— Nie było morderstwa — więc nie istnieje także morderca. Sprawa *domu tajemnic* jest już zakończona. Dziwna to była sprawa. Bardzo dziwna. Na szczęście niczyje życie nie padło ofiarą zbrodni.

— Nie rozumiem. Przecież zbrodniarz dopiął swego.

Oczy słynnego detektywa wpatrzyły się ostro w twarz aspiranta, gdy powiedział:

— Jest wielka różnica między samobójstwem przez popełnienie masowego morderstwa, za które grozi kara śmierci – a samobójstwem zwykłym, normalnym. **Zbrodniarzem**

grasującym w willi „Gong” był profesor Piotr Breda.

— Oszalałeś!

— Niewiele brakowało. Gdy po raz pierwszy wpadłem na tę niesamowitą, straszliwą myśl obawiałem się poważnie, że dostałem nagłego pomieszania zmysłów... .Ale potem, gdy fakty...

Przerwał w połowie zdania.

— Zostaw mnie teraz, Adamie, i nie zamęcz mnie pytaniami. Muszę zniknąć na parę dni, ochłonąć z ciosu wrażenia. Bo widzisz...

Nie dokończył. Zacisnął szczęki aż do bólu. Dotknął dłoni osłupiałego aspiranta, odwrócił się i zszedł ze schodów. Jego wizyta u naczelnika Centrali stała się zbędna, nieaktualna po tragicznej notatce, jaką pokazał mu aspirant w popołudniowej gazecie.

Rozdział XV

OD KAPITOLU NIEDALEKO DO SKAŁY TARPEJSKIEJ

Tym zdaniem rozpoczął Bernard Żbik wyjaśnienie zagadki „domu tajemnic”. Statek spacerowy, płynący ku Gdyni minął właśnie ogromną twierdzę Modlińską, która wyglądałaby naprawdę imponująco, gdyby była lepiej oszklona. Kapitan statku dumny z tego, że gości na swym pokładzie słynnego kryminologa i detektywa, stał nieopodal trzech trzcinowych foteli, na których siedzieli: Bernard Żbik, Adam Billewski i doktor Rodowicz, sędzia śledczy apelacyjny do spraw wyjątkowego znaczenia.

Pomimo że upłynął już dłuższy okres czasu od chwili zakończenia tragedii „domu tajemnic” – wielki detektyw był jeszcze wciąż pochmurny, gdy o niej pomyślał.

— Gdy rozmawiam z osobą nawet najbardziej dobrze mi znaną — ciągnął — nigdy nie mogę o niej powiedzieć, że jest normalna, to jest zupełnie zdrowa na umyśle. Człowiek, ów dumny homo sapiens, owo genialne „bydlę, które zrobiło karierę” ma swą piętę achillesową, jest nią inklinacja jego umysłu do głupoty i obłędu. Głupota i obłęd – te dwie choroby dziesiątkują ludzkość bardziej niż najgroźniejsza epidemia. W latach powojennych wzrost ilości chorób umysłowych stał się zastraszająco wielki. Nie jest absurdem twierdzenie amerykańskiego psychiatry, że nadejdzie wkrótce czas, gdy na świecie nie będzie ani jednego człowieka zdrowego na umyśle. Kto wie, czy ta epoka nie jest bliższa, niż przypuszczamy. Gdy patrzę na pewne narody i państwa, gdy obserwuję pewne odłamy społeczne – mam wrażenie, że wspomniana epoka obłędu już nadeszła. Wielki organizm ludzkości zamieszkującej ziemską planetę zdaje się po wojnie zapadać na obłęd. Paranoia generis humani – oto choroba stokroć groźniejsza od największego niebezpieczeństwa, jakie możemy sobie wyobrazić. Komunizm, socjalizm, nacjonalizm, internacjonalizm, kapitalizm, pacyfizm i militarizm – to są tylko symptomy obłędu rodzaju ludzkiego. Czemu więc, gdy szaleją narody, klasy i państwa, dziwić się szaleństwu jednostek. Osobiście nie wierzę w istnienie ludzi normalnych. Istnieje wprawdzie ów szablon przeciętności, ale odnosi się on tylko do ludzi przeciętnych. A tych jest coraz mniej – wiek dwudziesty cierpi na megalomanię, każda jednostka uważa się za nieprzeciętną, jeżeli nie osobiście to cząstkowo, jako część nieprzeciętnej całości. – Jest to też objaw owej paranoi generis humani.

Detektyw wyduł wargi w pogardzie.

— Wróćmy jednak do ludzi naprawdę zdolnych. Tych, którzy mają większy ciężar gatunkowy: Człowiek zdolniejszy, człowiek który wywalczył sobie w życiu stanowisko bliskie marzeniom jego ideału jest prawie zawsze człowiekiem anormalnym, po prostu umysłowo bardzo zmęczonym. Wyjątki zdrowe istnieją, ale są rzadkie i nieliczne. Walka osłabia walczący umysł i jeżeli nie każdy „geniusz” kończy w domu obłąkanych, w więzieniu lub w przytułku noclegowym dla bezdomnych, to jest to jedynie rzeczą przypadkową. Pomówmy jednak o tych, którym **Przypadek** pozwolił uniknąć katastrofy życiowej. Osiągnęli oni już swój cel, przestali dążyć, znormalizowali się na wyższych poziomach. (Powtarzam: na wyższych – bo na poziomach najwyższych nie ma odpoczynku i zaprzestania dążeń).

Odetchnął.

— ...Okres gorączkowej walki się skończył. Epoka nerwów dosięga zenitu. Człowiek zdolny o którym mówię, znalazł się u mety. Następuje krótki okres upojenia radością, potem okres zmęczenia i dziw reszcie opamiętania i wyczerpania, które przechodzi w żal – albowiem zbliżają się refleksje naiwniejszego wroga ludzi „przeciętnie genialnych” i porywczym zarazem. Wrogowi temu na imię starość i śmierć na tle młodości i życia. Zbliża się ów wróg z nieugiętą konsekwencją, wolno, zimno, bezlitośnie, pewnie, nieuniknienie.

Inspektor Żbik przerwał i jego ładne oczy zaszły na chwilę mgłą. Przez długą minutę obserwował przelatujące dwie jaskółki, gonił za nimi wzrokiem, aż znikły w toni światła południowego słońca.

— Takim też człowiekiem był profesor Piotr Breda, mój były przyjaciel. Osiągnął swój cel. Stał się sławny, wielki, szanowany. Odetchnął, zachłysnął się trunkiem radości i... opamiętał się. Począł się bać starości. Byłoby to jednak wszystko nieszkodliwe dla tak potężnej indywidualności, jaką był Piotr Breda, gdyby nie to, że... **pewnego dnia dowiedział się, że jest chory na raka i że lata jego życia są dokładnie już policzone.** Było to niedawno temu.

Bernard Żbik zapalił papierosa i podziękował kapitanowi statku za ogień.

— Proszę, niech pan bliżej usiądzie, kapitanie. Związuję pana jednak oficerskim słowem dyskrecji.

— Tak.

— ...Mózg wyczerpany walką o sławę i karierę naukową, tkanki płatu podrażnionego widmem zbliżającej się starości – nie wytrzymały ciosu świadomości nieuleczalnej choroby. Umysł zachorował. Choroba umysłowa, na którą zapadł profesor trafia się na ogół dość rzadko. Nosi ona naukową nazwę: parafrenia. Zanim wyjaśnię wam, w jaki sposób wpadłem na ślad tajemnicy, nim przedstawię arkana psychologiczne dramatu Willi „Gong” – odczytam przedtem ustęp z *Diagnostyki psychiatrycznej* doktora Aleksandra Piotrowskiego. Poznanie jego treści jest niezbędne dla dalszego zrozumienia mojego opowiadania. Na stronie dziewięćdziesiątej cytowanego dzieła czytamy.

Inspektor wyjął cienką książeczkę i czytał:

Parafrenia: – Pewną grupę psychoz, którą Bleuler zalicza do schizofrenii, należałoby wyodrębnić, jako samodzielną ze względu na odmienny jej charakter. Kraepelin poświęcił tej grupie osobny rozdział w swojej „Psychiatrii” i nazwał ją „Parafrenie”.

Parafrenia zajmuje pośrednie miejsce między psychozami z obłędem (paranoia), a psychozami z rozszczepieniem osobowości (schizofrenia). Od paranoi różni się parafrenia brakiem logiczności, konsekwencji i stałości w urojeniach; od schizofrenii natomiast brakiem rozszczepienia osobowości.

Na parafrenię zapadają przeważnie osoby dziedzicznie obciążone i usposobione do zachorzeń psychicznych.

Parafrenię cechuje wolno rozwijający się i stale posuwający się obłęd prześladowczy, który później ustępuje urojeniom wywyższenia. Choroba rozpoczyna się często zmianą istoty psychicznej chorego. Pacjent staje się uderzająco spokojnym, bojaźliwym, marzącym albo nieufnym, ponurym, ucieka do samotności, mówi czasem dziwnie, niezrozumiale, uderza swoim postępowaniem, jest nieobliczalny, kapryśny, czasami przeczulony i drażliwy, przy lada sposobności niezmiernie gwałtowny, agresywny, wrogo usposobiony względem otoczenia, okazuje wstręt do poszczególnych osób, często do najbliższych krewnych.

Z biegiem czasu pojawiają się urojenia prześladowcze. Chory tłumaczy wszystkie czyny, ruchy, spojrzenia, śmiech, płacz, słowa z otoczenia w nieprzychylnym dla siebie znaczeniu, ma

liczne omamy, przeważnie słuchowe i złudzenia pamięciowe.

Nastrój bywa z początku przygnębiony; później występuje wrogie nastawienie. Po dłuższym lub krótszym przebiegu okresu przygnębienia z urojeniami prześladowczymi przychodzi okres podniecenia. Wskutek nieraz bardzo dziwnych urojeń wielkości, chory zachowuje się wyniośle, pretensjonalnie, szyderczo, traktuje otoczenie z góry, wzgardliwie, a w dobrym humorze pretensjonalnie; perswazjom nie jest dostępny, bo wszystko wie lepiej od innych. Uczynki pacjenta, zwykle kierowane urojeniami bywają niezrozumiałe.

Liczne urojenia wielkości z podnieconym nastrojem i rozdrażnieniem obok omamów wzrokowych spotykamy częściej u niewiast niż u mężczyzn.

Parafrenia występuje między trzydziстым a czterdziстым rokiem życia. Sprawność umysłowa bywa nienaruszona. Pacjent zdolny jest do pracy, o ile nie znajduje się w stanie podniecenia lub rozdrażnienia. Choroba trwa długo. Polepszenie może być tak znaczne, że widoczne objawy chorobowe znikają.

...Parafrenik nie jest odpowiedzialny za czyny karalne, jeżeli je popełnił w ciężkim stanie chorobowym. W lżejszych przypadkach można stosownie do okoliczności przyjąć zmniejszoną poczytalność.

Detektyw zamknął książkę i włożył ją starannie do teki, z której wyjął następnie mały czerwony kajecik, tak trwożliwie ukrywany do ostatniej chwili przez profesora Bredę.

— To jest pamiętnik Piotra Bredy. Niezmiernie ciekawy dokument dla studiującego psychopatologię i psychiatrię. Kierownik szpitala w Tworkach był niemal zrozpaczony, gdy oznajmiłem mu, że ten czerwony zeszytek pozostanie w muzeum kryminologicznym Policji a nie będzie przekazany zakładowi psychiatrii i medycyny sądowej.

Bernard Żbik schował zeszytek do teki, którą zamknął starannie.

— Teraz powinienem właściwie objaśnić technikę zbrodni, jakie popełniono w domu tajemnic, ale...

— Jak to — przerwał aspirant. — Zachowasz to w tajemnicy. Przecież my... — spojrzał na sędziego Rodowicza — przecież ja nic nie rozumiem. To coś nam odczytał z tej cienkiej książeczki było bardzo mądre i uczone. Ale ja chciałbym także wiedzieć, jaka była technika zbrodni. Na przykład w jaki sposób – psiakrew! – profesor...

— Dobrze. Ale nie teraz. W tej chwili idę na śniadanie i mówiąc stylem pewnego autora: nic mnie nie powstrzyma od błyskawicznej realizacji tego ponurego zamiaru. Zjem śniadanie z żelazną konsekwencją.

— A tymczasem ja pęknię z niecierpliwości i będziesz miał na sumieniu moje młode i bujne życie. Jesteś sadysta.

— Jestem tylko głodny, Adasiu i nic więcej. Jak Boga kocham. O, właśnie nadchodzi nasz kolega Stefan, aby nas zaprosić na śniadanie.

— Dzień dobry, panie inspektorze. Może panowie na wszelki wypadek pójdą na śniadanie. Jeżeli mam być szczery, to ja też jestem głodny – jak mawiał upiór z Düsseldorfu do swej małej gospodyni, którą potem udusił na deser.

— I wcale mu się nie śniło?

— Tym razem nie, panie inspektorze — odparł Stefan z niezmaconą powagą.

— To dziwne — skonstatował Żbik i nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

— Adam! Nie strój takiej pogrzebowej miny, i pan, doktorze. Po śniadaniu odpowiem solennie i dokładnie na wszystkie pytania. Nie róbcie tragedii z byle czego – jak powiedział... Stefan! Porównanie!

— Już się robi, panie naczelniku... jak powiedział kat niemiecki do skazańca, odrąbując

mu głowę za trzecim uderzeniem topora. Bo siekiera była nieco tępa na wszelki wypadek i...

— Dosyć!

— Rozkaz, panie inspektorze. Nie nalegam, chociaż to bardzo ciekawa historia, jak mawiał pewien sędzia śledczy, gdy mu było spieszno na randkę.

* * *

— Teraz jestem gotów. Wprawdzie ogromnie nie cierpię powtarzania i zasadniczo zbędnego wyjaśniania...

Brwi aspiranta uniosły się pytająco w górę na znak zdziwienia.

— Po tym, jak dowiedziałeś się kim był zbrodniarz w willi „Gong” – wszystkie na pozór niesamowitości i cudy stają się przerażająco jasne i logiczne, tak – że wyjaśnienie jest – powtarzam to – raczej zbędne.

— To prawda i nie pytałbym o nic, gdyby nie to, że nie byłem obecny przy początku śledztwa i niektóre fakty pomimo wszystko wydają mi się niezrozumiałe. Gdybym przyjechał tam z tobą razem w ów piątek – nie pytałbym teraz o nic.

— Dlatego też zgodziłem się na wyjaśnienia. Inaczej nie wy dobyłbyś ze mnie ani słowa. Od swoich współpracowników wymagam nie tylko posłuszeństwa ale i mózgu.

— Dobrze więc. Powiedz mi przede wszystkim, co skłoniło cię do nieprawdopodobnego na oko podejrzenia, że Piotr Breda sam finguje tę całą historię.

Bernard Żbik odłożył przeczytaną gazetę.

— Sam już odpowiedziałeś na to pytanie. *Nieprawdopodobne na oko podejrzenie*. Zbyt nawet nieprawdopodobne. Przecież zachowanie Piotra Bredy było wprost nienormalnie dziwne. Przypomnij sobie czytany przeze mnie rozdział o parafrenii. *Choroba rozpoczyna się zmianą istoty psychicznej chorego*. Piotr Breda, który mnie odwiedził owego pamiętnego wieczoru w środę, był jakiś inny. To nie da się nawet ująć w słowa. To był ktoś inny. – Naprawdę. Poza tym zwróciła moją uwagę w tej sprawie wprost nieprawdopodobna ilość rozbieżnych poszlak. Wszyscy byli podejrzeni. Nie mogłem się oprzeć myśli, że jest w tym jakaś rozmyślna akcja zbrodniczej ręki, która ma na celu moją dezorientację. I to okazało się prawdziwe. Piotr Breda postanowił początkowo popełnić samobójstwo, ale potem zrodziła się w jego szaleńczym mózgu myśl samobójstwa z jednoczesnym zabójstwem. Ja nie byłem tu detektywem, był nim... Leszek Breda.

— Leszek!

— Tak. Chłopiec zastał kiedyś ojca nad biurkiem z rewolwerem w rękę, na chwilę przed samobójstwem. Wyrwał mu rewolwer i wtedy to profesor postrzelił się w ramię. Mówiąc ściślej – Leszek postrzelił go przez nieuwagę. Ojciec wymógł na przerażonym synu słowo milczenia. Ale jednocześnie zrodził się w jego patologicznym mózgu szaleńczy plan samobójstwa przez zabójstwo, przez popełnienie zbrodni. Jego chory mózg podsunął mu nienormalną wizję rozgrywki z sobą samym jako zbrodniarzem. Wtedy sprowadził mnie do willi i rozpoczęła się owa niesamowita zabawa w kota i myszy. Fingował na każdym miejscu poszlaki. Słowa Leszka przy kolacji o szpilce były nie tylko przypadkiem były ostrzeżeniem. Chłopiec był zbyt młody, aby rozumieć cały plan potwornej zbrodni przygotowywanej przez ojca. Wiedziony intuicją, starał się jednak mimo to zwrócić moją uwagę na profesora, który tymczasem otaczał własnego syna stalową obręczą poszlak. Pod pozorem, że idzie zatelefonować wyszedł ze swego pokoju i w korytarzu pchnął własną żonę szpilką guwernantki. Umyślnie ułożył na swym biurku stos książek naukowych, traktujących o przestępstwach nieletnich, aby w ten sposób zwrócić moją

uwagę na syna. Przyznać muszę, że ten wybieg był genialny. Zwrócił od razu moje podejrzenia na Leszka, gdyż ani na chwilę nie uwierzyłem, że profesor przygotowuje się do wykładu. Przedtem jeszcze wykorzystał przypadek, że Leszek czytał 813 Leblanca i przybił ową kartkę do drzewa w lesie, do którego mnie zaprowadził z rozmysłem, choć niby to przypadkowo. Profesor Breda podrzucił brelok adwokatowej pod moimi drzwiami i ukrył swój rewolwer w pokoju adwokata na widocznym miejscu. — Dwaj nowi podejrzani. Koło się gmatwa. Ja jestem zdezorientowany. Potem owa przemyślna próba otrucia mnie i następnie fatalna noc, podczas której sam zranił się nieznacznie w szyję i oblał się dwoma litrami krwi zwierzęcej, zachloroformował Leszka i podrzucił mu zakrwawiony nóż i odłamki butli z eterem. Chłopiec dostał ataku nerwowego. Po tym jak Rogalski i szofer zanoszą „rannego” do pokoju nieprzytomnej żony, on korzysta z odwołania przeze mnie Wielgusa, wstaje i udaje się za nami potajemnie do lasu śladami, które już przedtem przygotował, zamyka nas i wraca do willi. Pokojówkę Kazię, będącą w pokoju uspokoił po prostu tym zapewnieniem, że nic mu nie jest.

Aspirant przetarł czoło chustką i westchnął.

— Po zamknięciu nas w szopie wraca. Ja i ty jesteśmy zamknięci, szalony zbrodniarz ma wolną rękę: Oszczędził mnie ponieważ byłem jego przyjacielem. Na szczęście ja popełniam absurd i wbrew zamiarowi usiłuję przestrzelić zamek. Stefan słyszy huki, przychodzi, uwalnia nas. Dalszy ciąg znasz. Co ci jeszcze mam powiedzieć? Przecież teraz rozumiesz już doskonale, że owe trzy uderzenia w tył głowy to były zwykłe porażenia prądem z czynnej elektrowni. Przewód był źle izolowany. Kazia dotyka rury centralnego ogrzewania, Stefan – rury gazowej, Więcek – przewodu wentylatora. W tym ostatnim wypadku właśnie wychodzi Tadek, w ciemności nie widzi leżącego wywiadowcy i wchodzi do pokoju swej kochanki, panny Marii. Ja zabieram Więcka ze sobą, potem on wraca, otwieramy drzwi i Tadek znów jest w swym pokoju. Teraz wszystko jest jasne – nieprawda? Wiem już nawet, dlaczego Dillon bał się rewizji swego pokoju i podsłuchiwał pod moimi drzwiami. Pan mecenas po prostu przemycił do Polski nieco zakazanych przedmiotów (*Business is business, mister*). Dowiedział się o przybyciu detektywa do willi i zaniepokoił się. Tak, Adasiu – teraz wszystko jest jasne – ale przedtem? I pomyśl, że przez cały czas Leszek Breda znał osobę zbrodniarza i milczał. Zrozum jego tragedię.

— Co się teraz dzieje z Leszkiem?

— Leczy się w sanatorium w Szwajcarii. Życzę mu z całego serca, aby wyzdrowiał. To typ człowieka tego gatunku, z których albo wyrasta geniusz albo obłąkaniec.

Żbik przetarł ręką zmęczone czoło, ściągnął brwi, w jego mądrych, ładnych oczach ukazał się błysk sentymentalnej litości, tak rzadziej u niego.

— Tak, Adamie — zabrzmiał po chwili jego miękki głos. — Różne bywają tragedie w życiu, różne nieszczęścia. Dziwiłem się z początku, że trudno mi zapomnieć o Leszku, ale teraz już się pogodziłem ze świadomością, że interesują mnie bardzo losy tego chłopca. Jego matka i brat to zera, przeciętni ludzie. Nie wiem sam dlaczego jego szlachetne, wybitnie inteligentne zachowanie w tej sprawie wywarło na mnie takie wrażenie. Przecież ostatecznie takich Leszków, takich młodych zdolnych ludzi, na których życie nie umie się poznać, może być wielu, a ja mam swoje własne kłopoty i nie mogę uczyć ludzkości rozumu. A jednak... No, dosyć już, Adasiu. Więcej nie będziemy mówić o tej sprawie. Ponieważ znasz osobę mordercy — technika zbrodni musi być dla ciebie zupełnie zrozumiała i jasna. Chciałbym jak najprędzej zapomnieć o tragedii „domu tajemnic”.

Aspirant wstał. Spojrzał bystro w oczy swego przyjaciela, gdy zapytał:

— Dlaczego Piotr Breda popełnił samobójstwo?

— Nie mówmy więcej o tym. Przecież profesor chciał popełnić samobójstwo od początku...

Inspektor przerwał. Do pokoju wszedł Stefan.

— Chciałbym o coś zapytać pana inspektora.

— Później, Stefan. Teraz jestem zmęczony. Zresztą, wiem, że masz randkę z bufetową z pierwszej klasy.

— Kobieta nie zajęła, panie inspektorze – jak powiedział pewien genialny myśliwy, który szczęśliwie trafił w kobietę zamiast w zająca.

— A to był naprawdę emerytowany ludożerca... — zaśmiał się aspirant.

— ...i tylko mu się śniło — dodał poważnie inspektor Bernard Żbik.

Wszyscy trzej roześmiali się głośno, szczerze i pogodnie.

Nad Wisłą zachodziło zawstydzone słońce.

KONIEC

Warszawa, maj – lipiec 1934 r.

